

Astrid

LINDGREN

Ronja,
córka zbójnika



NASZA KSIĘGARNIA

ASTRID LINDGREN

Ronja - Córka zbójnika

Tej nocy, gdy ronja miała przyjść na świat, nad górami przetaczała się burza tak gwałtowna, że wszystko, co tylko żywe^a-co mieszkało w Lesie Mattisa, w popłochu wciskało się w swoje norki i kryjówki. Tylko złowrogie dzikie Wietrzydła, jedyne, które lubiły burzę, z wyciem i wrzaskiem latały wokół zbójckiego zamku na Górze Mattisa. Przeszkadzało to leżącej w zamku Lovis, która miała właśnie rodzić, więc powiedziała:

— Przepędź Wietrzydła, żeby było cicho, bo nie słyszę, co śpiewam.

Bo to było właśnie tak, że Lovis rodziła śpiewając. Idzie wtedy łatwiej, twierdziła, a małe, jeśli przyjdzie na świat podczas pieśni, będzie przypuszczalnie z gatunku tych pogodniejszych.

Mattis chwycił kuszę i przez otwór strzelniczy w murze obronnym wypuścił kilka strzał.

— Wynoście się stąd, Wietrzydła! — krzyknął. — Właśnie dziś w nocy urodzi się moje dziecko! Ech, wy, zmory, rozumiecie to?

— Hu! hu! Dziś w nocy urodzi się jego dziecko!

— hukwały Wietrzydła. — Dziecko burzy! Pewno małe i brzydkie! Hu! hu!

Wtedy Mattis strzelił jeszcze raz, prosto w stado. Ale one tylko zaśmiały się szyderczo i z wściekłym wrzaskiem uleciały nad wierzchołki drzew. Gdy Lovis śpiewała i rodziła, a Mattis odpędzał Wietrzydła, jego zbójnicy siedzieli na dole w wielkiej kamiennej sali przy ogniu, jedząc i pijąc, i wrzeszcząc prawie tak samo jak Wietrzydła. Czymś musieli się przecież zająć, kiedy tak czekali i czekali, wszyscy, jak ich było dwunastu, na to, co miało się teraz wydarzyć w izbie na wieży. W ciągu całego ich zbójnickiego życia nigdy jeszcze w Zamku Mattisa nie urodziło się żadne dziecko.

Najbardziej niecierpliwił się Łysy Per.

— Przyjdzie wreszcie to zbójnickie piskłę czy nie?

— odezwał się. — Jestem już stary i słaby i niewiele już pozostało mi zbójnickiego życia. Dobrze byłoby, zanim nastąpi koniec, zobaczyć nowego herszta. Ledwie to powiedział, drzwi rozwarty się i wpadł nieprzytomny z radości Mattis. W radosnych podskokach okrążył salę i wrzasnął jak szalony:

— Urodziło się! Słyszycie? Urodziło się moje dziecko!

— A co się urodziło? — zapytał Łysy Per ze swojego odległego kąta.

— Zbójnicka córka! Radość i szczęście! — wykrzyknął Mattis. — Zbójnicka córka! Oto ona!

Przez wysoki próg weszła Lovis ze swoim maleństwem w ramionach. Wśród zbójców zrobiło się zupełnie cicho.

— No, zakrzusiliście się piwem, czy co? — zawołał Mattis. Wziął dziewczynkę od Lovis i ruszył dookoła sali pokazując ją zbójcom. — Patrzcie! Jeśli chcecie ujrzeć najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek urodziło się w zbójckim zamku!

Leżąc na jego ręce, córeczka przyglądała mu się rozbudzonymi oczkami.

— Ta mała już wszystko rozumie, to widać — powiedział.

— Jak się będzie nazywać? — chciał wiedzieć Łysy Per.

— Ronja — odezwała się Lovis. — Tak jak już dawno temu postanowiłam.

— No, a gdyby to był chłopiec? — spytał Łysy Per. Lovis popatrzyła na niego spokojnie i surowo.

— Jeśli postanowiłam, że moje dziecko będzie się nazywać Ronja, to będzie Ronja.

Potem zwróciła się do Mattisa:

— Chcesz, żeby ją teraz zabrać?

Ale Mattis nie chciał oddać córeczki. Stał wpatrując się ze zdumieniem w jej błyszczące oczki, małe usteczka, kosmyki czarnych włosów, nieporadne rączki i aż zadrżał z miłości.

— Dziecino, w tych małych rączkach trzymasz już moje zbójnickie serce — powiedział. — Nie pojmuję, jak to się dzieje, ale tak właśnie jest.

— Czy mogę potrzymać ją troszkę? — poprosił Łysy Per, więc Mattis złożył Ronję w jego ramiona tak ostrożnie, jakby to było złote jajko.

— Masz tutaj nowego herszta, o którym gadałeś od tak dawna. Tylko jej nie upuść, bo będzie to twoja ostatnia godzina.

Ale Łysy Per tylko uśmiechnął się do Ronji swymi bezzębnymi ustami.

— Wydaje się, jakby ona wcale nie ważyła — odezwał się zdziwiony i parę razy uniósł ją w górę i w dół.

Wtedy Mattis rozzłościł się i wyrwał mu dziecko.

— A ty czegoś się spodziewałeś, barani łbie? Dużego, tłustego herszta zbójców z wielkim brzuchem i spiczastą brodą, tak?

W tym momencie wszyscy zbójcy zrozumieli, że jeśli nie chcą rozzłościć Mattisa, to w żadnym wypadku nie wolno im krytykować tego dziecka. A drażnić Mattisa było naprawdę niebezpiecznie, dlatego też natychmiast zaczęli wychwalać i podziwiać noworodka, a że przy tym opróżniali wiele kufli piwa na jego cześć, więc Mattis był zadowolony. Usiadł na honorowym miejscu wśród nich i raz po raz pokazywał swoje nadzwyczajne dziecko.

— Teraz Borka zagryzie się na śmierć — powiedział. — Może sobie tam siedzieć w swojej nędznej jaskini i zgrzytać zębami z zazdrości, tak, nic mu innego nie pozostało, tylko płacz i

zgrzytanie zębów. Podniesie taki lament, że wszystkie Wietrzydła i Sza-ruchy w Lesie Borki będą musiały zatkać sobie uszy, wierzcie mi!

Łysy Per z uciechą potakiwał głową i powiedział chichocząc:

— Pewnie, Borka zagryzie się na śmierć. Bo teraz ród Mattisa żyje dalej, a ród Borki idzie prościutko do diaska.

— Tak — przyznał Mattis — prościutko do diaska, to pewne jak amen w pacierzu. Bo o ile ja wiem, to do tej pory Borka nie ma dziecka, no i już na pewno nie będzie miał.

W tym momencie rozległ się grzmot, jakiego jeszcze nie słyszano w Lesie Mattisa. Był tak silny, że nawet zbójcy pobledli, a słabowity Łysy Per aż się przewrócił. Ronja nieoczekiwanie zakwiliła i to wstrząsnęło Mattisem bardziej niż grzmot.

— Moje dziecko płacze! — wykrzyknął. — Co robić? Co robić?

Ale Lovis ze spokojem wzięła od niego córeczkę, przystawiła ją do piersi i płacz ustał.

— Nieźle huknęło — odezwał się Łysy Per, kiedy już trochę przyszedł do siebie. — Niech mnie diabli, jeśli nie walnęło gdzieś tutaj.

Tak, walnęło, i to jak jeszcze. Wystarczyło spojrzeć, gdy nastał ranek. Prastary Zamek Mattisa na szczycie Góry Mattisa pękł na dwoje. Od najwyższego zwieńczenia murów do najgłębszego piwnicznego sklepienia był teraz zamek podzielony na dwie części, a między nimi ziała przepaść.

— Ronja, twoje dzieciństwo zaczęło się wspaniale — powiedziała Lovis, stojąc z dzieckiem na rękę przy zburzonym murze i patrząc na całą tę rujnację.

Mattis szalał jak dziki zwierz. Jak mogło coś takiego stać się ze starym zamkiem jego ojca? Ale wściekłość Mattisa nie trwała nigdy długo, w każdej sprawie potrafił doszukać się stron dobrych.

— Ech, dla nas to tylko mniej błędzenia, piwnicznych dziur i rupieci, które trzeba sprzątać. No i teraz et już nie zabłądzi w Zamku Mattisa. Pamiętajcie, to kiedyś Łysy Per sobie poszedł i nie mógł trafić spowrotem przez cztery dni? Łysy Per jednak nie lubił, kiedy mu o tym przypominano. Czy to jego wina, że wyprawa skończyła tak fatalnie? Przecież chciał tylko sprawdzić, czy rzeczywiście Zamek Mattisa jest aż tak ogromny, i już powiedziano, znalazł go na tyle wielkim, że nim zabłądził. Biedaczysko, był na wpół żywy, żarn w końcu odnalazł dużą kamienną salę. Na szczęście zbójcy tak wrzeszczeli i hałasowali, że usłyszał huk z daleka, inaczej nigdy by nie trafił.

— Całego zamku i tak nigdyśmy nie używali — stwierdził Mattis. — A te sale, izby i pokoje na wierzy, w których mieszkamy, i tak nam zostały. Jedyne mnie złości, to to, żeśmy stracili nasz zamkowy stęp. Tak, to prawdziwa rozpacz, bo leży po drugiej stronie przepaści. Biedny ten, co nie będzie mógł wytrzymać, nim zdążymy urządzić nowy.

Ale ta sprawa została wkrótce załatwiona i życie v Zamku Mattisa toczyło się tak samo jak przedtem. Z tą tylko różnicą, że teraz było tu dziecko. Małe dziecko, które, jak zauważyła Lovis,

stopniowo sprawiło, że Mattis i wszyscy jego zbójcy zachowywali się jak mniej lub bardziej pomyleni. Przejawiało się to nie w tym, że stali się łagodniejsi i bardziej dbający o maniery, gdyż to by im bynajmniej nie zaszkodziło, ale we wszystkim, co robili. Bo było chyba przeciwne naturze, że dwunastu zbójców razem ze swoim hersztem siedziało uśmiechając się głupawo i wydając okrzyki radości tylko, dlatego, że jeden maluch właśnie nauczył się raczkować wokół kamiennej sali, zupełnie jakby większego cudu nigdy na tej ziemi nie widzieli. Rzeczywiście Ronja ruszyła w drogę niesłuchanie szybko, ponieważ odkryła sztukę odpychania się lewą nóżką, co rozbójnicy uznali za jedyne w swoim rodzaju. Ale ostatecznie większość dzieci uczy się raczkować, mówiła Lovis. Bez wrzasków radości całego otoczenia, a ich ojcowie z tej przyczyny nie zapominają o bożym świecie i nie zaniedbują pracy.

— Czy chodzi wam o to, aby Borka rabował także tutaj, w Lesie Mattisa? — pytała kwaśno, kiedy zbójcy z Mattisem na czele wpadali z hałasem do domu o niecodziennej porze tylko po to, żeby zobaczyć, jak Ronja je kaszkę, zanim Lovis ułoży ją w kołysce na noc.

Ale Mattis nie słuchał tego gadania.

— Ronja moja, gołąbeczka moja! — wykrzykiwał, gdy Ronja z pomocą lewej nóżki rozpędzała się w jego stronę przez całą salę, jak tylko przekraczał próg.

Potem siadał ze swoją gołąbeczką na kolanach i karmił ją kaszą, a jego dwunastu zbójców przyglądało się temu. Miska z kaszą stała na płycie pieca w pewnym oddaleniu, a Mattis ze swymi potężnymi łapami zbójcy był trochę niezdarny. Wiele kaszy wychlapywało się, więc na podłogę, a w dodatku Ronja od czasu do czasu odpychała łyżkę, tak, że część kaszy bryzgała aż na brwi Mattisa. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, zbójcy gruchnęli takim śmiechem, że przestraszona Ronja rozplakała się. Ale bardzo szybko pojęła, że zrobiła coś wesołego, i zaczęła to powtarzać, co radowało jednak bardziej zbójców niż samego Mattisa.

Chociaż poza tym uważał, że wszystko, cokolwiek robiła Ronja, było niezrównane, a ona sama była najcudowniejszym dzieckiem pod słońcem.

Nawet Lovis musiała się roześmiać, kiedy zobaczyła Mattisa z jego pisklątkiem na kolanach i z kaszą na brwiach.

— Mattis, kochany, któż by przypuszczał, że właśnie ty jesteś najpotężniejszym hersztem zbójców wszystkich gór i lasów. Gdyby Borka cię teraz zobaczył, toby się posiusiał ze śmiechu.

— Szybko by mu się odechciało — powiedział Mattis ze spokojem.

Borka, jego zacięty wróg. Tak samo jak ojciec i dziad Borki byli zaciętymi wrogami ojca i dziada Mattisa; od kiedy sięga ludzka pamięć, ród Borki i ród Mattisa brały się za łby. Zbójcami byli od zawsze. I postrachem uczciwych ludzi, którzy ze swoimi końmi i załadowanymi wozami przejeżdżali przez głębokie lasy, gdzie na nich napadano.

— Niechaj Bóg ma w swojej opiece każdego, kto musi jechać Zbójnickim Szlakiem — zwykli mawiać ludzie mając na myśli wąski przesmyk między Lasem Borki i Lasem Mattisa.

Zbójcy czatowali tam stale, a czy byli zbójcami Borki czy Mattisa, nie miało to znaczenia; w każdym razie dla tych, co zostali obrabowani, było to bez różnicy. Ale dla Mattisa i Borki różnica była duża. Obaj walczyli o życie i łupy, a kiedy brakowało wozów przejeżdżających przez Zbójnicki Szlak, zdrowo grabili jeden drugiego.

O wszystkim tym Ronja nic nie wiedziała. Była za mała. Nie rozumiała, że jej ojciec jest straszliwym hersztem zbójców. Dla niej był tylko brodatym, miłym Mattisem, który śmiał się i śpiewał, wydawał radosne okrzyki i karmił ją kaszką. Bardzo go lubiła. Ale dziewczynka z każdym dniem rosła i powoli zaczynała odkrywać świat wokół siebie. Długi czas sądziła, że świat kończy się na wielkiej kamiennej sali. I czuła się tam dobrze i bezpiecznie. Siadała sobie pod strasznie długim stołem i bawiła się szyszkami i kamykami, które znosił jej Mattis. W ogóle kamienna sala była całkiem niezłym miejscem dla dziecka. Było tam miło i można się było wiele nauczyć. Ronja lubiła, kiedy wieczorami zbójcy, rozlokowawszy się na wprost ognia, śpiewali. Siedząc cichutko pod stołem, przysłuchiwała się zbójnickim piosenkom, a kiedy już nauczyła się wszystkich, przyłączała się czystym głosem, wprawiając Mattisa w radosne zdumienie, że jego niezrównane dziecko śpiewa tak pięknie. Nauczyła się także tańczyć. Bo gdy zbójcy rozochocili się na dobre, tańczyli i podskakiwali jak szaleni dookoła sali, Ronja wkrótce tańczyła, więc i podskakiwała jak oni, a nawet, ku radości Mattisa, wykonywała prawdziwe zbójnickie skoki. A gdy później zbójcy siadali przy długim stole, żeby orzeźwić się kuflem piwa, chełpił się córką:

— Ona jest piękna jak młode Wietrzydełko, musicie przyznać. Tak samo gibka, tak samo ciemnooka i tak samo czarnowłosa. Nigdy nie widzieliście drugiego tak pięknego dziecka, przyznajcie sami.

I zbójcy potakiwali i przyznawali. Tymczasem Ronja siedziała cichutko pod stołem ze swoimi szyszkami i kamykami, a kiedy pojawiały się tam stopy zbójców obute w kudłate futrzane cizmy, bawiła się, że to są jej niesforne kozy, które znała z obory, gdzie Louis zabierała ją idąc doić.

W pierwszym okresie swojego niedługiego życia Ronja nie widziała jednak zbyt wiele. Nie wiedziała też, co znajduje się na zewnątrz warowni Mattisa. Aż pewnego pięknego dnia Mattis zrozumiał — wprawdzie bardzo niechętnie — że oto nadszedł czas.

— Lovis — powiedział do żony — nasze dziecko musi nauczyć się, jak się żyje w Lesie Mattisa. Wypuść ją na dwór!

— Coś takiego! Więc wreszcieś to pojął? To powinno było stać się już dawno, jeśli mi wolno zauważyć.

Tak więc Ronja otrzymała swobodę i mogła waleśać się, gdzie tylko chciała. Przedtem jeszcze Mattis powiedział jej to i owo.

— Uważaj na Wietrzydła, Szaruchy i zbójców Borki.

— A jak poznam, że to są Wietrzydła, Szaruchy i zbójcy Borki? — zapytała Ronja.

— Zauważysz — odparł Mattis.

— Aha — powiedziała Ronja.

— I uważaj, żeby nie zabłądzić w lesie — ciągnął Mattis.

— A co mam robić, jak zabłądzę? — zapytała Ronja.

— Odnaleźć właściwą ścieżkę.

— Aha — powiedziała Ronja.

— I uważaj, żeby nie wpaść do rzeki.

— A co mam robić, jeśli wpadnę do rzeki? — spytała Ronja.

— Pływać.

— Aha — odparła Ronja.

— I uważaj, żeby nie wpaść w Diabelską Czeluść. Mattis miał na myśli przepaść, która dzieliła na dwoje Zamek Mattisa.

— A co mam robić, jeśli wpadnę w Diabelską Czeluść? — zapytała Ronja.

— Wtedy nic już nie zrobisz — odparł Mattis i wydał z siebie ryk, jak gdyby zwały się na niego nieszczęścia całego świata.

— Aha — powiedziała Ronja, gdy Mattis przestał wyć. — W takim razie nie wpadnę w Diabelską Czeluść. Coś jeszcze?

— O, tak, sporo — odrzekł Mattis. — Ale tego nauczysz się z czasem sama. A teraz idź już!

I Ronja poszła. Szybko zrozumiała, jak bardzo była niemądra, myśląc, że wielka kamienna sala jest całym światem. Nawet ogromny Zamek Mattisa nie był całym światem. Nawet wysoka Góra Mattisa nie była całym światem, nie, świat był jeszcze większy. Był taki, że zatykało dech w piersiach. Naturalnie, słyszała nieraz Mattisa i Lovis mówiących o tym, co jest poza zamkiem. O rzece przecież mówili. Ale nim sama na własne oczy nie zobaczyła, jak hucząc kipiącymi wodospadami wpada głęboko pod Górę Mattisa, nie rozumiała, czym była rzeka. Mówili też o lesie. Ale nim sama nie zobaczyła, jak jest mroczny i zadziwiający ze swymi szumiącymi drzewami, nie rozumiała, czym jest las. I teraz śmiała się cichutko tylko, dlatego, że istnieją rzeki i lasy. Prawie nie była w stanie tego pojąć — oto istnieją ogromne drzewa i wielka woda, i one żyją; czyż na samą myśl o tym można się nie uśmiechać?

Poszła ścieżką w najgłębszy las, aż trafiła na małe jezioro. Dalej według słów Mattisa nie wolno jej było iść. Jezioro leżało czarne między ciemnymi świerkami, tylko pływające na powierzchni

lilie wodne połyskiwały biało. Ronja nie wiedziała, że to były lilie wodne, ale patrzyła na nie długo i zaśmiała się cichutko tylko dlatego, że istnieją.

Nad jeziorkiem zatrzymała się cały dzień i robiła dużo takich rzeczy, o których przedtem nie miała pojęcia. Rzucała do wody świerkowe szyszki i śmiała się, kiedy zauważyła, że wystarczy plaskać stopą o powierzchnię wody, żeby zrobiły się fale, które poniosą szyszki na jeziorko. Nigdy przedtem nie przeżyła czegoś przyjemniejszego. Miło było tak plaskać stopami o wodę, a jeszcze milej, kiedy odkryła, że wokół jeziorka leżą duże omszałe głązy, dobre do włożenia, i świerki, i sosny, na które można się było wdrapywać. Ronja włąziła więc i wdrapywała się, póki słońce nie zaczęło tonać za porośniętymi lasem grzbietami gór. Wtedy wydobyła ze skórzanego woreczka chleb i butelkę z mlekiem. A kiedy zjadła i wypiała, położyła się na mchu, żeby chwilę odpocząć. Wysoko nad nią szumiały drzewa. Leżała i patrzyła na nie, i śmiała się cichutko tylko dlatego, że istnieją. Później zasnęła. A kiedy się zbudziła, był późny wieczór. Nad wierzchołkami świerków świeciły gwiazdy. Wtedy zrozumiała, że świat jest jeszcze większy, niż sądziła. I zrobiło jej się smutno, że istnieją gwiazdy, których nie można dosięgnąć, choćby się tego najbardziej pragnęło.

Teraz była już w lesie dłużej, niż jej było wolno. Musiała szybko iść do domu, inaczej Mattis oszaleje, dobrze wiedziała o tym. Gwiazdy odbijały się w jeziorze, wszystko inne było najczarniejszą ciemnością. Ale to jej nie przerażało, do ciemności była przyzwyczajona. Jakże czarno bywało w Zamku Mattisa w zimowe noce, kiedy ogień zgasł, czarniej niż we wszystkich lasach razem wziętych; nie, ciemności się nie bała.

Kiedy już była gotowa do drogi, przypomniała sobie o skórzanym woreczku. Został na głązie, gdzie przedtem siedziała i jadła. W ciemności wdrapała się na kamień. W tym momencie wydało jej się, że podeszła bliżej gwiazd, więc wyciągnęła w górę ręce i spróbowała, czy nie można by ściągnąć kilku i zabrać w woreczku do domu. Ale nie udało się, wzięła więc woreczek i zbierała się do zejścia.

Wtedy zobaczyła coś, co ją przestraszyło. Naokoło między drzewami lśniły jakieś oczy. Nie zauważyła ich przedtem, a one teraz śledziły ją utworzywszy krąg wokół kamienia. Nigdy jeszcze nie widziała świecących w ciemności oczu. Te zaś nie spodobały jej się.

— Czego chcecie? — krzyknęła.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ale oczy zbliżyły się. Powoli, po kawałeczku podchodziły bliżej i bliżej. Usłyszała też szmer głosów, dziwnych, starczych, bezbarwnych głosów, które mruczały i powtarzały monotonicznie:

— Hej, Szaruchy! Człowiek! Człowiek w Borze Szaruchów! Hej, Szaruchy, gryźcie i bijcie! Wszystkie Szaruchy, gryźcie i bijcie!

I nagle znalazły się tuż przy kamieniu, dziwne, szare stwory, które chciały zrobić jej coś złego. Nie widziała ich, ale czuła, że one tam są, i cała się trzęsła. Teraz wiedziała, jak niebezpieczne były Szaruchy, których Mattis kazał jej się wystrzegać. Ale było już za późno.

Bo właśnie zaczęły walić w kamień maczugami i drągami albo czymś tam innym, co miały. W wielkiej ciszy huczało, łomotało i trzeszczało tak straszliwie, że z piersi Ronji wydarł się krzyk. Była śmiertelnie przerażona.

Stwory przestały walić, ale zamiast łomotu usłyszała coś, co było jeszcze gorsze. Zaczęły włączyć na kamień. Podchodziły w ciemności ze wszystkich stron. Słyszała szurgot ich stóp i pomruk.

— Hej, Szaruchy, gryźcie i bijcie!

Wtedy Ronja w rozpaczy krzyknęła jeszcze głośniejsze i zaczęła dziko wymachiwać wokół siebie skórzany woreczkiem. Wkrótce rzucą się na nią i zagryzą na śmierć, to pewne! Jej pierwszy dzień w lesie będzie jej ostatnim.

Ale w tym momencie usłyszała ryk, a tak szaleńczo mógł wrzeszczeć tylko Mattis. Tak, nadchodził jej Mattis ze swoimi zbójcami, ich pochodnie świeciły między drzewami, a ryk Mattisa niósł się echem po lesie.

— Wynocha, Szaruchy! Idźcie do diaska, zanim was utłukę!

I Ronja usłyszała, jak zakotłowało się od drobnych ciał, które spychały się z kamienia, a w blasku pochodni także je zobaczyła, małe, szare stwory, które uciekały w ciemność i tam przepadały.

Usiadła na skórzany woreczku i zjechała ze stromego kamienia. Natychmiast znalazł się tam Mattis i porwał ją w ramiona. A kiedy niósł ją do zamku, płakała wtuliwszy twarz w jego brodę.

— Teraz wiesz, co to są Szaruchy — powiedział Mattis, kiedy usiedli przy ogniu, żeby Ronja ogrzała zziębnięte stopy.

— Tak, teraz wiem, co to są Szaruchy — odparła Ronja.

— Ale jak masz sobie z nimi poradzić, tego nie wiesz — ciągnął Mattis. — Jeśli czujesz, że czegoś się boisz, wtedy to właśnie jest dla ciebie niebezpieczne.

— Tak — powiedziała Lovis — to się mniej więcej zgadza. Dlatego najlepiej jest nie bać się w Lesie Mattisa.

— Postaram się o tym nie zapomnieć — powiedziała Ronja.

Mattis westchnął i objął ją mocno.

— Ale pamiętasz, na co masz uważać? Pewnie, że pamiętała. I podczas następnych dni Ronja nie robiła nic innego, tylko uważała na to, co było niebezpieczne, i uczyła się pokonywać strach. Miała uważać, żeby nie wpaść do rzeki, powiedział Mattis, dlatego ochoczo skakała po gładkich kamieniach przy samym uskoku wodnym, tam gdzie najbardziej huczało. Nie mogła przecież zapuszczać się w las i tam uważać, żeby nie wpaść do rzeki. Jeśli ma być jakaś korzyść z

tych ćwiczeń, to muszą się one odbywać przy samym progu rzeczonym i w żadnym innym miejscu. Żeby dostać się do wodospadu, Ronja musiała zejść z Góry Mattisa po zboczu, które stromo opadało ku rzece. Tym sposobem mogła także ćwiczyć się w pokonywaniu strachu. Pierwszy raz to było trudne; tak się wtedy bała, że musiała zamknąć oczy. Ale powoli stawała się coraz odważniejsza i wkrótce wiedziała, gdzie są szczeliny, w których można było postawić stopę, a gdzie należało podkulać palce nóg, żeby się utrzymać i nie spaść na wznak w kipieli.

I Jakie to szczęście, myślała, znaleźć miejsce, gdzie fiozna i uważać, żeby nie wpaść do rzeki, i ćwiczyć się w pokonywaniu strachu.

Tak mijały dni. Ronja uważała i ćwiczyła więcej, niż Mattis i Lovis mogli przypuszczać i w końcu stała się, niczym zdrowe, małe zwierzątko, gibka i silna, nie czująca strachu przed niczym. Ani przed Szaruchami, ani przed Wietrzydłami, ani przed tym, żeby nie zabłądzić w lesie, ani przed tym, żeby nie wpaść do rzeki. Jeszcze tylko nie zaczęła uważać, aby nie wpaść w Diabelską Czeluść, ale pomyślała, że wkrótce nauczy się i tego.

Poza tym zbadła Zamek Mattisa aż do zwieńczenia murów. Oswoiła się z tymi wszystkimi bezludnymi salami, gdzie nikt poza nią nie postawił stopy, i ani razu nie zabłądziła w żadnym z kilku podziemnych przejść, pełnych ciemnych pieczar i piwnic. Zamkowe tajemne przejścia i leśne tajemne ścieżki — teraz znała je wszystkie i wszędzie umiała trafić. Najchętniej jednak przebywała w lesie i biegała po nim tak długo, póki starczało dnia.

Ale gdy nadchodził wieczór i zapadała ciemność, i ogień płonął na palenisku w kamiennej sali, wtedy wracała do domu zmęczona tym wszystkim, na co musiała uważać i w czym musiała się ćwiczyć cały dzień. O tej porze także Mattis i jego zbójcy powracali ze swoich wypadów i Ronja siadała razem z nimi przed ogniem i śpiewała ich pieśni. Ale o ich zbójnickim życiu nie wiedziała nic. Widziała ich wieczorami przyjeżdżających konno do domu z jukami przytroczonymi do końskich grzbietów, z mnóstwem różnego rodzaju towarów w workach, skórzanych torbach, skrzyniach i pakach. Ale skąd brali to wszystko, tego nikt jej nie mówił, a jej nie interesowało to bardziej niż zeszłoroczny śnieg. Po prostu na świecie znajdowały się różne rzeczy, to zdążyła już zauważyć. Czasami słyszała, jak mówiono o zbójcach Borki, i wtedy przypominała sobie, że ich także ma się wystrzegać. Ale żadnego jeszcze nie widziała.

— Gdyby Borka nie był takim draniem, byłoby mi go prawie żal — powiedział Mattis któregoś wieczora. — Z rozkazu namiestnika żołnierze polują na niego w jego własnym lesie, nie ma on teraz chwili spokoju. I wkrótce wykurzą go pewnie z jego zbójnickiej jaskini. Tak, tak, z niego kawał łajdaka, więc to wszystko furda, ale zawsze jednak.

— Ludzie Borki to same łajdaki — dodał Łysy Per i wszyscy się z nim zgodzili.

Jakie to szczęście, że zbójcy Mattisa są o tyle lepsi, pomyślała Ronja. Powiodła po nich wzrokiem, gdy siedząc przy długim stole siorbali zupę. Brodaci, niechlujni, łatwo wpadali w złość i byli skłonni do bójek. Nikt jednak nie mógłby nazwać ich łotrami, w każdym razie w jej obecności. Łysy Per, Tjegge, Pelje i Fjosok, Jutis, Joen, Labbas i Knotas, Turre, Tjorm, Sturkas i Mały Klippen, wszyscy oni byli jej przyjaciółmi i każdy z nich skoczyłby za nią w ogień, tego była pewna.

— Teraz jeszcze bardziej chwalę sobie nasz zamek — odezwał się Mattis. — Tutaj człowiek jest bezpieczny jak lis w norze czy jak orzeł na szczycie skały. A jeśli nawet przyszedłby jakiemś półgłówkowi do łba, żeby szukać tu zwady i nasyłać żołnierzy, pošlemy każdego do diaska.

— Prościutko do diaska, nawet smrodu nie będzie — powiedział Łysy Per z uciechą.

Wszyscy przytaknęli i ryknęli śmiechem na samą myśl o tym, jakim durniem musiałby być ten, kto by próbował pchać się do Zamku Mattisa. Ich zamek stojący na niedostępnej skale był nie do zdobycia. Jedyne od południa zbiegała zakosami wążutka dróżka dla koni niknąca na dole w lesie. Ze wszystkich pozostałych stron zamek otaczały strome urwiska. Tylko głupiec mógłby się na nie wdrapywać, rechotali. Nie wiedzieli przecież, że właśnie tam Ronja zwykle ćwiczyła swoją odwagę.

— A jakby zaczęli wchodzić końską ścieżką, to natychmiast zatrzymamy ich przy Wilczej Pułapce — powiedział Mattis. — Tam możemy ich przygwoździć wielkimi kamieniami. No i wszystkim innym po trochu.

— I wszystkim innym po trochu — przytaknął Łysy Per i zachichotał na myśl o tym, jak to przy Wilczej Pułapce można będzie przygwoździć żołnierzy. — W dawnych czasach zabiłem tam wiele wilków — dodał. — Ale teraz jestem już za stary i zabijam wyłącznie swoje własne pchły, tak, tak. Ronja zgadzała się, że to wielka szkoda, że Łysy Per jest taki stary, ale zupełnie nie rozumiała, dlaczego żołnierze i inne półgłówki mają tu przyjść i bić się przy Wilczej Pułapce. Zresztą chciało jej się spać i nie miała już siły przejmować się tym wszystkim. Wlaźła więc na swoją pryczę i leżąc z otwartymi oczami, czekała, aż Lovis zacznie śpiewać Pieśń Wilków. Lovis czyniła to co wieczór, gdy nadchodziła pora, żeby zbójcy wstali od ognia i rozeszli się do swoich izb sypialnych. W kamiennej sali sypiali tylko oni troje, Ronja, Mattis i Lovis. Ronja lubiła tę chwilę, gdy leżąc w łóżku mogła patrzeć przez szpary w zasłonie, jak ogień pełga coraz słabiej i w końcu gaśnie, podczas gdy Lovis śpiewała. Jak tylko sięgała pamięcią, zawsze przed nadejściem nocy słyszała swą matkę śpiewającą Pieśń Wilków. To był sygnał, że czas spać, wiedziała o tym, ale zawsze przed zaśnięciem zdążyła jeszcze pomyśleć radośnie: „Jutro wstaję z samego rana”.

Z pierwszym brzaskiem zeskakiwała z pryczy i bez względu na pogodę pędziła do lasu. Lovis szykowała jej jedzenie, chleb i mleko, do skórzanego woreczka.

— Znać, że przysłaś na świat podczas burzy, kiedy pioruny były, taki z ciebie duch niespokojny — mówiła Lovis. — Takie dzieci łatwo stają się dzikusami, wiadomo. Uważaj tylko, żeby cię Wietrzydła nie schwytały.

Ronja już nieraz widziała Wietrzydła krążące nad lasem, rzucała się wtedy błyskawicznie w kierunku najbliższej kryjówki. Wietrzydła były największym ze wszystkich niebezpieczeństw w Lesie Mattisa. Jeśli się chce żyć, trzeba się mieć przed nimi na baczności — mówił Mattis. I to był główny powód, dla którego tak długo trzymał Ronję w zamku.

Piękne, szalone i okrutne były Wietrzydła. Z kamiennym spojrzeniem latały nad lasem, czatując na każdego, kto się nawinie, żeby go rozszarpać swymi ostrymi pazurami. Jednak nawet najdziksze Wietrzydła nie były w stanie odstraszyć Ronji od odkrytych przez nią drózek i miejsc, gdzie pędziła swój samotny leśny żywot. Tak, była samotna, ale nie odczuwała tego. Kogóż zresztą mogło jej brakować? Czowała się szczęśliwa, jej dni pełne wrażeń uciekały szybko.

Lato minęło, nadeszła jesień. Wietrzydła stawały się o tej porze roku jeszcze bardziej szalone. Któregoś dnia tak goniły Ronję po całym lesie, że tym razem poczuła nad sobą prawdziwe niebezpieczeństwo. Myślała, czyby nie smyrgnąć gdzieś niczym lis, znała przecież wszystkie leśne kryjówki, ale Wietrzydła leciały za nią uporczywie i wyraźnie słyszała ich przenikliwy wrzask:

— Hu! hu! Ładny człowieczek! Zaraz popłynie krew! Hu! hu!

Wtedy skoczyła do jeziora i przepłynawszy pod wodą na drugi brzeg, ukryła się za grubym świerkiem. Słyszała, jak Wietrzydła krążąc nad wodą, wrzeszczą z wściekłością:

— Gdzie jesteś, człowieczku? Gdzie jesteś? Chodź tutaj! Rozerwiemy cię! Rozszarpiemy! Zaraz popłynie krew! Hu! hu!

Ronja przycupnięta w swojej kryjówce ani drgnęła. Wyszła dopiero, gdy zobaczyła, że Wietrzydła znikają za wierzchołkami drzew. Ale nie chciała już dłużej przebywać w lesie. Do wieczora jednak i do Pieśni Wilków pozostało jeszcze wiele godzin, przyszło jej więc na myśl, że teraz mogłaby zrobić to, o czym już dawno myślała. Wyjdzie na szczyt zamku i będzie uważała, żeby nie wpaść w Diabelską Czeluść. Wiele razy słyszała o tym, jak to tej nocy, gdy się urodziła — rozerwało ich zamek. Sam Mattis opowiadał o tym ciągle od nowa.

— Prawdziwa rozpacz! A jaki był huk! To powinnaś była słyszeć! Zresztą pewnie słyszałaś. Mały, nowo narodzony robaczek! Trzask! I zamiast jednego zamku mieliśmy dwa, z dzielącą je przepaścią. Pamiętaj zawsze, co ci mówiłem: uważaj, żeby nie wpaść w Diabelską Czeluść!

Właśnie teraz tego spróbuje. To najlepsze, czym można się zająć, kiedy Wietrzydła szaleją w lesie. Wiele razy była na szczycie zamku, ale nigdy jeszcze nie podchodziła do niebezpiecznej przepaści, która otwierała się niespodziewanie bez żadnego osłaniającego muru. Teraz podczołgała się aż do krawędzi i spojrzała w głąb, uch, to wyglądało straszniej, niż przypuszczała. Wzięła jeden z

obluzowanych kamieni i puściła go w dół. Aż się wzdrygnęła, gdy doszedł ją daleki odgłos uderzenia o dno. Tak, to była naprawdę czeluść, na którą należało uważać. Chociaż owa przepaść dzieląca obie połowy zamku nie była specjalnie szeroka. Jednym porządnym skokiem można by ją przesadzić. Chyba jednak nikt nie był aż takim szaleńcem? Nie, ale może to byłaby dobra metoda, aby i uważać na przepaść, i ćwiczyć się w wypróbowany sposób. Znowu spojrzała w dół. Uch, ale głęboko! Potem popatrzyła przed siebie, żeby zobaczyć, gdzie można by najlepiej skoczyć. I wtedy ujrzała coś, co sprawiło, że ze zdumienia o mało naprawdę nie wpadła w Diabelską Czeluść.

Trochę dalej, po drugiej stronie przepaści, ktoś siedział. Był mniej więcej jej wzrostu i machał zwieszonymi nad przepaścią nogami.

Ronja wiedziała, że nie jest jedynym dzieckiem na świecie. Była nim wprawdzie w Zamku Mattisa i otaczającym go lesie, Lovis mówiła jej jednak, że po tamtej stronie jest mnóstwo dzieci i że są dwojakiego rodzaju, jedne, które gdy dorosną, będą Mattisami, i drugie, z których każde będzie jak Lovis. Ona sama, Ronja, będzie jak Lovis. Instynktownie czuła, że ten, co tam siedzi i dynda nogami nad Diabelską Czeluścią, będzie kiedyś jak Mattis. Na razie jeszcze jej nie zauważył. Ronja przyjrzała mu się i zaśmiała się cichutko, tylko dlatego, że on istnieje.

Nagle zauważył ją i uśmiechnął się także. — Wiem, kim jesteś — powiedział. — Jesteś tą zbójnicką córką, co lata po lesie. Już raz cię tam widziałem.

— Ale kto ty jesteś? — spytała Ronja. — I jakim cudem dostałeś się tutaj?

— Ja jestem Birk, syn Borki, i mieszkam tu. Wprowadziliśmy się tu dziś w nocy.

Ronja wytrzeszczyła oczy.

— Jacy: my?

— Borka, Undis, ja, no i naszych dwunastu zbójców.

Minęła dobra chwila, zanim pojęła coś tak niesłychanego, jak to, co powiedział. W końcu odezwała się:

— Chcesz powiedzieć, że cały północny zamek roi się od łajdaków?

Zaśmiał się.

— Nie, tutaj są tylko uczciwi zbójcy Borki. Za to naprzeciwno, tam, gdzie ty mieszkasz, jest siedlisko samych łajdaków, to od dawna wiadomo.

Ach tak? Od dawna wiadomo! Co za niesłychana bezczelność! Zagotowało się w niej! Ale w tym momencie usłyszała coś jeszcze gorszego.

— Zresztą — powiedział Birk — nie jest to już żaden północny zamek. Od dzisiejszej nocy nazywa się Twierdzą Borki, spróbuj to zapamiętać.

Ronja dyszała z wściekłości. Twierdza Borki! Naprawdę tylko udusić! Jakież to dranie, ci zbójcy Borki. A ten tam łobuz, co siedzi sobie i szczyrzy zęby, jest jednym z nich.

— Piekło i szatany! — zawołała. — Poczekaj tylko, jak się Mattis o tym dowie, pośle wszystkich zbójców Borki prosto do diaska, tak że nawet smrodu po nich nie będzie.

— To tylko tak ci się zdaje — odparł Birk. Ronja pomyślała o Mattisie i zadrzała. Zdarzało jej się widzieć go w napadzie furii i wiedziała, jak to wygląda. A tym razem Zamek Mattisa chyba jeszcze raz rozleci się na kawałki. Na samą myśl o tym, aż jęknęła.

— Co z tobą? — zapytał Birk. — Źle się czujesz? Ronja nie odezwała się. Uważała, że wystarczająco

długo słuchała tego drańskiego i bezczelnego gadania. Teraz trzeba było coś zrobić. Zbójcy Mattisa wkrótce będą w domu, a wtedy, u diabła, każdziutki najnędnniejszy łajdak z bandy Borki wyleci z Zamku Mattisa o wiele szybciej, niż tu przyszedł.

Odwróciła się, żeby odejść. Ale wtedy zauważyła, co chciał zrobić Birk. Naprawdę, ten łobuz zamierzał przeskoczyć Diabelską Czeluść! Stał tam po drugiej stronie naprzeciwko niej i właśnie szykował się, żeby wziąć rozpęd. Wtedy wrzasnęła:

— Jeśli przyjdiesz tutaj, to dam ci w gębę i rozkwaszę nos!

— Cha! cha! — zaśmiał się Birk i jednym skokiem przesadził przepaść. — Spróbuj, jeśli potrafisz! — dodał prychnąwszy szyderczo.

Tego nie powinien był mówić, tego nie była już w stanie ścierpieć. Wystarczyło, że on i cała ta banda urządzili sobie siedlisko w Zamku Mattisa. Zbójcom Borki wara jednak od tego, żeby robić jakieś skoki, na które żaden ze zbójców Mattisa się nie odważył.

A ona odważyła się. Sama nie bardzo wiedziała, jak to się stało, ale raptem znalazła się w powietrzu nad Diabelską Czeluścią i wylądowała po przeciwnej stronie.

— Nie jesteś znów taką łamagą! — powiedział Birk i natychmiast skoczył za nią. Ale Ronja nie czekała na niego. Kolejnym skokiem przesadziła przepaść. Teraz mógł sobie tam stać i gapić się na nią, ile wlezie.

— Podobno miałas mi dać w gębę, dlaczego tego nie robisz? — odezwał się Birk. — Właśnie lecę do ciebie!

— Widzę — odparła Ronja, a chłopak w tym samym momencie już był przy niej. Tylko że Ronja wcale na niego nie czekała. Znów skoczyła i postanowiła skakać do ostatniego tchu, jeśli to konieczne, żeby się od niego odczepić.

Później żadne z nich już nic nie mówiło. Oboje tylko skakali. W jakimś wściekłym obłędzie skakali ponad Diabelską Czeluścią tam i z powrotem. Słyszać było jedynie ich zdyszane oddechy i od czasu do czasu krakanie wron przysiadających na krawędzi muru. Poza tym było tak przeraźliwie cicho. Jakby cały Zamek Mattisa stojący na szczycie góry wstrzymał oddech w oczekiwaniu na coś okropnego, straszego, co zaraz może się zdarzyć.

Tak, zaraz wylądujemy w Diabelskiej Czeluści, oboje, przemknęło Ronji przez myśl. Ale przynajmniej skończy się wtedy to bezustanne skakanie.

Właśnie Birk znowu przesadził przepaść na wprost niej i jej także udało się skoczyć. Nie miała pojęcia, który to już raz, zupełnie straciła rachubę, zdawało się, jakby nigdy nie robiła nic innego, tylko skakała nad przepaścią, żeby uwolnić się od tego łobuza. Nagle zobaczyła, że Birk ześlizguje się z obłuzowanego kamienia, na który właśnie skoczył. Dobiegł ją jeszcze jego krzyk, zanim zniknął w głębi. Potem słyszała już tylko wrony. Zacisnęła powieki pragnąc, aby tego dnia nigdy nie było. Żeby nie było Birka i żeby nigdy nie było tych skoków. W końcu podczołgała się i spojrzała w przepaść. I wtedy zobaczyła Birka. Dokładnie pod nią stał na czymś, na jakimś kamieniu czy belce, czy też czymś innym, co wystawało z rozwalonej ściany. Dokładnie takim, że znalazło się miejsce dla jego stóp, i ani odrobinę większym. Stał tam z rozwierającą się pod nim głębią Diabelskiej Czeluści, a jego dłonie gorączkowo szukały jakiegoś uchwytu, czegoś, czego mógłby się złapać i co powstrzymałoby go przed upadkiem w przepaść. Ale wiedział i Ronja wiedziała to także, że bez pomocy nie wydostanie się stamtąd. Będzie tam stał, aż osłabnie, wiedzieli o tym oboje, a potem nie będzie już żadnego Birka, syna Borki.

— Trzymaj się — powiedziała Ronja, a on uśmiechnął się słabo.

— Jasne, nie bardzo można się tu zająć czym innym.

Ale bał się, to było widać.

Ronja zerwała z siebie pleciony rzemień, który zawsze nosiła zwinięty w kłębek przy pasku. Wielokrotnie już okazał się bardzo pomocny w jej leśnym życiu, podczas różnych wspinaczek. Teraz na jednym końcu rzemienia zrobiła dużą pętlę, drugim związała się w pasie. Potem spuściła rzemień Birkowi. Widziała, jak mu się rozjaśniły oczy, kiedy zobaczył kołyszącą się nad jego głową linę. No, na długość rzemień był dokładnie taki, jak trzeba, stwierdziła, i to było prawdziwe szczęście dla tego łobuza.

— Spróbuj się w to wsunąć, jeśli dasz radę — powiedziała. — A potem zacznij się wspinać. Ale dopiero, kiedy krzyknę. Nie wcześniej!

Piorun, który uderzył tej nocy, gdy urodziła się Ronja, rozerwał jeden z kamiennych bloków w koronie muru. Szczęśliwie leżał on w pobliżu urwiska. Ronja położyła się płasko za owym blokiem i zawołała:

— Zaczynaj!

Wkrótce poczuła, jak rzemień zacisnął się na jej brzuchu. Sprawiało to ból. Każde szarpnięcie rzemienia, kiedy Birk się wspinał, wrywało z niej jęk. Zaraz przetnie mnie na pół, zupełnie jak Zamek Mattisa, pomyślała, i zacisnęła zęby, żeby nie krzyzczeć. Nagle zelżało, a stojący obok Birk

patrzył na nią. Leżała dalej i próbowała upewnić się, czy w ogóle może jeszcze oddychać. Wtedy odezwał się:

— Ach, więc tu sobie leżysz!

— Tak, tu sobie leżę — odparła. — Skończyłeś już skakać?

— Nie, muszę skoczyć jeszcze raz. Żeby znaleźć się po właściwej stronie. Muszę się przecież dostać do domu, do Twierdzy Borki, to chyba jasne.

— Ściągnij najpierw z siebie mój ramię — powiedziała Ronja wstając. — Nie chcę być związana z tobą dłużej niż to konieczne.

Zsunął z siebie ramię.

— Wiadomo. Ale po tym wszystkim może jestem z tobą związany i tak, bez rzemienia.

— Niech ci się nawet nie śni! — krzyknęła Ronja. — Ty, razem z twoją Twierdzą Borki. Wynos się do diaska!

Zacisnęła pięść i walnęła go prosto w nos. Uśmiechnął się.

— Drugi raz tego nie próbuj, radzę ci. W każdym razie, jesteś miła, że uratowałaś mi życie, i za to należy ci się podziękowanie.

— Wynos się do diaska, powiedziałam — odparła Ronja i pobiegła nie spojrzawszy za siebie. Ale kiedy już stała przy kamiennych stopniach, które z korony muru wiodły do wnętrza zamku, usłyszała głos Birka:

— Hej, zbójnicka córko, chyba się jeszcze kiedyś spotkamy!

Odwróciła głowę i zobaczyła, że szykował się do swego ostatniego skoku. Wtedy krzyknęła:

— Mam nadzieję, że znów spadniesz, ty draniu!

Było jeszcze gorzej, niż myślała. Mattis wpadł w taki szał, że nawet jego zbójcy się przestraszyli.

Najpierw nikt nie chciał wierzyć w to, co mówiła, a Mattis po raz pierwszy był na nią zły.

— Małe cygaństwo czy jakiś tam wymysł mogą być nawet czasem i zabawne. Ale daj spokój wygadywaniom takich ponurych bredni. Zbóje Borki w Zamku Mattisa! No, naprawdę, aleś wymyśliła! Krew zaczyna się we mnie gotować, chociaż wiem, że to kłamstwo.

— To nie jest kłamstwo — powiedziała Ronja. I na nowo próbowała mu opowiedzieć, czego dowiedziała się od Birka.

— Kłamiesz! — powiedział Mattis. — Po pierwsze, Borka nie ma żadnego chłopaka. On nie miał nigdy dzieci, to wiadomo wszystkim.

Wśród zbójców zapadła cisza, nikt nie śmiał się odezwać. W końcu nie wytrzymał Fjosok:

— No, najwyraźniej jednak ma. Bo Undis urodziła mu chłopca w czasie tej strasznej nocnej burzy, pamiętasz, kiedy nam się urodziła Ronja.

Mattis wpił w niego oczy.

— I nikt mi o tym nawet nie pisał?! Może jest jeszcze jakieś diabelstwo, o którym to ja nic nie wiem?

Zatoczył dokoła dzikim wzrokiem, z wściekłym rykiem chwycił w każdą rękę kufel z piwem i cisnął nimi o ścianę, aż napitek chlusnął wokoło.

— I teraz szczeniak Borki spaceruje sobie po dachu Zamku Mattisa? A ty, Ronja, rozmawiałaś z nim?

— To on rozmawiał ze mną—odparła Ronja.

Mattis z wściekłym rykiem chwycił baranią pieczeń, która leżała na środku długiego stołu, i walnął w ścianę, aż tłuszcz bryzgnął.

— I ten szczeniak mówił, że ten gad, co jest jego ojcem, wprowadził się do północnej części zamku razem z całą swoją zbójcecką hołotą?

Wprawdzie Ronja bała się przeciągnąć strunę, żeby Mattis ze złości po prostu nie oszalał, ale tym razem, jeśli zbóje Borki mieli być wywaleni, wściekłość była pożądana. Powiedziała więc:

— Tak, i teraz nazywa się to Twierdzą Borki, spróbuj to zapamiętać.

Mattis z wściekłym rykiem złapał gar zupy, który wisiał nad ogniem i rzucił nim w ścianę tak, że zupa strzeliła fontanną.

Do tej pory Lovis tylko przysłuchiwała się i obserwowała ich w milczeniu. Ale teraz była zła, wystarczyło na nią spojrzeć. Z koszem świeżych jaj właśnie przyniesionych z kurnika podeszła do Mattisa.

— Masz — powiedziała. — Ale sam będziesz po sobie sprzątał, pamiętaj o tym.

Mattis brał jajka, jedno po drugim, i szaleńczo rycząc ciskał nimi o ścianę, po której ściekała jajeczna breja.

I wtedy rozplakał się.

— Bezpieczny jak lis w norze czy orzeł na szczycie skały, tak mówiłem. A teraz...

Jak długi rzucił się na podłogę i leżąc wył, krzyczał i przeklinał, aż wszystko to zmęczyło Lovis.

— No, koniec z tym wreszcie — odezwała się. — Jeśli oblaży cię wszy, to takie leżenie i skowytanie nic nie pomoże. Wstań i rób coś!

Zbójcy siedzieli wokół stołu już dobrze głodni. Lovis podniosła baranią pieczeń, co leżała na podłodze, i oczyściła ją trochę.

— Będzie może bardziej krucha — powiedziała pocieszająco i zaczęła kroić grube plastry dla wszystkich swoich zbójców.

Mattis z zaciętą twarzą podniósł się i także zajął miejsce przy stole. Ale nie tknął jedzenia. Podparłszy rękoma swoją czarną kędzierzawą głowę, siedział mruczając cicho i od czasu do czasu wzdychając tak, że słychać było w całej sali.

Ronja podeszła do niego, objęła go za szyję i przytuliła swój policzek do jego twarzy.

— Nie martw się — powiedziała. — Trzeba ich tylko stąd wykurzyć.

— Co może okazać się trudne — odparł Mattis ciężko.

Cały wieczór siedzieli przy ogniu i próbowali wymyślić, jak się do tego zabrać. Co ma robić człowiek, żeby pozbyć się wszy, które go oblażyły? W jaki sposób pozbyć się zbójców Borki z zamku, gdzie udało im się wgryźć, to właśnie chciał wiedzieć Mattis. Ale przede wszystkim pragnął się dowiedzieć, jak to się stało, że te arcyszczwane lisy, te złodziejskie psy, mogły dostać się do północnego zamku, tak że ani jeden ze zbójców Mattisa niczego nie zauważył. Wszyscy, którzy konno lub pieszo zmierzali do Zamku Mattisa, musieli minąć Wilczą Pułapkę, gdzie trzymano wartę dzień i noc. A mimo to nikt nie spostrzegł nawet śladu któregokolwiek ze zbójców Borki.

Łysy Per zaśmiał się szyderczo:

— No nie, Mattis, naprawdę myślisz, że oni przeszli spacerkiem obok Wilczej Pułapki mówiąc grzecznie: „Odsuńcie się, drodzy przyjaciele, ponieważ właśnie dziś w nocy zamierzamy wprowadzić się do północnego zamku”?

— Więc którądy przyszli, powiedz, jeśliś taki mądry?

— No, w każdym razie nie przez Wilczą Pułapkę i nie przez główną bramę wjazdową — odparł Łysy Per. — Od północnej strony, oczywiście, tamtędy, gdzie nie trzymamy żadnej warty.

— Nie trzymamy, bo i po co? Nie ma tam przecież żadnego wejścia do zamku poza pionową skalną ścianą. Chyba że oni mogą polecieć do góry jak muchy. A potem przez kilka małych otworów strzelniczych w murze obronnym, tak?

Nagle coś mu przyszło na myśl i wbił oczy w Ronję.

— A coś ty w ogóle robiła tam na górze?

— Uważałam, żeby nie wpaść w Diabelską Czeluść — odparła Ronja.

Żałowała, że nie wypytała Birka o nic więcej. Może wtedy udałoby się jej dowiedzieć, w jaki sposób zbójce Borki dostali się do północnego zamku. Ale teraz było już na to za późno.

Mattis rozstawił strażę na noc, nie tylko przy Wilczej Pułapce, ale także na murze.

— Bezczelność Borki nie ma granic — powiedział. — Nagle może przepawić się przez Diabelską Czeluść niczym dziki byk, żeby nas wygnać zupełnie z zamku.

Złapał swój kufel i cisnął nim o ścianę, aż piwo rozprysnęło się po całej kamiennej sali.

— Idę teraz do łóżka, Lovis. Nie żeby spać. Tylko żeby rozmyślać i kłąć, i biada temu, kto mi w tym przeszkodzi.

Tego wieczoru Ronja także nie mogła zasnąć. Nagle wszystko zrobiło się złe i smutne. Dlaczego tak się stało? I ten Birk! Przecież tak się ucieszyła, kiedy go po raz pierwszy spostrzegła. Dlaczego jak wreszcie spotkała rówieśnika, to okazał się nim mały wstrętny zbój Borki?

Następnego dnia Ronja zbudziła się wcześniej. Jej ojciec siedział już przy stole i jadł kaszę. Ale nie szło mu. Z posepnym wyrazem twarzy unosił łyżkę do ust, zapominając jednak chwilami, że musi je otworzyć. Do żołądka dostawało się więc niewiele. Ale po chwili w ogóle nie było już mowy o jedzeniu, bo Mały Klippen, który razem ze Sturkasem i Tjegge miał wartę w nocy przy Diabelskiej Czeluści, nagle wpadł do kamiennej sali i wrzasnął:

— Borka czeka na ciebie, Mattis! Stoi po drugiej stronie Diabelskiej Czeluści, awanturuje się i chce natychmiast z tobą mówić!

W tym momencie Mały Klippen odskoczył gwałtownie na bok, co okazało się z jego strony mądrym posunięciem, ponieważ w następnej chwili drewniana miska Mattisa furkotnęła tuż koło jego ucha i uderzyła w ścianę bryzgając kaszą.

— Sam będziesz po sobie sprzątał — przypomniała Lovis surowo, ale Mattis jej nie słuchał.

— A więc Borka chce ze mną mówić! Do krośset diabłów! Będzie miał to, czego chce, ale potem raczej zamilknie na dobrą chwilę. Jeśli w ogóle jeszcze odezwie się kiedykolwiek — powiedział Mattis i zacisnął zęby, aż zgrzytnęło.

Teraz wszyscy zbójcy powychodzili ze swoich izb sypialnych i rojąc się w kamiennej sali, zapragnęli wiedzieć, o co chodzi.

— Łykajcie szybko swoją kaszę, tylko migiem — powiedział Mattis — bo zaraz potem weźmiemy dzikiego byka za rogi i zwalimy go w Diabelską Czeluść.

Ronja ubierała się. Robiła to błyskawicznie, ponieważ miała do włożenia jedynie spodnie i krótką bluzę ze źrebiecej skóry wciąganą na koszulę. Boso chodziła stale, aż do pierwszego śniegu. Nie musiała więc mitrzyć czasu na wkładanie długich butów z cholewami czy też trzewików, kiedy to tak jak właśnie teraz nie było chwili do stracenia.

Gdyby wszystko było jak dawniej, wkrótce byłaby w lesie. Ale nic już nie było jak dawniej, musiała więc razem z innymi gnać teraz na szczyt zamku, aby zobaczyć, co tam się będzie działo.

Mattis popędzał swoich zbójców, toteż jeszcze z ustami pełnymi kaszy, wszyscy, także Lovis i Ronja, pięli się energicznie zamkowymi schodami na sam szczyt. Tylko Łysy Per pozostał samotnie nad miską kaszy, zmartwiony i rozgoryczony, że kiedy ma się dziać coś ciekawego, nie może być przy tym obecny.

— Za wiele w tym domu schodów — mruknął. — No i nogi trochę za bardzo schorowane.

Był czysty, chłodny poranek. Nad gęstymi lasami, które okalały Zamek Mattisa, zalśniły pierwsze purpurowe promienie słońca. Ronja widziała ich blask ponad zwieńczeniem murów. Zapragnęła

znaleźć się tam, w dole, w swoim własnym, cichym, zielonym świecie. Nie tutaj, przy Diabelskiej Czeluści, gdzie teraz ustawili się zbójcy Mattisa i zbójcy Borki i poprzez dzielącą ich przepaść wybałuszali na siebie oczy. Ach, więc tak on wygląda, ten arcyszczwany lis, pomyślała, kiedy zobaczyła Borkę, który, szeroko rozstawiwszy nogi, stał na czele swoich zbójców. Z zadowoleniem stwierdziła, że nie był tak wysoki i urodziwy jak Mattis. Ale nie można było zaprzeczyć, że wyglądał na mocnego. Niewysoki był rzeczywiście, ale barczysty i silny, a do tego rudowłosy, ze sterczącymi na wszystkie strony kosmykami. Obok niego stał jeden taki, co też miał rude włosy, chociaż na jego głowie leżały one niczym gładki miedziany hełm. Tak, tam stał Birk i wyglądało na to, że bawi go całe to przedstawienie. Ukradkiem pokiwał do niej ręką, zupełnie jakby byli starymi przyjaciółmi. Oho, niech no mu się tylko nie zdaje! Łobuz przeklęty.

— To dobrze, Mattis* żeś przyszedł tak niezwykle szybko — odezwał się Borka.

Mattis rzucił na swego wroga ponure spojrzenie.

— Przyszedłbym wcześniej — odparł — ale miałem jedną sprawę, którą należało przedtem skończyć.

— Cóż to za sprawa? — spytał uprzejmie Borka.

— Ułożyłem dziś o świecie wiersz. Ma tytuł: „Żałobne pienia na śmierć zbójców Borki”. Może przyniesie on trochę pociechy Undis, gdy zostanie wdową.

Być może Borka sądził, że uda mu się dogadać z Mattisem i do jakiejś większej awantury o Twierdzę Borki nie dojdzie. Mylił się jednak gruntownie. Teraz to spostrzegł i zdjęła go złość.

— Powinieneś raczej pomyśleć o tym, żeby pocieszyć Lovis, która musi stale znosić ciebie i twoją gębę.

Undis i Lovis, obie, które miały być pocieszane, stojąc każda po swojej stronie Diabelskiej Czeluści, z rękami założonymi na piersiach, mierzyły się twardymi spojrzeniami. Sprawiały wrażenie, że poradzą sobie nieźle bez niczyjej pociechy.

— Teraz posłuchaj mnie, Mattis — odezwał się Borka. — CW Lesie Borki nie można było już dłużej żyć i mieszkać. Żołnierze roją się naokoło jak gzy, a gdzieś musiałem się przecież podziać z żoną, dzieckiem i wszystkimi moimi zbójcami.

— Możliwe — odparł Mattis. — Ale żeby tak bezczelnie, bez pytania, zagrabić komuś mieszkanie, trzeba nie mieć ani krztyny wstydu.

— A to osobliwe stwierdzenie u zbójcy — odrzekł Borka. — Czy ty nie brałeś zawsze, tego co chciałeś, bez pytania?

— Hm — mruknął Mattis.

Wyraźnie nie znalazł na to odpowiedzi i Ronja nie rozumiała, dlaczego. Cóż to było, co Mattis zabierał bez pytania? Musiała się tego dowiedzieć.

— Jedno nie ma nic do drugiego — odezwał się Mattis po chwili. — Ale byłoby ciekawe usłyszeć, ja-keście się tu dostali, bo można by was wyrzucić tą samą drogą.

— Nie bądź no taki szybki — odparł Borka. †

Jak żeśmy się dostali? Ano, widzisz, mamy tu takiego małego nicponia, co potrafi wdrapać się na najbardziej strome ściany skalne z długą, mocną liną, która wije się za nim niczym ogon.

Pogłaskał Birka po rudej głowie, a Birk uśmiechnął się lekko.

— A potem ten mały nicpoń umocowuje na górze linę tak dobrze, że wszyscy możemy się po niej wspiąć. I tak oto pozostaje już tylko wejść prosto do zamku i urządzić sobie przytulne zbójckie gniazdo.

Mattis przez chwilę zgrzytał zębami, zanim tego wszystkiego nie przełknął. Wreszcie odezwał się:

— O ile ja wiem, nie ma żadnego wejścia od północnej strony.

— O ile ty wiesz! To niewiele wiesz o tym zamku lub nie pamiętasz, chociaż mieszkasz tu całe życie. Widzisz, wtedy, kiedy w tym zamku rządziło dwóch panów, potrzebne było małe tylne wyjście dla służby; korzystały z niego zwłaszcza dziewczyny karmiące świnie. Chyba pamiętasz, gdzie stał chlew, kiedy byłeś mały. Ty i ja łapaliśmy tam myszy, dopóki twój ojciec nie nakrył nas i tak mnie lunął, że mało mi łeb nie odleciał.

— Tak, dużo słusznych rzeczy robił mój ojciec — odparł Mattis. — Żadnym typom z rodu Borki nie pobłażał, jak tylko mu się który napatoczył.

— Tak, tak — odpowiedział Borka. — I ten policzek nauczył mnie, że wszyscy z rodu Mattisa są moimi wrogami na śmierć i życie. Przedtem ledwie coś tam miarkowałem, że ty i ja należymy do różnych rodów. Zresztą ty chyba też o tym nie wiedziałeś.

— Ale teraz to wiem — odpowiedział Mattis. — I teraz albo rozlegnie się tu lament na śmierć zbójców Borki, albo też ty i twoi opuszczą Zamek Mat-tisa tą samą drogą, którą przyszli.

— Lamenty mogą tu być różne, jednych lub drugich — odparł Borka. — Ale w Twierdzy Borki urządziłem już sobie mieszkanie i tu pozostanę.

— To się jeszcze okaże — powiedział Mattis, a wśród jego zbójców zapanowało nieprzyjemne poruszenie. Od razu zaczęli mierzyć ze swoich kusz, ale zbójcy Borki byli także uzbrojeni, a walka nad Diabelską Czeluścią mogła skończyć się źle dla wszystkich, tego byli świadomi i Mattis, i Borka. Dlatego też, obrzuciwszy się nawzajem jeszcze dla porządku ostatni raz wyzwiskami, rozeszli się.

Kiedy Mattis zjawił się z powrotem w kamiennej sali, nie sprawiał wcale wrażenia zwycięzcy, podobnie zresztą jak żaden z jego zbójców.

Łysy Per przypatrywał im się w ciszy, po chwili uśmiechnął się chytrze swym bezzębnym uśmiechem.

— Ten dziki byk — odezwał się — co to mieliście go złapać za rogi i zwalić w Diabelską Czeluść, musiał chyba narobić niezłego rumoru. Domyślam się, że zahuczało w całym Zamku Mattisa, no nie?

— Jedz kaszę, jeśli jesteś w stanie ją przeżuć, a dzikie byki pozostaw mnie — odparł Mattis. — Kiedy nadejdzie pora, sam sobie z nimi dam radę.

Ale ponieważ wydawało się, że pora jeszcze nie nadeszła, Ronja pospieszyła do lasu.

Dni były teraz krótsze. Słońce skryje się już za parę godzin, a do tego czasu chce być w swoim lesie, nad jeziorkiem, które leżało tam skąpane w słońcu, połyskując ciepłym, złotawym blaskiem. Ronja wiedziała jednak, że to złudne złoto, bo woda jeft lodowata. Mimo to błyskawicznie zrzuciła z siebie ubranie i dała nurka. Przedtem jeszcze zdążyła wrzasnąć, ale zaraz roześmiała się radośnie. Pływała i nurkowała, póki zimno nie wypędziło jej z wody. Szczękając zębami wciągnęła na siebie skórzaną bluzę, a kiedy to nie pomogło, zaczęła biegać dla rozgrzewki. Ruszyła ostro i niczym troll migąła między drzewami przeskakując kamienie, póki nie zrobiło jej się ciepło, a policzki poczerwieniały. Teraz biegała już tylko dla przyjemności, ponieważ czuła się lekka i rześka. Z radosnym piskiem przemknęła między kilkoma grubymi świerkami i wtedy wpadła prosto na Birka.

Wściekłość znów w niej wezbrała. Nawet w lesie nie można mieć spokoju!

— Uważaj, zbójnicka córko — odezwał się Birk. — Aż tak chyba ci się nie spieszy.

— Czy mi się spieszy, czy nie, to ciebie nic nie obchodzi — odpysknęła i popędziła dalej.

Po chwili zwolniła. Przyszło jej na myśl, że mogłaby cichaczem podejść z powrotem i zobaczyć, co też Birk robi w jej lesie. Właśnie przykucnął przed norą, w której mieszkała lisia rodzina. Rozwścieczyło ją to jeszcze bardziej. To były przecież jej lisy. Obserwowała je od wiosny, kiedy urodziły im się młode. Teraz liski były już podrośnięte, ale mimo to bardzo zabawne. Podskakiwały, gryzły się i walczyły ze sobą przed norą, a Birk siedział tam i patrzył na nie. Był zwrócony do niej plecami, ale widać w jakiś nieuchwytny sposób zorientował się, że ona jest za nim, bo nie obracając się zawołał:

— Czego chcesz, zbójnicka córko?

— Chcę, żebyś zostawił w spokoju moje liski i żebyś zniknął z mojego lasu!

Wtedy wstał i podszedł do niej.

— Twoje liski! Twój las! Lisy są swoje własne, rozumiesz to? I żyją w lesie lisów. A jest on także lasem wilków, niedźwiedzi, łosi i dzikich koni. A także lasem puchaczy, myszołowów, dzikich gołębi, kukulek i jastrzębi. I lasem ślimaków, pajaków i mrówek.

— Znam wszystko, co żyje w tym lesie — odezwała się Ronja. — Akurat mnie nie musisz niczego uczyć i po to tu przychodzić.

— W takim razie wiesz, że jest to także las Wietrzy deł, Szaruchów, Pupiszonków i Mroczniaków.

— Opowiedz mi o czymś nowym — odparła Ronja. — O czymś, co znasz lepiej niż ja. A jeśli nie znasz, to raczej zamknij się.

— Poza tym jest to także mój las. I twój, zbójnicka córko, tak, twój też. Ale jeśli chcesz mieć go tylko dla siebie, to jesteś głupsza, niż myślałem, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem.

Patrzył jej prosto w twarz jasnymi błękitnymi oczami, które teraz pociemniały z niechęci. Nie lubił jej, to było widoczne, i była z tego zadowolona. Mógł sobie myśleć, co mu się żywnie podobało, ona sama pragnęła teraz iść do domu, żeby już nie musieć na niego patrzeć.

— Mogę dzielić las z lisami, puchaczami i pajakami, ale nie z tobą — powiedziała odchodząc.

Wtedy zobaczyła nadciągającą do lasu mgłę. Wełnista i szara unosiła się nad ziemią i wtaczała między drzewa. W mgnieniu oka słońce zniknęło, a złotawe błyski zgasły. Teraz nie było widać ani ścieżki, ani kamienia. Ale to jej nie przstraszyło. Umiała przecież trafić do Zamku Mattisa także podczas najbardziej gęstej mgły, więc zdąży do domu, zanim Lovis zacznie śpiewać Pieśń Wilków. Ale co będzie z Birkiem? Może odnajdywał wszystkie dróżki i ścieżki w Lesie Borki, ale tu, w Lesie Mattisa, nie był przecież zbyt zdomowiony. No to niech sobie zostanie z lisami, pomyślała, aż wstanie nowy dzień, może nie będzie mglisty.

Wtedy usłyszała, jak zawołał wśród mgły:

— Ronja!

Patrzcie, nagle wiedział także, jak jej na imię. Teraz nie była już zbójnicką córką. Znów krzyknął:

— Ronja!

— Czego chcesz? — wrzasnęła. Ale on już ją do-pędził.

— Ta mgła mnie trochę przeraża — powiedział.

— Coś takiego, boisz się, że nie trafisz do domu, do twego złodziejskiego gniazda? Możesz podzielić się norą z lisami, przecież lubisz się dzielić. Birk zaśmiał się.

— Jesteś bardziej twarda niż głaz, zbójnicka córko. Ale ty trafisz łatwiej niż ja do Zamku Mattisa. Czy mogę przytrzymać się końca twojej bluzy, póki nie wyjdziemy z lasu?

— Nie waż się — powiedziała Ronja. Ale rozwinęła swój rzemień, ten sam, który już przedtem raz go uratował, i podała mu koniec. — Masz! Ale trzymaj się ode mnie na odległość liny, radzę ci!

— Jak sobie życzysz, sroga zbójnicka córko — odpowiedział Birk.

A potem rozpoczęli swoją wędrówkę. Spowijała ich gęsta mgła i szli wśród niej w absolutnej ciszy — na odległość liny, tak jak nakazała Ronja. Teraz nie wolno było zejść ze ścieżki. Najmniejszy niewłaściwy krok mógł sprawić, że zabłądzą w mgle, o tym Ronja wiedziała. Nie bała się jednak. Rękoma i stopami wy-macywała drogę, jej drogowskazami były kamienie, drzewa i krzaki. Szło to

powoli, ale zdąży przecież do domu, zanim Lovis zacznie śpiewać Pieśń Wilków. Nie, nie było czego bać się.

Chociaż nigdy jeszcze nie szło jej się tak dziwnie. Odnosiła wrażenie, jakby całe życie lasu umarło i ucichło, a jej duszę wypełniło uczucie przygnębienia. Czyżby to był jej las, ten sam, który znała i kochała? To dlaczego teraz był taki cichy i straszny? I co to było, co kryło się wśród mgieł? Coś tam było, coś nieznanego i groźnego, ale nie wiedziała co3 i to ją przerażało.

Zaraz będę w domu, pomyślała, żeby dodać sobie otuchy, wkrótce będę leżała w swoim łóżku i słuchała Lovis śpiewającej Pieśń Wilków. Ale to nie pomogło. Strach ogarniał ją coraz silniej, aż zaczęła się bać tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu. Chciała zawołać Birka, ale wydała z siebie tylko zduszony krzyk. Jego brzmienie było tak straszne, że przeraziła się jeszcze bardziej. Zaraz oszaleję, pomyślała, i taki będzie mój koniec.

Wtedy z głębi mgły napłynęło kilka cichych, łagodnych, dziwnie żalonych dźwięków. Był to jakiś śpiew, i to śpiew niezwykły. Nigdy nie słyszała czegoś podobnego. O, jakie to było piękne, jaką słodyczą wypełniało jej las. Pod wpływem tych dźwięków cały jej strach zniknął i ogarnął ją błogi spokój. Przystanąła poddając się działaniu tego miłego uczucia. Och, jakże ta melodia wabiła i przyciągała. Tak, czuła, że ci, co śpiewali, chcieli, żeby pozostawiła ścieżkę i, kierując się wabiącymi dźwiękami, poszła w mgłę. Pieśń zabrzmiała głośniejsz, wprawiając w drżenie jej serce. I w tym momencie zapomniała o Pieśni Wilków, która czekała ją w domu. Zapomniała o wszystkim, teraz pragnęła tylko pójść do tych, co wzywali ją wpośród mgły.

— Tak, idę! — zawołała i zrobiła kilka kroków zbaczając ze ścieżki. Ale w tym momencie poczuła szarpnięcie rzemienia tak ostre, że zatoczyła się.

— Dokąd idziesz? — krzyknął Birk. — Jeśli pozwolisz zwabić się Mgłowcom, jesteś zgubiona! Wiesz o tym!

Tak, Mgłowce, słyszała o nich. Wiedziała, że zwykły wychodzić ze swych mrocznych głębi leśnych tylko podczas mgły. Nigdy nie spotkała żadnej z tych istot, ale mimo to teraz chciała pójść za nimi, dokądkolwiek by szły. Pragnęła słuchać ich pieśni, nawet gdyby miała spędzić życie pod ziemią.

— Tak, idę! — krzyknęła znów i szarpnęła się, ale Birk trzymał ją mocno.

— Puść mnie! — wrzasnęła i zaczęła go bić dziko na oślep, lecz on nie zwalniał uścisku.

— Nie idź tam! Będiesz nieszczęśliwa — powiedział. Ale ona nie słyszała go, gdyż pieśń rozlegała się teraz tak głośnie, że swoją wibrującą melodią wypełniła cały las, a także ją samą, wywołując przemożną tęsknotę, której nie mogła się oprzeć.

— Idę! — krzyknęła ponownie i zaczęła bić Bir-ka, aby się od niego uwolnić.

Drapała, szarpała, krzyczała i płakała, aż wreszcie z całej siły ugryzła go w policzek. Ale on nadal mocno ją trzymał. Trwali tak dość długo, aż nagle mgła rozplynęła się równie niespodziewanie, jak nadeszła. W tej samej chwili pieśń ucichła. Ronja rozejrzała się wokoło. Czuła się jak zbudzona przed chwilą ze snu. Ujrzała ścieżkę, która prowadziła do domu, i purpurowe słońce tonące za porośniętymi lasem grzbietami gór. I Birka stojącego tuż przy niej.

— Na długość liny, powiedziałam — przypomniała mu.

Potem zobaczyła jego krwawiący policzek i spytała:

— Lis cię ugryzł?

Birk nie odpowiedział. Zwinął ramię i podał jej.

— Dziękuję ci! Teraz już trafię sam do Twierdzy Borki!

Ronja zerknęła na niego spod grzywki. Nagle okazało się, że trudno tak naprawdę go nie lubić. Nie miała pojęcia dlaczego.

— No, to idź do diaska — powiedziała serdecznie i pobiegła ścieżką.

Tego wieczora ronja siedziała chwilę przed ogniem ze swym ojcem i wtedy nagle przypomniała sobie, że miała się go o coś zapytać.

— Co to było, co zabierałeś bez pytania? To, o czym mówił Borka.

— Hm — mruknął Mattis. — Ależ ja się bałem, że ty nie trafisz do domu w tej mgle.

— Ale jestem — odparła Ronja. — Słuchaj, co to było, co zabierałeś bez pytania?

— Patrz — powiedział Mattis, gwałtownym ruchem wskazując żarzące się drewno. — Nie widzisz? To wygląda zupełnie jak jakaś gęba! Podobny do Borki. Tfu! Przeklęty!

Ale Ronja nie była w stanie wypatrzeć żadnego Borki w żarze i wcale jej to nie obchodziło.

— Co to jest, co zabierałeś bez pytania? — upierała się.

Kiedy Mattis nie odpowiedział, uczynił to za niego Łysy Per.

— Wiele tego! Ho, ho! Tak, tak, bardzo wiele! Mógłbym policzyć...

— Zostaw! — odezwał się Mattis ze złością. — To moja sprawa.

Wszyscy zbójcy oprócz Łysego Pera poszli już do swych izb sypialnych, a Lovis była na dworze, żeby dojrzeć kur, kóz i owiec przed nocą, dlatego tylko Łysy Per słyszał, jak Mattis wyjaśniał Ronji, kim właściwie jest zbójca. Tym, który zabiera rzeczy i towary bez pytania i prośzenia.

Mattis nie zwykł wstydić się tego, przeciwnie. Pysnił się i przechwalał tym, iż jest najpotężniejszym hersztem zbójców wszystkich gór i lasów. Ale teraz, kiedy miał opowiedzieć o tym Ronji, trochę się ociągał. Zamierzał oczywiście stopniowo wtajemniczyć ją we wszystko, to było przecież konieczne. Ale chciał poczekać z tym jeszcze jakiś czas.

— Takie z ciebie jeszcze małe, niewinne jagniątko. Nie opowiadałem ci więc o tym za wiele.

— Nie, nie pisałeś słowa — potwierdził Łysy Per. — I nam też nie wolno było pisać.

— Ty, stary, nie masz ochoty pójść spać? — spytał Mattis.

Ale Łysy Per powiedział, że nie ma ochoty. Tego, o czym mówili, chciał słuchać.

I Ronja zrozumiała. Teraz w końcu pojęła, skąd się biorą te różności, które zbójcy przywożą na grzbietach koni, gdy wieczorami wracają do domu, te towary w worach i pakach, te kosztowności w puzdrach i skrzyniach. To nie rośnie na drzewach w lesie. Jej ojciec po prostu zabierał to innym ludziom.

— Czy oni nie są strasznie wściekli, kiedy im się zabiera ich rzeczy? — zapytała Ronja.

Łysy Per zachichotał.

— Wściekli, że aż się pienią — zapewnił. — Och, och, och, gdybyś tylko słyszała.

— Stary, byłoby najlepiej, gdybyś w końcu poszedł i położył się — powiedział Mattis.

Ale Łysy Per w dalszym ciągu nie chciał o tym słyszeć.

— Niektórzy także płaczą — opowiadał dalej Ronji, ale w tym momencie Mattis ryknął:

— Zamknij się, bo inaczej cię wyrzucę. Potem poklepał Ronję po policzku.

— Musisz to zrozumieć, Ronju! Tak to jest. Zawsze się tak robiło. I nie ma o co robić hałasu.

— Nie, nie ma — przytaknął Łysy Per. — Ale jasne, że ludzie nigdy nie mogą się z tym pogodzić.

Tylko krzyczą, szlochają, przeklinają, aż miło.

Mattis rzucił mu gniewne spojrzenie, potem znów zwrócił się do Ronji:

— Mój ojciec był hersztem zbójców tak samo jak mój dziad i mój pradziad, wiesz o tym. I ja nie przyniosłem rodzinie wstydu. Jestem także hersztem zbójców, najpotężniejszym hersztem wszystkich gór i lasów. I ty też nim kiedyś będziesz, Ronju.

— Ja? — wykrzyknęła Ronja. — Nigdy w życiu! Jeśli ludzie mają przeklinać i płakać, nigdy nie zostanę hersztem!

Mattis złapał się za głowę. Teraz miał orzech do zgryzienia. Pragnął, żeby Ronja go podziwiała i kochała, tak jak on sam podziwiał i kochał ją. A tu ona zaczyna krzyczeć: „Nigdy w życiu”, i nie chce być hersztem zbójców tak jak jej ojciec.

Mattis poczuł się nieszczęśliwy. W jakiś sposób musi ją przekonać, że to, czym on się zajmuje, jest słuszne i dobre.

— Rozumiesz przecież, Ronju, że ja zabieram tylko tym, co są bogaci — zapewniał ją. Po chwili zaś namysłu dorzucił: — I daję tym, co są biedni, tak robię.

W tym momencie Łysy Per zachichotał.

— Ma się rozumieć, to święta prawda. Cały wór mąki dałeś tej biednej wdowie, co miała ośmioro dzieci, pamiętasz?

— Właśnie — powiedział Mattis. — Tak właśnie zrobiłem.

Z zadowoleniem pogładził swoją czarną brodę. Teraz był rad zarówno z siebie, jak i z Łysego Pera. Łysy Per znów zachichotał.

— Ty masz dobrą pamięć, Mattis. Patrzcie, minęło chyba z dziesięć lat, kiedy to się zdarzyło. Jasne, że dajesz biednym. Tak co jakies dziesięć lat.

Mattis wrzasnął:

— Jeśli natychmiast nie pójdziesz spać, to znam takiego, co ci w końcu w tym pomoże!

Ale okazało się to niepotrzebne, bo właśnie weszła Lovis i Łys Per zniknął bez niczyjej pomocy. Ronja poszła do łóżka, ogień gasł, a Lovis śpiewała Pieśń Wilków. Ronja leżała zasłuchana i nie przejmowała się tym, że jej ojciec jest hersztem zbójców. To był jej Mattis, cokolwiek by robił, i kochała go.

Tej nocy spała niespokojnie. Śniły jej się Mgłowce i ich wabiące pieśni, ale kiedy się obudziła, nic z tego nie pamiętała.

Pamiętała za to Birka. Przez kilka najbliższych dni myślała o nim czasami i zastanawiała się, jak mu tam jest w Twierdzy Borki. I jak to długo jeszcze potrwa, zanim Mattis w końcu wyrzuci ze swego zamku jego ojca razem z całą tą zbójcką hałastrą.

Na ten temat każdego dnia Mattis robił nowe wielkie plany, ale wszystkie okazywały się nic nie warte.

— To do niczego — mówił Łysy Per za każdym razem, gdy Mattisowi wpadło coś nowego do głowy. — Ty musisz być chytry jak stara lisica, bo siłą nic tu nie poradzi.

Mattisowi wcale nie odpowiadało, żeby być chytrym jak stara lisica, ale starał się jak mógł. I kiedy tak układano i układano plany, grabieży dokonywano coraz mniej. Zbójcy Borki mieli widać także ważniejsze sprawy. A ludzie, którzy w tych dniach byli zmuszeni jechać Zbójnickim Szlakiem, dziwili się, że nie są nękani przez zbójców. Zupełnie nie rozumieli, skąd ten spokój i gdzie się podziali rabusie. Żołnierze tak zawzięcie polujący na Borkę znaleźli wprawdzie grotę, w której miał on swoje zbójckie gniazdo, ale była ona nie zamieszкана i pusta. Po Borce nie zostało nawet śladu i żołnierze nie ukrywali radości, że wreszcie mogą opuścić Las Borki, ciemny, zimny i deszczowy, jakim stał się teraz podczas jesieni. Wiedzieli wprawdzie, że są również zbójcy daleko stąd, w Lesie Mattisa, ale woleli o tym nie pamiętać. Gorszego miejsca nigdzie chyba nie było, a herszta zbójców, który tam się osiedlił, trudniej było schwytać niż orła na szczycie skały. Najchętniej pozostawiali go więc w spokoju.

Mattis najwięcej czasu poświęcał na to, żeby się wywiedzieć, co też tam zbójcy Borki robią w północnym zamku, i jak by najlepiej się do nich dostać.

W tym celu każdego dnia udawał się na zwiady. Z kilkoma ludźmi objeżdżał konno kawał lasu od północnej strony, ale intruzów nie mógł wypatrzeć. Najczęściej panowała tam martwa cisza, jak

gdyby zbójców Borki w ogóle nie było. Sporządzili sobie jednak długą, mocną drabinę sznurową, tak że mogli swobodnie schodzić i wchodzić po skalnej ścianie. Jeden jedyny raz zobaczył ją Mattis spuszczoną. W tym momencie zupełnie mu rozum odjęło, rzucił się jak szalony, żeby wspiąć się po niej. Jego zbójcy pognali za nim, płonąć żądzą walki. Natychmiast z o-tworów strzelniczych Twierdzy Borki posypał się deszcz strzał, z których jedna trafiła Małego Klip-pena w udo, tak że potem musiał leżeć w łóżku dwa dni. Sznurowa drabina zwisała tylko wtedy, gdy ją najsilniej strzeżono, to było jasne.

Jesienny mrok kładł się ciężko nad Lasem Mattisa, a zbójcom wcale nie służyło dłuższe siedzenie w beczynności. Stali się niespokojni i kłótlivi bardziej niż zwykle, aż w końcu Lovis musiała ostro im tego zakazać.

— Uszy mi pękają od tych waszych kłótni i wrzasków. Jazda stąd, wynoście się wszyscy do diaska, jeśli nie możecie się powstrzymać!

Wtedy zamilkli i Lovis zasadzała ich do coraz to nowych zajęć. Uprzątała więc i czyścili kurnik, owczarnię, oborę, a było to coś, czego nienawidzili z całej duszy. Ale żadnemu nie udało się od tego wywinąć z wyjątkiem Łysego Pera i tych, co trzymali akurat straż przy Wilczej Pułapce albo na górze przy Diabelskiej Czeluści.

Mattis także starał się utrzymać zbójców w formie. Wybrał się więc z nimi na polowanie na łosie. Z oszczepami i kuszami zapuścili się w jesienny las. A kiedy wrócili do domu z czterema wielkimi łosiami, które ubili, Łyсы Per uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ciągłe tylko rosół z kury albo rosół z jagnięcia i kasza, to nie wystarcza na długo — powiedział. — teraz można będzie coś pozuć, a te najbardziej miękkie kawałki musi dostać ten, co nie ma zębów, tyle to chyba każdy rozumie.

I Lovis piekła mięso z łosia, wędziła mięso z łosia, marynowała mięso z łosia, tak że na zmianę z pieczonymi kurami i baraniami udźcami mogło wystarczyć tego na całą zimę.

Ronja jak zwykle przebywała głównie w lesie. Panowała tam teraz zupełna cisza, ale ten jesienny las Ronja także lubiła. Mech pod jej bosymi stopami był wilgotny, zielony i miękki. Pachniało tak cudownie jesienią, a gałęzie drzew lśniły wilgocią. Często padało. Lubiła siedzieć skulona pod grubym świerkiem i wsłuchiwać się w spadające cicho krople. Czasami padało tak, że cały las szumiał deszczem, i to także lubiła. Zwierzęta można było zobaczyć rzadko. Jej lisy siedziały w swojej norze. Ale czasami w mroku widziała łosia idącego ciężkim krokiem albo dzikie konie, które skubały trawę między drzewami. Chętnie złapałaby sobie dzikiego konia i wiele razy tego próbowała, ale nigdy jej się nie udało, tak były płochliwe i z pewnością trudne do oswojenia. Niewątpliwie nadszedł czas, żeby miała konia. Powiedziała o tym Mattisowi.

— Owszem, jeśli masz dość siły, żeby sobie sama złapać — odparł.

Pewnego dnia zrobię to, myślała. Złapię sobie młodego, ślicznego, zabiorę do zamku i oswoję go, tak samo jak Mattis uczynił ze wszystkimi swoimi końmi.

Poza tym las jesienią był dziwnie pusty. Wszystkie stworzenia, które zwykły się w nim znajdować, zniknęły. Powciskały się pewnie w swoje norki i kryjówki. Czasami, z rzadka, od strony gór przylatywały Wietrzydła, ale były wyraźnie spokojniejsze i najchętniej przebywały w swoich górskich grotach. Szaruchy także nie wychodziły z ukrycia. Raz tylko spostrzegła Ronja kilka z nich obserwujących ją spoza dużego głazu. Ale teraz nie bała się już Szaruchów.

— Wynoście się do diaska! — krzyknęła, a wtedy one zniknęły z przytłumionym, chrypliwym bormotaniem.

Birka również nigdy więcej nie spotkała w swoim lesie. I była z tego zadowolona. A może nie? Czasami sama nie bardzo wiedziała, jak to z tym jest.

Nadeszła zima. Padał śnieg, nastał mróz i szron, który przemienił las Ronji w lodowy bór, najpiękniejszy, jak tylko można sobie wyobrazić. Jeździła w nim na nartach, a kiedy wracała o zmroku do domu, miała szron na włosach i popękane paznokcie u rąk i nóg mimo skórzanych rękawic i ciepłych butów z cholewami. Żaden mróz ani żaden śnieg nie były jednak w stanie powstrzymać jej od pójścia do lasu. Następnego dnia była tam znów. Mattis zamierał nieraz z przerażenia, kiedy widział ją szusującą w dół ku Wilczej Pułapce, i mawiał zazwyczaj do Lovis:

— Żeby tylko wszystko było dobrze. Żeby tylko nic złego jej się nie stało, bo ja tego nie przeżyję.

— Nad czym ty lamentujesz? — odpowiadała Lovis. — To dziecko jest ostrożniejsze niż którykolwiek ze zbójców, ile razy mam ci to powtarzać?

I rzeczywiście Ronja uważała na siebie, ale pewnego dnia wydarzyło się coś, o czym Mattis raczej nie powinien się dowiedzieć.

W nocy spadł znów śnieg, który przykrył wszystkie narciarskie trasy Ronji. Musiała więc ubijać nowe, a było to pracą ciężką. Mróz, chociaż niezbyt ostry, pokrył śnieg cienką warstwą lodu. Ubijanie tras zabrało jej tyle czasu, że w końcu nie miała już sił zjeżdżać. Zapragnęła znaleźć się w domu. Wdrapała się na skaliste wzgórze i zamierzała zjechać od drugiej strony. Zbocze było bardzo strome, ale miała przecież kijki narciarskie, którymi mogła hamować, więc bez obawy ruszyła w dół wzbijając tumany śnieżnego pyłu. Nagle najechała na próg, który pokonała skokiem, ale zgubiła przy tym jedną nartę, a jej stopa przebiła warstwę śniegu i wpadła w głęboką jamę. Zobaczyła swoją nartę ześlizgującą się po zboczu i znikającą, podczas gdy ona sama utknęła nogą w jamie po kolano. Rozśmieszyło ją to, ale szybko spoważniała, gdy spostrzegła się, że jest źle. Nie mogła wydostać się z uwięzi, mimo szamotania się i wrywania ze wszystkich sił. Z głębi jamy doszło ją jakieś mamrotanie, ale zupełnie nie rozumiała, co to mogło być. Wtem kawałek dalej ujrzała gramolące się poprzez śnieg stadko Pupiszonków. Łatwo było je poznać po ich szerokich

pupkach, małych, pomarszczonych twarzyczkach i zmierzwionych włosach. Pupiszonki były zazwyczaj przyjazne, nastawione pokojowo i nie czyniły nikomu krzywdy. Ale te tutaj, które stały teraz i gapiły się na nią głupiutkimi oczami, te były najwyraźniej niezadowolone. Chrzękały i wzdychały, a jeden z nich powiedział ponurym głosem:

— Cemu una tak lobi?

I zaraz przyłączyły się inne:

— Cemu una tak lobi? Dlaczego lozwała nam dach? Cemu to tak?

Ronja pojęła, że wpadła stopą w ich ziemiankę. Pupiszonki budowały je sobie, jeśli nie znalazły dziupli odpowiedniej na mieszkanie.

— Nic na to nie mogłam poradzić — powiedziała. — Pomóście mi się wydostać.

Ale Pupiszonki tylko gapiły się na nią i wzdychały równie ponuro jak przedtem.

— Una siedzi w dachu, cemu una tak lobi? Ronja zaczęła się niecierpliwić.

— Pomóście mi więc, żebym mogła stąd wyjść! Wyglądało jednak na to, że one nie słyszą lub nie rozumieją. Gapiły się tylko na nią bezmyślnie, a po chwili zniknęły w swojej ziemiance. Usłyszała z dołu ich niezadowolone mamrotanie. Nagle zaczęły pokrzykiwać radośnie, jak gdyby coś je ucieszyło.

— Da sie! — krzyczały. — Kołysa sie!

I Ronja poczuła, że coś ciężkiego zawisło na jej stopie.

— Maluśki Pupisonek dobrze sie kołysa! — krzyczały Pupiszonki. — Kołys kołyskę, kiedy juz i tak mamy w dachu twojego nogasa!

Ale Ronja nie miała zamiaru leżeć w zimnie i śniegu po to, żeby kołysać głupie Pupiszony.

Spróbowała znów, wierciła się i szamotała ze wszystkich sił, żeby tylko się wyswobodzić. Wtedy Pupiszonki krzyczały radośnie:

— Telaz Pupisonek sie kołysa, sie kołysa!

W Lesie Mattisa nie należało się bać, słyszała to od maleńkości i przecież tak się zawsze starała, żeby opanować strach. Ale czasami nie mogła. Właśnie teraz nie mogła. Co będzie, jeśli nie uda jej się wyswobodzić, jeśli pozostanie tu przez całą noc i zamarźnie na śmierć. Widziała nad lasem ciemne chmury śniegowe. Znów spadnie śnieg, dużo śniegu! Może będzie tu leżała schowana pod nim, martwa i zamarznęta, a na jej stopie będzie się kołysać aż do wiosny mały Pupiszonek. Jako pierwszy nadejdzie pewnie wtedy Mattis i znajdzie swą nieszczęsną córkę, która zamarzła na śmierć w zimowym lesie.

— Nie! nie! — krzyknęła. — Ratunku! Na pomoc!

Ale kto mógł usłyszeć ją w tym pustym lesie? Absolutnie nikt, wiedziała o tym. Mimo to wołała, dopóki starczyło jej sił.

— Już się nie kołysa! Cemu to tak?

Ale Ronja nie usłyszała już tego, ponieważ właśnie zobaczyła Wietrzy dło. Niczym ogromny, czarny i piękny drapieżny ptak kołysząc skrzydłami leciało wysoko nad lasem na tle ciemnych chmur, wtem zniżyło swój lot i zaczęło się zbliżać. Zmierzało prosto w kierunku Ronji. Dziewczynka zamknęła oczy i zrozumiała, że teraz nie ma już ratunku.

Krzycząc i śmiejąc się Wietrzydło wylądowało tuż koło niej.

— Ładny, mały człowieczek! — wrzasnęło szaleńczo i schwyciło Ronję za włosy. — Leży i odpoczywa sobie! Hu! hu!

Znów zaśmiało się, a był to śmiech budzący najwyższe przerażenie.

— Będziesz pracować! U nas, w górach! Do krwawego potu! Inaczej rozerwiemy cię, inaczej rozszarpimy cię!

Zaczął tarmosić i targać Ronję ostrymi pazurami, a kiedy mimo to nadal tkwiła kamieniem, wpadło we wściekłość.

— Mam cię rozszarpać, rozedrzeć?

Pochyliło się nad Ronją, a jego czarne kamienne oczy świeciły złością. Potem znów spróbowało wydobyć Ronję, mocno ją tarmosząc i szarpiąc, ale bez powodzenia. W końcu zmęczyło się.

— Jutro przyprowadzę moje siostrzyce! — krzyknęło. — Pochwycimy cię! Już nigdy nie będziesz leżeć sobie i odpoczywać. Nigdy! Nigdy!

Odfrunęło nad wierzchołki drzew i zniknęło gdzieś nad górami.

Jutro, kiedy przylecą Wietrzydła, będzie tu leżał tylko sople lodu, pomyślała Ronja.

W jamie Pupiszonków panowała cisza. Cały las pogrążył się w ciszy i tylko czekał nadchodzącej nocy. Ronja także na nią czekała. Leżała bez ruchu, nie walcząc więcej. Może sobie już przyjść, pomyślała, ta ostatnia zimna, ciemna i samotna noc, która wszystko zakończy.

Zaczął sypać śnieg. Duże płatki padały na jej twarz, topiły się i mieszały z łzami. Bo teraz płakała. Pomyślała o Mattisie i o Lovis. Nigdy więcej ich już nie zobaczy, a w Zamku Mattisa już nikt nigdy nie będzie radosny. Biedny Mattis, on oszaleje z rozpaczy. I nie będzie Ronji, która by go pocieszyła, tak jak robiła to zawsze, kiedy był smutny. Nie, teraz nie było już żadnej, ale to żadnej nadziei, ani na to, by komuś nieść pociechę, ani na to, by jej doznać samemu.

Wtem usłyszała, że ktoś zawołał jej imię. Głos zabrzmiał jasno i wyraźnie, pomyślała jednak, iż musi to być senne majaczenie. I dalej płakała. Tylko we śnie może jeszcze usłyszeć, że ktoś woła ją po imieniu. A wkrótce już nawet i śnić nie będzie.

Ale w tym momencie znów usłyszała ten sam głos:

— Ronja, nie idziesz do domu?

Niechętnie otworzyła oczy. Przed nią stał Birk, tak, Birk na nartach.

— Znalazłem twoją nartę tam w dole. To prawdziwe szczęście, bo inaczej mogłabyś długo tu leżeć.

Wbił nartę w śnieg tuż koło niej.

— Coś ci się stało?

Wtedy rozplakała się, głośno i spazmatycznie, aż ogarnął ją wstyd. Wstrząsana płaczem nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa, dopiero kiedy schylił się, żeby ją podnieść, objęła go ramionami i wyszło-chała z rozpaczą:

— Nie odchodź ode mnie! Nigdy więcej nie odchodź ode mnie!

Uśmiechnął się.

— Nie odejdę, tylko trzymaj się na długość rzemienia. A teraz przestań zawodzić i puść mnie, to zobaczę, jak cię stąd wydobyć.

Odpiął narty, położył się na brzuchu tuż przy jamie i wsunął w nią rękę najgłębiej, jak mógł. Dłuższą chwilę grzebał w ziemi, aż nagle zdarzył się cud. Ronja mogła wyciągnąć nogę, była wolna!

Ale znajdujące się pod ziemią Pupiszonki wpadły w złość, a ich małe rozwrzeszczało się.

— Maluśki, ślicny Pupisonek! Syła mu ziemi do ocków, czemu una tak lobi?

Ronja nadal szlochała, nie mogąc się opanować. Birk podał jej nartę.

— Weź się w garść — powiedział. — Inaczej nigdy nie zdołasz dotrzeć do domu.

Ronja wzięła głęboki oddech. Tak, dość już tego lamentowania. Stojąc na nartach sprawdziła, czy noga była w porządku i czy zdoła dojechać na niej do domu.

— Spróbuję — odezwała się. — Ale ty też pojedziesz?

— Ja też pojedę — powiedział Birk.

Ronja wzięła rozpęd i ruszyła w dół zbocza, zaraz za nią zjechał Birk. Cały czas, kiedy z trudem brnęła przez zawieję, miała go tuż za sobą. Nie mogła się powstrzymać, żeby raz po raz nie oglądać się, aby sprawdzić, czy on na pewno tam jest. Tak bardzo się bała, że nagle zniknie i zostawi ją samą. Ale on cały czas jechał za nią, trzymając się na odległość rzemienia, póki nie zbliżyli się do Wilczej Pułapki. Tu musieli się rozdzielić. Dalej Birk miał tajemnymi ścieżkami dostać się do Twierdzy Borki.

Na chwilę przystanęli wśród padającego śniegu, żeby się pożegnać. Dla Ronji okazało się to trudne, ze wszystkich sił pragnęła go zatrzymać.

— Birk — odezwała się. — Chciałabym, żebyś był moim bratem.

Birk uśmiechnął się.

— Mogę nim być, jeśli tego chcesz, zbójnicka córko!

— Chcę tego — powiedziała. — Ale tylko wtedy, jeśli będziesz mówił do mnie Ronja.

— Ronja, siostrzyczka moja — powiedział. Birk. I zniknął w zawiei.

— Długo byłaś dziś w lesie — zauważył Mattis, gdy Ronja siadła przy ogniu próbując się rozgrzać. — Dobrze było?

— Tak, całkiem dobrze — odpowiedziała Ronja wyciągając w kierunku ciepła zlodowaciałe ręce.

Tej nocy na zamek mattisa i lasy dookoła nawaliło tyle śniegu, że nawet Łysy Per nie pamiętał większego. Aż czterech zbójców musiało pchać skrzydła głównych zamkowych drzwi, żeby zrobić choćby szparę, przez którą można by się precisnąć na zewnątrz, aby odrzucić największe zaspę.

Łysy Per także wychylił nos i ujrzał pusty biały krajobraz z przykrywającą wszystko grubą warstwą śniegu. Przejście przy Wilczej Pułapce było zamurowane śniegiem. Jeżeli dalej tak będzie padało, to tym przesmykiem nie da się przejść, póki nie nadejdzie wiosna, dumął, Łysy Per.

— Ty, Fjosok — odezwał się — jeśli przypadkiem twoją największą przyjemnością jest odgarnianie śniegu, to w najbliższym czasie mogę ci zapewnić wiele uciechy.

Najczęściej przepowiednie Łysego Pera spełniały się, i tym razem też tak było. Przez długi czas śnieg sypał dzień i noc. Zbójcy odgarniali go łopatami i przeklinali, ale takie opady miały też swoje dobre strony, na przykład nie trzeba było w obawie przed bandą Borki trzymać warty ani przy Wilczej Pułapce, ani przy Diabelskiej Czeluści.

— Wprawdzie Borka jest głupszy od wołu — powiedział raz Mattis — ale tak nieludzko durny chyba nie jest, żeby podejmować walkę w śniegu po pachy.

Tak durny nie był również Mattis, a zresztą nie przejmował się teraz tak bardzo Borką. Miał większe zmartwienia. Pierwszy raz w swoim życiu Ronja była chora. Nazajutrz po tamtym dniu w zimowym lesie, dniu, który tak łatwo mógł być dla niej ostatnim, obudziła się z wysoką gorączką i ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że wcale nie ma ochoty wstać i robić to, co zwykle.

— Co ci jest? — wykrzyknął Mattis i runął na kolana przy jej łóżku. — Co ty mówisz? Chyba nie jesteś chora? — Chwytał ją za rękę i poczuł, że jest gorąca.

Tak, dziewczynka była rozpalona, zauważył to i przestraszył się. Nigdy przedtem nie widział jej w takim stanie. Dotąd wszystkie lata tryskała zdrowiem. A teraz jego córka, którą tak gorąco kochał, była chora. Mattis w jednej chwili pojął wszystko. Wiedział, co się teraz stanie. Ronja zostanie mu odebrana, umrze, czuł to aż do bólu serca. Oszalały z rozpacz zastanawiał się, co ma ze sobą począć. Najchętniej waliłby głową w ścianę i wył, jak to zwykle robił, kiedy miał zmartwienie. Ale nie wolno mu było przestraszyć tego biednego dziecka, na tyle starczało mu rozsądku.

Dlatego też położył tylko dłoń na jej rozpalonym czole i wymamrotał:

— To dobrze, że nakryłaś się ciepło, moja Ronju. Należy tak robić, kiedy się jest chorym.

Ale Ronja знаła dobrze swego ojca, więc mimo palącej ją gorączki, próbowała go pocieszyć.

— Nie bądź niemądry, Mattis. To przecież nic takiego. Mogło być dużo gorzej.

Mogłam od zimy do wiosny leżeć ukryta pod śniegiem daleko w lesie, pomyślała. Biedny Mattis! Znów uzmysłowiła sobie, jakim byłoby to dla niego ciosem, i w jej oczach ukazały się łzy. Mattis zobaczył je i pomyślał, że ona rozpacza, iż musi umrzeć tak młodo.

— Dziecino, będziesz znów zdrowa, nie płacz — powiedział, z wysiłkiem powstrzymując własny szloch. — Ale gdzież jest twoja matka? — ryknął i z płaczem rzucił się w kierunku drzwi. Dlaczego nie było tu Lovis z ziołami ściągającymi gorączkę, teraz, kiedy życie Ronji wisiało na włosku?

Zajrzał do owczarni, ale tam jej nie było. Stojące w swych zagrodach owce zaczęły pobekiwać z głodu, lecz wkrótce zorientowały się, że ten, kto wszedł, nie był osobą właściwą. Ten tutaj stanął bowiem, oparł swą kudłatą głowę o belkę owczarni i zaczął płakać tak rozdzierająco, że okropnie je przestraszył.

Mattis nie przestawał wyc, póki Lovis, po uporządkowaniu swych kur i kóz, nie weszła w drzwi owczarni. Wtedy ryknął:

— Kobieto, dlaczego nie jesteś przy swym chorym dziecku?

— Czyżbym miała jakieś chore dziecko? — zapytała Lovis ze spokojem. — Nic o tym nie wiem. Ale jak tylko nakarmię owce...

— To mogę ja zrobić! Leć do Ronji! — wrzasnął i zaraz wysapał trochę ciszej: — Jeśli ona jeszcze żyje.

Gdy Lovis poszła do domu, przyciągnął z szopy całą wiązkę osiczyny i karmiąc owce, uskarżał się żałościwie:

— Wy nie wiecie, co to znaczy mieć dziecko. Wy nie wiecie, co się czuje, kiedy ma się utracić swoje najukochańsze jagniątko.

Nagle umilkł, ponieważ w tym właśnie momencie uzmysłowił sobie, że wszystkie one miały przecież wiosną jagnięta. I co z nich zostało... baranie udźce prawie co do jednego.

Lovis dawała swej córce do picia napar z ziół ściągających gorączkę i po trzech dniach, ku radosnemu zdumieniu Mattisa, Ronja była zdrowa. Wyglądała tak samo jak zwykle, może tylko sprawiała wrażenie trochę bardziej zamyślonej. Podczas tych trzech dni spędzonych w łóżku zdążyła to i owo przemyśleć. Jak to teraz będzie? Z Birkiem! Zyskała brata, ale kiedy i czy w ogóle kiedykolwiek będzie mogła spotykać się z nim? Musi się to dziać w tajemnicy. Nie mogła przecież powiedzieć Mattisowi, że jeden z bandy Borki został jej przyjacielem. Byłby to dla niego cios jak obuchem w głowę, a nawet jeszcze gorzej, taka wiadomość mogłaby go dosłownie zdruzgotać i sprawić, że odchodziłby od zmysłów bardziej niż kiedykolwiek. Ronja westchnęła. Dlaczego jej ojciec musiał być zawsze tak porywczy? Nie miało znaczenia, czy był zadowolony, zły czy

smutny. Miał w sobie tyle dzikiej gwałtowności, że wystarczyłoby jej na całą zbójcecką bandę. Ronja nie miała zwyczaju kłamać swemu ojcu. Tylko jeśli wiedziała, że coś mogło wywołać jego smutek lub wściekłość, milczała. Albo smutek i wściekłość jednocześnie, co by się niezawodnie stało, gdyby mu opowiedziała o Birku. Ale na to nie było rady. Zyskała brata i chciała się z nim spotykać, choćby ukradkiem, choćby skradając się.

Jak tu jednak skradać się w takim śniegu? O wyjściu do lasu nie było mowy, ponieważ przejście przy Wilczej Pułapce było niedostępne, a zresztą czuła lęk przed tym zimowym lasem. Na razie miała go dość.

Śnieżne burze nadal wyły wokół Zamku Mattisa. Z dnia na dzień było gorzej i gorzej, aż w końcu Ronja zrozumiała, jak bardzo jest źle; przed nastaniem wiosny, nie będzie mogła zobaczyć Birka. Był tak daleko od niej, jak gdyby mieszkali o tysiąc mil od siebie.

A wszystkiemu winien był śnieg.

Z każdym dniem Ronja patrzyła na śnieg z coraz to większą niechęcią, a i zbójcy nienawidzili go równie serdecznie. Co rano kłócili się o to, na kogo przypadła kolej odśnieżania ścieżki do źródła, z którego brano wodę. Leżało ono w połowie drogi do Wilczej Pułapki i przekopanie się tam przy zacinającym prosto w twarz śniegu, a potem targanie do domu ciężkich kubłów z wodą i to w takiej ilości, żeby wystarczyło zarówno dla ludzi, jak i bydła, było pracą nad wyraz wyczerpującą.

— Jesteście leniwi jak woły — mówiła Lovis. — Tylko podczas bijatyki i rabunku pracujecie pełną parą.

A leniwi zbójcy tęsknili do wiosny, kiedy to znów nadejdzie czas rabowania. Tymczasem przedłużający się okres oczekiwania spędzali odgarniając coraz to większe zasy śniegu. Strugali również narty, przeglądali broń, czyścili konie, a także grali w kości, tańczyli i śpiewali przy ogniu zbójnickie pieśni, tak jak czynili to zawsze.

Ronja grała z nimi w kości, śpiewała i tańczyła, nie mniej niż zbójcy tęskniąc przy tym do wiosny i do lasu z jego wiosennym czarem. Wtedy wreszcie będzie mogła zobaczyć Birka, pomówić z nim i upewnić się, czy w dalszym ciągu chce być jej bratem, tak jak przyrzekł wtedy podczas zawiei śnieżnej.

Takie czekanie było jednak trudne, w dodatku Ronja nienawidziła, kiedy coś ją trzymało w miejscu. Stawała się wtedy niesłychanie czynna, a czasu było wiele. Dlatego też pewnego dnia zeszła do podziemia, gdzie dawno już nie była. Nie lubiła tych starych mrocznych lochów. Tworzyły tam w dole całe korytarze, powstałe w miejscach, gdzie rozsadziło skałę. Wprawdzie Łysy Per twierdził, że nikogo tu nie więziono już od niepamiętnych czasów, kiedy to jeszcze wielcy panowie i książęta władali Zamkiem Mattisa, na długo przedtem zanim stał się zbójcecką warownią, mimo to Ronja zszedłszy w ten stęchły chłód pod piwnicznym sklepieniem, czuła, jak

gdyby po tamtych dawno zmarłych więźniach pozostały w kamiennych ścianach jakieś jęki i westchnienia, i zrobiło jej się nieswojo. Skierowała światło swego kaganka na mroczne groty, gdzie owi nieszczęśnicy siedzieli bez żadnej nadziei na to, że kiedykolwiek jeszcze ujrzą jasność dnia. Zatrzymała się na chwilę, przygnębiona całym tym okrucieństwem, które kiedyś działo się w Zamku Mattisa.

Drżąc otuliła się ciasniej wilczym futrem i dalej kroczyła podziemnymi przejściami, które omijając groty ciągnęły się pod całym zamkiem. Chodziła już tutaj z Łysym Perem. To on pokazał jej, co działał piorun w noc jej narodzin. Nie dość na tym, że wyrąbał Diabelską Czeluść, ale rozwalił także górę, dlatego teraz podziemne przejścia były w środku zawałone kamiennymi odłamkami.

— Tutaj koniec, dalej już nie wolno — powiedziała Ronja, zupełnie tak samo jak Łysy Per, kiedy ją tu przyprowadził.

Ale po chwili zaczęła zastanawiać się. Korytarz ciągnął się także po drugiej stronie rumowiska, wiedziała o tym, a Łysy Per także to mówił. Zawsze ją to złościło, że nie mogła pójść dalej, a teraz irytowało bardziej niż kiedykolwiek. Gdzieś za tym całym rumowiskiem jest przecież Birk, kto wie, może właśnie w tej chwili?

Stała zamyślona i patrzyła na zwałony stos kamieni. W końcu wymyśliła.

W ciągu następnych dni nieczęsto widywano Ron-ję w kamiennej sali. Każdego ranka znikła nie wiedzieć gdzie, ale ani Mattisa, ani Lovis nie interesowało, czym się zajmuje. Sądzili, że odśnieżała tak jak wszyscy, a zresztą oboje byli przyzwyczajeni, że chodziła swoimi drogami.

Ale Ronja nie zajmowała się śniegiem. Odrzucała kamienne odłamki, aż bolały ją ramiona i krzyż. A kiedy wieczorami idąc do łóżka zataczała się ze zmęczenia, jedno wiedziała na pewno: nigdy w życiu nie podniesie już żadnego kamienia, ani małego, ani dużego. Ale nim jeszcze nastał ranek, znów była pod ziemią. I zaczynała jak szalona napełniać kubek za kubkiem odłamkami skał. Płoneła taką nienawiścią do tych wszystkich skalnych okruchów, że właściwie powinny się stopić. Ale nic takiego się nie stało. Leżały sobie dalej tam, gdzie leżały, a Ronja targała kubły jeden za drugim i wyносиła je do najbliższej pieczary.

Nastał jednak dzień, kiedy pieczara była pełna, a kupa gruzów przy progu tak zmaląła, że przy pewnym wysiłku można było przeleźć na drugą stronę. Jeżeli ktoś odważyłby się na to. Ronja zrozumiała, że teraz musi pomyśleć. Czy ośmieli się ruszyć prosto do Twierdzy Borki! I co ją tam spotka? Tego nie wiedziała, ale zdawała sobie sprawę, że wstępuje na niebezpieczne ścieżki. A jednak chyba nie było drogi na tyle niebezpiecznej, żeby nie chciała sprawdzić, czy zaprowadzi ją ona do Birka. Tęskniła do niego. Zupełnie nie mogła pojąć, jak to się stało. Przecież był czas, że nie cierpiała go i życzyła i jemu, i wszystkim zbójcom Borki, żeby ich diabli wzięli. A teraz stała tu

i jedynym jej pragnieniem było znaleźć się wreszcie po drugiej stronie złomowiska i spróbować odnaleźć Birka.

Nagle doszedł ją jakiś dźwięk. Usłyszała zbliżające się od tamtej strony kroki. Któż to mógł być, jeśli nie któryś ze zbójców Borki? Wstrzymała oddech i zamarła w bezruchu. Przez chwilę stała tak w ciszy nad słuchując, po czym zdecydowała, że trzeba odejść, zanim ten ktoś odkryje jej obecność.

Wtem zbój Borki zaczął gwizdać! Łatwą, wpadającą w ucho melodię, którą gdzieś już słyszała. Tak, na pewno słyszała ją już przedtem! Birk gwizdał to, kiedy wyciągał ją z trudem z jamy Pupiszonków. Czyżby więc Birk znajdował się tak blisko niej, czy też wszyscy zbójcy Borki gwizdali tę właśnie melodię? Paliła ją ciekawość, ale pytać wprost byłoby niebezpiecznie. A jednak musiała jakoś dowiedzieć się, kim był gwizdzący, zaczęła więc bardzo cichutko gwizdać tę samą melodię. Po drugiej stronie zrobiło się cicho. Dłuższą chwilę panowała tak niesamowita cisza, że Ronja już się gotowała do ucieczki, licząc się z tym, że teraz któryś ze zbójców Borki przeczłoga się przez rumowisko, aby schwycić ją w swoje szpony.

Ale wtedy usłyszała głos Birka. Cichy i niepewny, jakby niedowierzający.

— Ronja?

— Birk! — krzyknęła tak nieprzytomnie szczęśliwa, że nie była w stanie złapać oddechu. — Birk! O, Birk!

Potem zamilkła. Wreszcie odezwała się:

— Naprawdę chcesz mi być bratem? Usłyszała, jak roześmiał się za rumowiskiem.

— Siostrzyczko moja — powiedział — lubię słuchać twego głosu, ale chciałbym cię również zobaczyć. Czy twoje oczy są ciągle tak samo czarne?

— Przyjdź i sprawdź — odparła Ronja.

Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż usłyszała coś, co zaparło jej dech. Z tyłu, daleko za nią, otworzyły się i zaraz zamknęły z trzaskiem ciężkie drzwi do piwnicy, a teraz słyhać było, jak ktoś schodził po schodach. Tak, ktoś szedł i jeśli ona natychmiast czegoś nie wymyśli, jest zgubiona. I Birk też! Zbliżające się kroki słyhać było coraz wyraźniej. Długim korytarzem ktoś szedł, powoli i nieubłaganie. Wiedziała, czym to grozi, a mimo to stała bez ruchu, sparaliżowana ze strachu. Dosłownie w ostatniej chwili ocknęła się nagle i szepnęła pośpiesznie do Birka:

— Jutro!

Potem ruszyła na spotkanie tego, kto nadchodził. Kimkolwiek był, musiała go zatrzymać, aby niczego nie spostrzegł.

Był to Łysy Per, którego twarz rozjaśniła się na jej widok.

— Co ja się naszukałem — odezwał się. — Co ty, do wszystkich Wietrzydeł, tu robisz?

Chwyciła go szybko za rękę i zawróciła do wyjścia, zanim byłoby nieodwołalnie za późno.

— Nie można przecież bez przerwy odgarniać śniegu — powiedziała. — Chodź, teraz chcę już stąd iść. I naprawdę tego chciała. Dopiero teraz do jej świadomości dotarło, co uczyniła. Oto otworzyła drogę do Twierdzy Borki! Gdyby Mattis o tym wiedział! Nie żeby był chytry jak stara lisica, ale teraz pojąłby z pewnością, że istnieje sposób dostania się do Borki. Na ten pomysł mógł sam wpaść już dawno, pomyślała Ronja. Ale teraz była rada, że tego nie zrobił. To dziwne, wcale nie pragnęła już wyrzucenia z Zamku Mattisa żadnych zbójców Borki. Oni muszą tu pozostać — z powodu Birka. Birka nie wolno wyrzucić i jeśli tylko jej się uda, nikt nie wedrze się do Twierdzy Borki tą drogą, którą otworzyła. Dlatego teraz musiała baczyć, żeby Łysy Per nie pomyślał sobie czegoś niepotrzebnego. Szedł obok niej z chytrą miną. Ale przecież zwykle miał taki wyraz twarzy. Można było przypuszczać, że znał wszystkie tajemnice. Ale żeby nie wiedzieć, jak był chytry, to tym razem Ronja okazała się jeszcze chytrzejsza. Jej tajemnicy nie odkrył. Przynajmniej na razie.

— Nie, nie, nie można bez przerwy odgarniać śniegu — zgodził się Łysy Per. — Ale grać w kości można dzień i noc. Co o tym sądzisz, Ronja?

— Grać w kości można dzień i noc. Szczególnie teraz — odparła Ronja i pociągnęła go energicznie w górę stromych piwnicznych schodów. Grała w kości z Łysym Perem aż do Pieśni Wilków. Ale cały czas myślała o Birku.

Jutro! To było ostatnie, co pomyślała, zanim zasnęła tego wieczora. Jutro!

I wreszcie nastąpiło jutro, kiedy to miała spotkać Birka. Teraz musiała czmychnąć. Należało utrafić w tę krótką chwilę, kiedy znajdzie się sama w kamiennej sali, podczas gdy wszyscy inni będą przy swoich rannych zajęciach. W każdej chwili mógł zjawić się Łysy Per, a jego pytań pragnęła uniknąć.

Równie dobrze mogę zjeść śniadanie pod ziemią, pomyślała. Tutaj i tak nie ma przecież spokoju. Prędko wsunęła chleb do skórzanego woreczka i naląła koziego mleka do butelki. I nim ktokolwiek zdążył ją zobaczyć, zniknęła w dole pod piwnicznymi sklepieniami. Wkrótce znalazła się przy kamiennym progu.

— Birk! — zawołała z nagłym strachem, że mogłoby go tam nie być.

Spoza rumowiska nikt nie odpowiadał, a ona odczuła taki zawód, że zbierało jej się na płacz. A jeśli on nie przyjdzie? Może o wszystkim zapomniał albo, jeszcze gorzej, może mu się odmieniło. Ona należała przecież do zbójckiej kompanii Mattisa i była wrogiem Borki. Może nie chciał mieć z nią do czynienia, kiedy uświadomił sobie to wszystko.

Wtem ktoś lekko pociągnął ją z tyłu za włosy. Krzyknęła przestraszona. Ach, ten Łysy Per, musiał znów szpiegować i zepsuć wszystko!

Ale to nie był Łysy Per. To był Birk. Stał obok i śmiał się, jego zęby lśniły w ciemności. W słabym świetle kaganka nie mogła zobaczyć go dokładnie.

— Długo czekałem — powiedział.

Ronja poczuła dreszcz cichej radości. Oto ma brata, który długo na nią czekał!

— A ja? — odparła. — Ja czekam od czasu, jak uwolniłeś mnie od Pupiszonów.

Potem przez chwilę nie wiedzieli, co mogliby sobie jeszcze powiedzieć, więc tylko stali w ciszy, bardzo radzi, że są razem.

Birk uniósł swoją łożówkę i zbliżył ją do twarzy Ronji.

— Czarne oczy masz nadal — odezwał się. — Jesteś taka, jak cię zapamiętałem, tylko trochę bledsza.

Dopiero wtedy Ronja zauważyła, że Birk zmienił się. Wychudł, jego twarz zrobiła się jakaś wąska, a oczy w niej wydawały się ogromne.

— Co z tobą? — spytała.

— Nic — odpowiedział Birk. — Tylko nie jadłem zbyt wiele. I tak dostawałem więcej niż ktokolwiek inny w Twierdzy Borki.

Chwilę trwało, zanim Ronja pojęła to, co powiedział.

— Chcesz powiedzieć, że nie macie co jeść? Że nie możecie się najeść do syta?

— Sytym to nikt z nas nie był już od dawna. Cała nasza żywność się kończy. Jeśli wkrótce nie nastanie wiosna, pójdziemy wszyscy do diaska. Tak jak tego chciałaś, pamiętasz? — powiedział i znów się roześmiał.

— To było dawno — odparła Ronja. — Wtedy nie byłeś moim bratem. A teraz jesteś. — Otworzyła skórzany woreczek i podała mu chleb. — Jedz, jeśli jesteś głodny — powiedziała.

Birk wydał z siebie dziwny dźwięk, coś jakby zduszony krzyk. Złapał grube kromki chleba, po jednej w każdą rękę, i zaczął jeść. Ronja jakby przestała nagle dla niego istnieć. Ważny był tylko chleb, który pożarł do ostatniej okruszyny. Ronja wyciągnęła ku niemu butelkę z mlekiem, a on chciwie przytknął do niej usta i pił, póki nie opróżnił do dna. Potem spojrzał na Ronję zmieszany.

— Nie powinnaś była zostawić tego sobie?

— U mnie w domu jest więcej — powiedziała Ronja. — Ja nie głoduję.

Przed oczami stanęła jej bogato zaopatrzona spiżarnia Lovis, smaczny chleb, kozie masło, jajka, beczki peklowanego mięsa, wędzone udźce baranie, co wisiały pod powałą, skrzynie z mąką, kaszą i grochem, gliniane gary z miodem, kosze orzechów laskowych i woreczki pełne ziół i liści, które Lovis zbierała i suszyła, aby przyprawiać nimi rosół, który mi od czasu do czasu gotowała. Na myśl o rosole Ronja poczuła, że zaczyna być głodna; przypomniała sobie, jak cudownie smakuje on po tym wszystkim peklowanym i wędzonym, co poza tym jadało się przez zimę.

U Birka natomiast był najprawdziwszy głód, nie rozumiała dlaczego. Musiał jej to wyjaśnić:

— Zbiednieliśmy, jesteście teraz zbójcami biedakami, rozumiesz. Przed przybyciem do Zamku Mat-tisa także mieliśmy kozy i owce. Teraz mamy tylko konie, które zostawiliśmy na zimę u jednego z chłopów, daleko za Lasem Borki. I całe szczęście, bo inaczej zjedlibyśmy je. Mieliśmy sporo mąki, rzepy, grochu i solonych ryb, ale teraz zaczyna się to kończyć. Paskudna ta zima!

Ronja czuła się tak, jakby to właśnie ona i Mattis zawinili, że Birkowi było tak ciężko. Stał tu teraz taki chudy i wygłodzony, a mimo to potrafił się jeszcze śmiać.

— Zbójcy biedacy, właśnie tak! Nie czujesz, jak cuchnę brudem, biedą? — zapytał z ironicznym uśmiechem. — Prawie w ogóle nie mamy wody. Musimy topić śnieg, bo czasami zupełnie nie można spuścić się do lasu i dokopać do źródła pod śniegiem. A próbowałaś kiedyś wciągać wiadro wody po drabinie sznurowej podczas gwałtownej zawiei śnieżnej? Nie, bo wtedy wiedziałabyś, dlaczego cuchnę jak prawdziwy niechlujny zbójca.

— Nasi zbójcy cuchną tak samo — zapewniła go Ronja, żeby go trochę pocieszyć.

Ona sama pachniała całkiem przyjemnie, ponieważ każdej soboty wieczorem Lovis szorowała ją w dużej drewnianej balii ustawionej przed ogniem, a każdej niedzieli rano wyczesywała ją i Mattisa gęstym grzebieniem. I chociaż Mattis bronił się i narzekał, że przy tym wyrывa mu włosy, nic nie pomagało.

„Starczy dwunastu rozkudłanych, zawszonych zbójców — zwykła mówić Lovis. — Herszta zamierzam wyczesywać póki życia, póki tylko będę w stanie utrzymać w ręce gęsty grzebień”.

Ronja przyjrzała się Birkowi uważnie w świetle kaganka, Nawet jeśli nie wyczesywano go, to i tak jego włosy leżały na głowie niczym miedziany hełm, a głowa była zgrabnie osadzona na szczupłej szyi i prostych barkach. Mam ładnego brata, stwierdziła.

— Możesz być biedny, zawszony i brudny — odezwała się. — Ale nie chcę, żebyś był głodny.

Birk roześmiał się.

— Skąd wiesz, że jestem zawszony? No, jasne, że jestem. Chociaż wolę być zawszony niż głodny, to pewne. — Spoważniał. — Co to za ohyda być głodnym! Ale w każdym razie mogłem zostawić chociaż kawałek chleba dla Undis.

— Chyba mogłabym postarać się o więcej — powiedziała Ronja w zamyśleniu.

Ale Birk potrząsnął głową.

— Nie, przecież nie mogę przyjść do domu z chlebem dla Undis i nie powiedzieć, skąd go mam. A Borka oszalałby z wściekłości, gdyby się dowiedział, że biorę chleb od ciebie i że w dodatku zostałem twoim bratem.

Ronja westchnęła. Rozumiała, że Borka musi nienawidzić zbójców Mattisa równie silnie, jak Mattis nienawidził zbójców Borki, ale... O, jakże to wszystko było trudne dla niej i dla Birka.

— Nigdy nie będziemy mogli się spotykać inaczej jak potajemnie — odezwała się smutno i Birk był co do tego zgodny.

— Na to wygląda. A ja nienawidzę robić coś potajemnie.

— Ja też — odparła Ronja. — Stare solone ryby i przedłużająca się zima to dla mnie najgorsze ze wszystkiego, ale jeszcze gorsze jest oszukiwać i to z głupich powodów.

— A jednak robisz to. Dla mnie. Ale na wiosnę będzie łatwiej — powiedział Birk. — Będziemy mogli spotykać się w lesie, a nie w tej lodowatej piwnicznej dziurze.

Oboje byli tak zziębnięci, że szczękali zębami. W końcu Ronja powiedziała:

— Myślę, że muszę już iść, zanim zamrznę na śmierć.

— Ale chyba przyjdiesz znów jutro? Do swojego zawszonego brata?

— Przyjdę i przyniosę gęsty grzebień, a także rozmaite różności.

I dotrzymała obietnicy. Jak długo trwała zima, codziennie skoro świt spotykała się z Birkiem w piwnicznych lochach i korzystając z zapasów ze spiżarni Lovis utrzymywała go przy życiu. Birka żenowało jednak przyjmowanie tych darów.

— Czuję się tak, jak bym was okradał — mówił.

— Może nie jestem zbójnicką córką? Dlaczego więc nie mam rabować? — śmiała się Ronja.

Wiedziała zresztą, że większość zapasów Lovis pochodziła z tego, co przedtem zrabowano bogatym kupcom przeprawiającym się przez lasy.

— Zbójca zabiera i o nic nie pyta ani nie prosi, tyle zdażyłam się już nauczyć — mówiła Ronja. — Robię teraz tylko to, czego mnie nauczono. A ty spokojnie jedz!

Każdego dnia dawała mu także woreczek mąki i woreczek grochu, żeby ukradkiem dosypywał do zapasów Undis,

Tak to u mnie daleko zaszło, myślała, że utrzymuję przy życiu zbójców Borki. Miałabym się z pyszna, gdyby Mattis się o tym dowiedział.

Birk dziękował jej za szczodrość.

— Undis każdego dnia dziwi się, że w jej skrzyniach ciągle jeszcze jest trochę mąki i grochu. Uważa, że to są jakieś czarodziejskie sztuczki Wietrzydeł — opowiadał Birk śmiejąc się jak zwykle. Stał się teraz trochę bardziej podobny do siebie i nie miał już głodnych oczu, co radowało Ronję. — Kto wie — dodał — może matka ma rację z tymi czarami Wietrzydeł. Bo ty, Ronja, wyglądasz jak małe Wietrzydło.

— Ale miłe i bez pazurów — dodała Ronja.

— Tak miłe, że nigdy w życiu nie widziano miłszego. Ile jeszcze razy zamierzasz ratować mi życie, siostrzyczko?

— Tyle samo, ile ty mnie — odparła Ronja. — Bo to jest po prostu tak, że my nie możemy żyć jedno bez drugiego. To już zrozumiałam.

— Tak, tak to jest — powiedział Birk. — A Mat-tis i Borka mogą sobie o tym myśleć, co chcą. Ale Mattis i Borka nic o tym nie myśleli, ponieważ nic nie wiedzieli o spotkaniach rodzeństwa w piwnicy.

— Zjadłeś już? — spytała Ronja. — Bo teraz kolej na to.

I szła prosto na niego, z gęstym grzebieniem uniesionym niczym broń. Biedni zbójcy Borki, w swym ubóstwie nie mieli ani jednego gęstego grzebienia. Tym lepiej! Lubiła dotykać miękkich włosów Birka i wyczesywała go częściej, niż wymagała tego najsurowsza nawet konieczność.

— Jestem już całkowicie uwolniony od wszy. Będziesz mnie czesała na próżno — protestował Birk.

— To się jeszcze okaże! — odpowiadała Ronja i silnie przeciągała gęstym grzebieniem przez jego włosy.

Ostra zima powoli stawała się łagodniejsza. Śnieg zaczynał tajać i pewnego dnia, kiedy południowe słońce grzało silniej, Lovis wygnała zbójców na śnieg, żeby się wymyli przynajmniej z najgorszego brudu. Wzdragali się i za nic nie chcieli. To niebezpieczne dla zdrowia, zapewniał Fjosok. Ale Lovis była nieprzejednana. Trzeba pozbyć się zimowego smrodu, powiedziała. Tak więc wszyscy zbójcy zostali bez ceregieli wypędzeni na śnieg i wkrótce, dziko wyjąc, turlali się nadzy po ośnieżonych stokach w dół ku Wilczej Pułapce. Przeklinali nieludzką surowość Lovis, aż uszy puchły, ale szorowali się tak, jak kazała. Nie odważyli się sprzeciwić. Tylko Łysy Per stanowczo odmówił turlania się w śniegu.

— Umrzeć muszę i tak — powiedział. — I chcę to zrobić z całym tym brudem, co mam na sobie.

— Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo — odparła Lovis — ale zanim to nastąpi, mógłbyś przynajmniej tej reszcie baranów pomóc doprowadzić do porządku włosy i brody.

Na to Łysy Per zgodził się chętnie. Posługiwał się zręcznie nożycami do wełny, kiedy trzeba było strzyc owce i jagnięta, więc chyba da radę i tym dzikim baranom.

— Ale moich własnych dwóch kosmyków nie poświęcę. Zresztą nie muszę się mizdrzyć, bo już przecież wkrótce i tak pójdę do ziemi — powiedział i z zadowoleniem pogłaskał się po łysej czaszce.

Wtedy Mattis objął go swymi potężnymi łapami i podniósł całkiem niezły kawałek od podłogi.

— Przestań z tym umieraniem! Odkąd pamiętam, nie przeżyłem na tej ziemi ani jednego dnia bez ciebie, stary wariacie, więc nie możesz tak po prostu podstępnie położyć się i odumrzeć mnie, tyle chyba pojmujesz?

— Chłopcze drogi, zobaczymy, jak to z tym będzie — powiedział Łysy Per, ale sprawiał przy tym wrażenie niezwykle zadowolonego.

Resztę dnia Lovis gotowała zapaskudzone ubrania zbójców na dziedzińcu zamkowym, gdy tymczasem oni wyciągali z szaf różne sztuki garderoby, żeby je nałożyć, zanim ich własny przyodziewek wyschnie. W specjalnej izbie z odzieżą zgromadzono ubrania, które zrabował swego czasu dziad Mattisa. Jak ktoś zdrowy na umyśle mógł wystroić się w coś takiego, zastanawiał się Fjosok i z wahaniem wciągał

przez głowę czerwoną koszulę. Ale on nie trafił jeszcze tak źle. Gorzej było z Knotasem i Małym Klip-penem — obaj musieli zadowolić się spódnicami i kaftanikami, ponieważ kiedy przyszli, męskie ubrania już się wyczerpały. I nie było im wcale do śmiechu, za to Mattis i Ronja mieli dobrą zabawę. Tego wieczoru, żeby udobruchać swoich zbójców, Lovis ugotowała im rosół z kury. Usiedli więc w zaciętym milczeniu przy długim stole, wyszorowani do czysta, świeżo ostrzyżeni i nie do poznania. Nawet pachnieli inaczej. Ale kiedy silna woń rosółu rozeszła się po izbie, zbójcy przestali sarkać. A jak tylko zjedli, zaczęli śpiewać i tańczyć jak zwykle, choć może nieco spokojniej. Zwłaszcza Knotas i Mały Klippen unikali wszelkich co bardziej gwałtownych skoków. Wiosna objawiła się radosnym krzykiem ponad lasami wokół Zamku Mattisa. Śniegi tajały. Spływały strumieniami wzdłuż wszystkich górskich zboczy, chcąc dotrzeć do rzeki. A rzeka, po wiosennemu spieniona i rozhukana, wszystkimi swymi wodospadami i wirami wyśpiewywała dzięką pieśń wiosny, na chwilę nawet nie milknąc. Ronja słyszała ją już od świtu o każdej porze dnia i jeszcze w nocy w sennych marzeniach.

Długa, okropna zima była poza nimi. Wilcza Pułapka od dawna była wolna od śniegu. Płynął tam teraz szumiący potok i woda pluskała spod końskich kopyt, gdy w pewien wczesny poranek Mattis i jego zbójcy przejechali konno przez ciasne przejście. Jadąc, śpiewali i pogwizdywali. Hej, teraz wreszcie znów zacznie się cudowne zbójnickie życie!

A Ronja wreszcie będzie mogła pójść do swego lasu, do którego tak bardzo tęskniła. Powinna już tam być dawno temu, sprawdzić, co się działo na jej włościach, jak tylko śnieg stopniał i lody stajały. Ale Mattis uporczywie trzymał ją przy domu. Wczesną wiosną las jest pełen niebezpieczeństw, twierdził i puścił ją dopiero, kiedy uznał, że i jemu już pora wyruszyć ze swymi zbójcami.

— No, to leć! — powiedział. — Ale nie utop mi się w jakimś zdradliwym bajorze.

— Aha, właśnie to zrobię — odparła Ronja. — Żebyś wreszcie miał o co robić gwałt.

Mattis spojrział na nią z troską.

— Ronja, dziecinko — powiedział z westchnieniem, a potem wskoczył na siodło i na czele swoich zbójców popędził w dół zbocza i zniknął.

Jak tylko Ronja zobaczyła, że ostatni zad koński znika za Wilczą Pułapką, popędziła w tym samym kierunku. Przechodząc w bród poprzez zimną wodę, także śpiewała i gwizdała. A potem już tylko biegła, biegła, biegła, póki nie znalazła się nad jeziorkiem.

A tam był Birk. Tak jak przyrzekł. Leżał w słońcu, wyciągnięty na dużym, płaskim kamieniu. Ronja nie wiedziała: śpi czy czuwa, wzięła więc kamień i rzuciła go do wody, żeby zobaczyć, czy Birk usłyszy plusk. Usłyszał, zerwał się i podszedł do niej.

— Długo czekałem — odezwał się, a ona znów poczuła ten dreszcz cichej radości, że ma brata, który na nią czekał i chciał, aby przyszła.

Uniosła głowę i powiodła wzrokiem dookoła. Wszystko wokół niej było takie cudowne, uczucie zachwytu wypełniało ją od stóp do głów. I nagle jej krzyk, donośny i przejmujący jak krzyk ptaka, rozdarł powietrze.

— Musiałam wydać z siebie wiosenny krzyk, inaczej rozsadziliby mnie — wyjaśniła Birkowi. — Posłuchaj! Chyba słyszysz wiosnę!

Przez chwilę stali cicho słuchając, jak w ich lesie świergotało, szeleściło, brzęczało, śpiewało i szemrało. Wszystkie drzewa, wszystkie wody, wszystkie zielone krzewy żyły, wszędzie rozbrzmiewała zdrowa, dzika pieśń wiosny.

— Stoję tak i czuję, jak zima ze mnie uchodzi — powiedziała Ronja. — Zaraz stanę się tak lekka, że będę mogła fruwać. Birk szturchnął ją.

— To fruważ! Na pewno lata tu więcej Wietrzydeł, możesz się do nich przyłączyć.

Ronja roześmiała się.

— Aha, jeszcze zobaczę, co zrobię.

Nagle usłyszeli konie. Gdzieś w dole biegły pełnym galopem w kierunku rzeki i Ronji zaczęło być teraz spieszno.

— Chodź! Tak bym strasznie chciała złapać sobie dzikiego konia!

Pędzili co tchu, aż w końcu zobaczyli stado liczące ze sto koni, które z rozwianymi grzywami przecwałowały przez las, aż ziemia dudniła pod ich kopytami.

— Coś musiało je przestraszyć, niedźwiedź albo wilk — zastanawiał się Birk. — Bo i dlaczego by się bały?

Ronja potrząsnęła głową.

— One się nie boją, one tylko wytrząsają z siebie zimę. Ale kiedy się tym zmęczą i zaczną się paść, wtedy złapię sobie jednego i wezmę do Zamku Mattisa, już dawno o tym myślałam.

— Do Zamku Mattisa! A co ty tam będziesz robić z koniem? Konno jeździ się przecież po lesie. Możemy sobie złapać dwa i jeździć tutaj.

Ronja zastanowiła się króciutko, potem odparła:

— Widzę, że nawet ludzie z rodu Borki mogą mieć trochę rozumu we łbie. Tak zrobimy! Chodź, spróbujmy!

Rozwinęła swój rzemień. Birk już wcześniej sporządził sobie taki sam, i teraz z przygotowanymi pętlami schowali się za gładem tuż przy leśnej polanie, na której konie zwykle się pasły. Nic im nie szkodziło, że muszą czekać.

— Równie dobrze mogę tu sobie tak tylko siedzieć i cieszyć się wiosną — odezwał się Birk.

Ronja spojrzała na niego ukradkiem i mruknęła cichutko:

— Dlatego cię lubię, Birku, synu Borki!

Długo siedzieli tak w ciszy, zatopieni w wiosnie. Słyszeli gwizd kosa i kukanie kukułki, tak głośne, że wypełniło cały las. Nowo narodzone liski turlały się przed swoją norą o rzut kamieniem od nich. Wiewiórki śmigały między wierzchołkami sosen. Widzieli też zajaca kicającego po mchu i znikającego w zaroślach. Żmija, która wkrótce będzie mieć młode, leżała w słońcu spokojnie tuż koło nich. Oni nie przeszkadzali jej i ona nie przeszkadzała im. Wiosna była dla wszystkich.

— Masz rację, Birk — odezwała się Ronja. — Dlaczego miałabym zabierać konia z lasu, gdzie jest jego miejsce. Ale chcę jeździć konno i właśnie nadeszła na to pora.

Nagle leśną polanę wypełniły pasące się konie. Chodziły powoli, skubiąc świeżą trawę.

Birk wskazał parę pięknych młodych kasztanków, które pasły się razem w pewnej odległości od stada.

— Co powiesz o tych tam?

Ronja milcząco skinęła głową. I z pętlami przygotowanymi do rzutu zaczęli się zbliżać do tych dwóch, które miały być schwyte. Skradając się powoli i bezszelestnie, podchodzili coraz bliżej. Wtem pod stopą Ronji trzasnęła gałązka i całe stado natychmiast nastawiło uszy, gotując się do ucieczki. Ale kiedy nie pojawiło się nic niebezpiecznego, ani niedźwiedź, ani wilk, ani ryś czy inny wróg, uspokoiły się i znowu zaczęły skubać trawę.

Także te dwa młode, które Birk i Ronja wybrali dla siebie. Teraz zbliżyli się do nich na właściwą odległość. Porozumieli się wzrokiem i ich rzemień świsnęły jednocześnie, a w następnej chwili słychać było tylko dzikie rżenie obu schwytych koni i tętent kopyt reszty stada, które rzuciło się do ucieczki i zniknęło w lesie.

Schwytali dwa ogiery, dwa dzikie młode ogiery, które wierzgały i waliły kopytami jak oszalałe, szamotały się i z furją broniły się, kiedy Birk i Ronja usiłowali przywiązać je do dwóch drzew.

W końcu, gdy wreszcie się z tym uporali, odskoczyli błyskawicznie na bezpieczną odległość przed młócącymi w powietrzu kopytami. Potem stali dysząc i patrzyli, jak konie stawały dęba i wierzgały, aż pokryły się pianą.

— Dobrze byłoby się przejechać — odezwała się Ronja. — Ale one nie pozwolą się od razu dosiąść.

Birk także to rozumiał.

— Najpierw musimy je przekonać, że nie chcemy zrobić im nic złego.

— Już próbowałam — powiedziała Ronja. — Chciałam mu dać kawałek chleba. I gdybym natychmiast nie cofnęła ręki, to wróciłabym do domu z kilkoma odgryzionymi palcami dyndającymi u paska. A to nie ucieszyłoby Mattisa szczególnie.

Birk pobladł.

— Chcesz powiedzieć, że kiedy podeszłaś z chlebem, ten łobuz kłapał na ciebie zębami? I naprawdę chciał cię ugryźć?— odparła Ronja ponuro. Popatrzyła z niechęcią na rozwścieczone ogiery, które dalej rzucały się jak oszalałe.

— Łobuz, to dobre imię — odezwała się. — Tak go nazwę.

Birk roześmiał się.

— W takim razie w zamian wymyśl imię i dla mojego.

— No, on jest równie zwariowany — powiedziała Ronja. — Możesz go nazwać Dzikusem.

— Ej, wy tam, dzikie konie, słyszycie? — krzyknął Birk. — Teraz nadaliśmy wam imiona. Nazywacie się Łobuz i Dzikus i odtąd należycie do nas, czy chcecie, czy nie.

Łobuz i Dzikus nie chciały, to było widać. Szarpały i gryzły rzemienie, aż pot z nich ściekał, mimo to nie przestawały walić kopytami i wierzgać, ich dzikie rzenie niosło się dokoła, strasząc zwierzęta i ptaki.

Ale w miarę, jak dzień chylił się ku wieczorowi, były coraz bardziej wyczerpane, w końcu uspokoiły się. Zwiesiwszy łby, stały, każdy przy swoim drzewie, od czasu do czasu tylko wydając z siebie rzenie pełne rezygnacji i smutku.

— Im się na pewno chce pić — odezwał się Birk. Musimy je napoić.

Odwiązawszy swoje, teraz tak łagodne konie, poprowadzili je do jeziora, tam zdjęli im rzemienie i pozwolili pić. Konie piły długo. Potem stały ciche i zadowolone, łagodnie patrząc na Birka i Ronję.

— Ujarmiliśmy je w końcu — powiedział Birk z zadowoleniem.

Ronja pogłaskała swojego konia i spojrzawszy mu głęboko w oczy, wyjaśniła:

— Powiedziałam, że będę jeździć konno, to będę, rozumiesz?

Uchwyciwszy się silnie grzywy Łobuza, wskoczyła na jego grzbiet.

— No, Łobuz — powiedziała i w tej samej chwili przeleciawszy łukiem głową w dół, wpadła do jeziora.

Wynurzyła się na powierzchnię w samą porę, aby jeszcze zobaczyć, jak Łobuz i Dzikus w pełnym galopie znikają między drzewami.

Birk podał jej rękę i pomógł wydostać się na brzeg. Zrobił to w zupełnym milczeniu i nie patrząc na nią. Ronja także milczała. Otrząsała się z wody, pryskając dookoła. Nagle roześmiała się na całe gardło.

— Chyba nie będę już dziś jeździć konno! — zawołała.

Wtedy dopiero Birk wybuchnął hamowanym dotąd śmiechem.

— Ja też nie — wykrztusił wreszcie.

Nadszedł wieczór. Słońce skryło się za lasem i zapadł zmierzch, taki jaki bywa jedynie w wiosenny wieczór, zmierzch, który jest tylko dziwnym półmrokiem między drzewami i nie staje się nigdy ciemnością i nocą. W lesie nastała cisza. Nie było już słyhać ani kosa, ani kukułki. Liski powłaziły do swojej nory, młode wiewiórki i zajęczki w swoje jamki, żmija wpełzła pod swój kamień. Nic nie było słyhać poza posępnym pohukiwaniem puchacza, ale wkrótce on także umilkł.

Wydawało się, że cały las usnął. Ale oto teraz budził się powoli do tego życia, jakie wiódł o zmierzchu. Zaczynały się wynurzać wszystkie stworzonka zmroku. Coś chrobotąło, przemykało się i dreptało wśród mchu. Pupiszonki człapały między drzewami, kudłate Mroczniaki przemykały wśród kamieni, zaroilo się od Szaruchów, które powyskakiwały ze swych kryjówek i hałasowały, żeby przestraszyć każdego, kogo tylko się da.

A z gór nadleciały Wietrzydła, najokrutniejsze i najbardziej szalone ze wszystkich leśnych istot zmroku. Głęboką czernią odcinały się od jasnego wiosennego nieba. Ronja zobaczyła je z niezadowoleniem.

— Tu jest więcej tego, co niesamowite, niż tego, co pożyteczne. W dodatku jestem przemoczona i zmordowana i chcę do domu.

— Przemoczona i zmordowana to jesteś — odparł Birk. — Ale za to całutki dzień nurzałaś się w wiośnie.

Ronja zdawała sobie sprawę, że była w lesie zbyt długo. I kiedy opuściła Birka, próbowała wymyśleć, jak przekonać Mattisa, żeby zrozumiał, dlaczego musiała nurzać się w wiośnie aż do późnego wieczora.

Ale ani Mattis, ani nikt inny w ogóle nie zainteresował się nią, kiedy wsunęła się do kamiennej sali. Mieli tam inne zmartwienie.

Na rozpostartym przed paleniskiem posłaniu z futra leżał Sturkas. Był blady i miał zamknięte oczy. Koło niego klęczała Lovis i bandażowała mu ranę na szyi. Pozostali zbójcy stali dookoła, spoglądając niepewnie. Tylko Mattis krążył tam i z powrotem jak rozwścieczony niedźwiedź, głośno przy tym złorzeczając i przeklinając:

— A to dranie! Wszyscy z bandy Borki to skończone łajdaki! Ale ja ich zgmiotę jednego po drugim, tak że żaden z nich nigdy już nie ruszy ani ręką, ani nogą. Och! och!

Potem zabrakło mu słów, więc słycać było już tylko nie milnący ryk, póki Lovis surowo nie wskazała na Sturkasa. Mattis pojął wreszcie, że taki hałas może zaszkodzić biedakowi, i ucichł niechętnie.

Ronja zrozumiała, że w tym właśnie momencie Mattis nie był najwłaściwszą osobą do rozmowy. O to, co się wydarzyło, lepiej było zapytać Łysego Pera.

— Za coś takiego Borka powinien wisieć — orzekł Łysy Per. I opowiedział dlaczego..

Mattis i jego sprytni chłopcy leżeli na czatach przy Zbójnickim Szlaku, a tak się szczęśliwie składało, że przechodziła tamtędy masa podróżnych, kupcy z wielkimi pakami żywności, z futrami, a ponadto z kupą pieniędzy. Nie mieli pojęcia, że tam właśnie należało mieć się na bacności, no i nie potrafili się bronić, dlatego też odebrano im wszystko, co mieli.

— I nie byli wściekli? — spytała Ronja niechętnie.

— No, zgadnij! Ach, czego oni tam nie wyprawiali, jak przeklinali i lamentowali! I bardzo im było pilno w drogę. Pewnie chcieli jak najszybciej dotrzeć do namiestnika, żeby nas oskarżyć, tak myślę.

Łysy Per wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale Ronja nie widziała w tym nic śmiesznego.

— A potem, wystaw sobie — ciągnął Łysy Per — kiedyśmy już załadowali wszystko na konie i mieliśmy ruszać do domu, zjawia się Borka ze swoją hordą i chce część łupów. I strzelają, te łobuzy. Wtedy Sturkas dostał strzałą w szyję. Więc my także strzelamy, jasne, tak, tak, chyba ze dwóch albo trzech z nich oberwało podobnie jak Sturkas.

Mattis nadszedł akurat w tym momencie, żeby dosłyszeć ostatnie słowa, i zazgrzytał zębami.

— Czekajcie, to dopiero początek — odezwał się. — Zgniotę każdutkiego po kolei, jak leci. Do tej pory starałem się być spokojny. Ale teraz przyjdzie koniec dla wszystkich zbójców Borki. Ronja poczuła wzbierającą falę złości.

— A jeśli przyjdzie wtedy koniec także dla wszystkich zbójców Mattisa, nie pomyślałeś o tym?

— Ani myślę o tym myśleć — odparł Mattis — bo tak się nie stanie.

— Dużo ty tam wiesz — rzuciła Ronja i podeszła do Sturkas a.

Usiadła koło niego, położyła dłoń na jego czole i poczuła, jak był rozpalony gorączką. Uniósł powieki i spojrzawszy na nią, uśmiechnął się słabo.

— Mnie to oni nie rozwałą tak od pierwszego razu — odezwał się, ale słowa brzmiały trochę niewyraźnie.

Ronja ujęła jego dłoń i przytrzymała w swojej.

— Nie, Sturkas, ciebie to oni nie rozwałą tak od pierwszego razu.

Długo tak siedziała trzymając go za rękę. Nie uroniła ani jednej łzy, ale w środku wszystko łąkało w niej od wielkiego smutku.

Przez trzy dni sturkas gorączkował od rany. Był naprawdę chory i leżał na wpeł przytomny. Ale Lovis, która posiadała sztukę leczenia wielu chorób, opiekowała się nim jak matka, podając zioła i robiąc okłady, i ku zdumieniu wszystkich czwartego dnia Sturkas wstał. Jeszcze słabo trzymał się na nogach, ale poza tym był całkiem rześki. Strzała przebiła mu ścięgno w szyi, które pod wpływem leczenia wprawdzie zrosło się, ale było teraz nieco krótsze. Głowa Sturkasa przechyliła się przez to lekko w bok, co nadawało mu trochę melancholijny wygląd, mimo że był przecież tak samo zawadiacki i żwawy jak kiedyś.

Wszyscy zbójcy cieszyli się, że wyżył, i choć czasami, kiedy mieli coś do niego, wołali nań: Krzywa Pało, był to jedynie zwykły żart. I Sturkas się tym nie martwił.

Martwiła się tylko Ronja. Niezgoda między Matti-sem a Borką sprawiała, że życie stało się ciężkie. Sądziła, że ta nieprzyjaźń powoli umrze śmiercią naturalną. A tymczasem rozgorzała ona teraz na nowo i stała się groźna. Każdego ranka, gdy Mattis razem ze swymi zbójcami przejeżdżał konno przez Wilczą Pułapkę, zastanawiała się, ilu z nich powróci do domu nie zranionych. Stawała się spokojniejsza dopiero wieczorem, kiedy wszyscy siedzieli zebrani wokół długiego stołu. Ale następnego dnia znów ogarniał ją niepokój, aż zapytała swego ojca:

— Dlaczego wy nastajecie nawzajem na swoje życie, Borka i ty?

— Zapytaj Borki — odpowiedział Mattis. — To on wypuścił pierwszą strzałę. Sturkas może ci o tym opowiedzieć.

Ale w końcu także Lovis powiedziała otwarcie:

— Dziecko jest mądrzejsze od ciebie, Mattis. To może się skończyć tylko rzezią i nieszczęściem i co komu z tego przyjdzie?

Kiedy Mattis spostrzegł, że ma przeciwko sobie i Ronję, i Lovis, wpadł we wściekłość.

— Co komu z tego przyjdzie? — wrzasnął. — Co komu z tego przyjdzie? A to, że teraz wreszcie wywali się Borkę z Zamku Mattisa! Takie z was gęsi, że nie możecie tego pojąć?

— I musi koniecznie dojść przy tym do rozlewu krwi, tak że zanim ich wywalicie, wszyscy zginą?

— spytała Ronja. — Nie ma żadnego innego sposobu?

Mattis spojrzał na nią ponuro. Jako tako znosił jeszcze kłótnie z Lovis na ten temat. Ale że Ronja nie stała po jego stronie, to już było ponad jego wytrzymałość.

— Znajdź inny sposób, jeśliś taka dzielna, i wywal Borkę sama! Potem mogą sobie i on, i te jego przekłete łajdaki leżeć w lesie spokojnie niczym lisie łajno. Ja ich nie ruszę.

Zamilkł, zamyślił się, po chwili zaś mruknął:

— Chociaż, jeśli ja nie ubiję przynajmniej Borki, to powinienem raczej być obwołany łachudrą wśród sbójców.

Każdego dnia Ronja spotykała się w lesie z Bir-kiem. Te spotkania podtrzymywały ją na duchu. Ale :eraz już ani ona, ani Birk nie potrafili tylko bez-:rosko nurzać się w wiośnie.

— Nawet wiosna jest dla nas zmarnowana — powiedział Birk. — Przez dwóch starych upartych hersztów, co nie mają krztyny rozumu.

Smutne to było, zdaniem Ronji, że Mattis stał się starym upartym hersztem bez krztyny rozumu. Jej Mattis, jej siła, pewny dotąd niczym sosna w lesie — skąd więc to uczucie, że teraz tylko Birk jest tym, i którego mogła szukać oparcia we wszystkich swo-ch smutkach.

— Gdybym nie miała ciebie za brata — odezwała się — to nie wiem, co bym...

Siedzieli nad jeziorkiem, wokół nich wiosna roztaczała swe urzekające piękno, ale oni ledwie to zauważali.

— Chociaż gdybym nie miała ciebie za brata, to może nie obchodziłoby mnie, że Mattis chce zniszczyć Borkę — ciągnęła Ronja w zamyśleniu. Spojrzała na Birka i roześmiała się. — Tak więc jest to twoja wina, że ja mam tak dużo zmartwień.

— Nie chcę, żebyś się martwiła — powiedział Birk. — Ale mnie jest także ciężko.

Długo tak siedzieli i było im ciężko na duszy, jednak to, że dźwigali ten ciężar razem, stanowiło pewną pociechę, choć nie robiło się przez to lżej.

— I ta niepewność, kiedy się nie wie, kto pozostał przy życiu, a kto jest martwy, gdy nadchodzi wieczór — powiedziała Ronja.

— Do tej pory nikt wprawdzie nie zginął — odpowiedział Birk — ale to tylko dlatego, że żołnierze znów roją się po lesie. Mattis i Borka po prostu nie są w stanie dybać jeszcze wzajemnie na swoje życie. Mają masę zajęcia z wywijaniem się żołnierzom.

— No tak, i to całe szczęście — odparła Ronja. Birk roześmiał się.

— Pomyśl, że żołnierze mogą okazać się przydatni do czegoś, kto by przypuszczał?

— To wszystko jednak przejmuję niepokojem — ciągnęła Ronja. — Iz tym niepokojem będziemy pewnie żyć do końca naszych dni, ty i ja.

W drodze powrotnej dostrzegli pasące się dzikie konie. Łobuz i Dzikus także byli w stadzie. Birk zagwizdał na nie. Oba konie uniosły łby i przez moment sprawiały wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiały. Po chwili znów zaczęły spokojnie skubać trawę. Nie miały ochoty zawracać sobie głowy jakimś gwizdaniem, to było widoczne.

— Ale z was bestie! — powiedział Birk — Chociaż pasąc się tam, wydajecie się takie dobroduszne.

Ronja zapragnęła znaleźć się w domu. Myśl o dwóch starych upartych hersztach nie dawała jej spokoju, nie pozwalając dłużej pozostawać w lesie.

Tego dnia rozstali się jak zwykle dość daleko od Wilczej Pułapki i z dala od wszystkich zbójnickich ścieżek. Wiedzieli, któredy Mattis zwykł jeździć, i znali drogi, którymi chadzał Borka. Mimo to zawsze byli w strachu, że ktoś mógłby spotkać ich razem.

Ronja puściła Birka naprzód.

— Zobaczmy się jutro — powiedział i pobiegł. Ronja zatrzymała się na chwilę, żeby spojrzeć na młode liski. Skakały i baraszkowały, aż miło było patrzeć. Ale Ronja nie czuła żadnej radości i zastanawiała się z goryczą, czy cokolwiek będzie jeszcze tak jak dawniej. Może już nigdy nie będzie w swoim lesie tak radosna, jak bywała kiedyś.

Ruszyła w kierunku domu i doszła do Wilczej Pułapki. Stali tam na warcie Joen i Mały Klippen i sprawiali wrażenie weselszych niż zwykle.

— Pędź do domu, to zobaczysz, co się wydarzyło — powiedział Joen.

Ronję ogarnęła ciekawość.

— Musi to być coś zabawnego, to widać po was.

— No, możesz nam wierzyć na słowo — powiedział Mały Klippen szczerząc zęby w uśmiechu. — Zresztą sama zobaczysz.

Ronja puściła się biegiem. Czegoś, co było zabawne, naprawdę teraz potrzebowała.

Wkrótce stanęła przed, zamkniętymi drzwiami kamiennej sali i usłyszała dochodzący ze środka śmiech Mattisa. Głośny, dudniący śmiech, który sprawił, że poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła, a cały niepokój znika. Teraz chciała wiedzieć, co doprowadziło go do takiej wesołości.

Żywo weszła do kamiennej sali. Jak tylko Mattis dostrzegł ją, rzucił się ku niej, chwycił ją w ramiona, uniósł wysoko w powietrze i z rozmachem zakręcił się wkoło.

Szalenie był podniecony.

— Ronju moja! — wykrzyknął. — Miałaś rację! Obejdzie się bez rozlewu krwi. Teraz Borkasam polecą do diaska, i to prędzej, nim zdąży wypuścić swoje pierwsze poranne przyknięcie.

— Jak to? — spytała Ronja.

— Popatrz! — wskazywał Mattis. — Patrz, kogo złapałem przed chwilą własnymi rękami.

Kamienna sala wypełniona była rozweselonymi zbójcami, którzy biegali dookoła, czyniąc taki harmider, że Ronja nie od razu zobaczyła, co Mattis pokazuje.

— Rozumiesz, Ronju? Powiem tylko Borce: Zostajesz czy się wynosisz? Chcesz z powrotem swojego szczeniaka czy nie?

Wtedy zobaczyła Birka. Leżał w najdalszym kącie ze związanymi rękoma i nogami, zakrwawionym czołem i rozpaczą w oczach, a dokoła niego podskakiwali zbójcy Mattisa wyjąc z radości i wrzeszcząc:

— Ej, ty, synku Borki, kiedy ruszysz do domu, do ojca?

Z piersi Ronji wydarł się krzyk, a z jej oczu trysnęły łzy wściekłości.

— Tego ci nie wolno robić! — krzyknęła i zaciśniętymi pięściami zaczęła, okładać Mattisa, gdzie popadło. — Ty bestio, tego ci nie wolno robić!

Mattis odepchnął ją, aż z głuchym łomotem upadła na podłogę. Teraz już się nie śmiał. Był blady z wściekłości.

— Co mówi moja córka? Że czego nie wolno mi robić? — zapytał z groźbą w głosie.

— Mogę ci powiedzieć! — krzyknęła Ronja. — Wolno ci rabować pieniądze, towary i wszystkie rupiecie, jakie ci się podoba, ale nie wolno ci tego robić z ludźmi, bo wtedy nie chcę być dłużej twoją córką.

— Kto tu mówi o ludziach — powiedział Mattis głosem zmienionym nie-do poznania. — Schwyciłem gada, wesz, złodziejskie nasienie i wreszcie oczyszczę zamek mojego ojca. Potem możesz być moją córką albo nie, jak sobie chcesz.

— Jesteś wstrętny! — wrzasnęła Ronja.

Teraz Łysy Per postanowił się wtrącić, bo naprawdę przestraszył się. Nigdy jeszcze nie widział tak skamieniałej i strasznej twarzy Mattisa i to go przeraziło.

— Czy w taki sposób mówi się do własnego ojca? — zapytał obejmując Ronję ramieniem. Ale ona wyrwała się.

— Jesteś wstrętny! — krzyknęła znów.

Mattis zdawał się jej nie słyszeć. Zachowywał się tak, jakby przestała dla niego istnieć.

— Fjosok — odezwał się tym samym lodowatym głosem — idź do Diabelskiej Czeluści i daj znać Borce, że chcę widzieć go tam jutro, jak tylko wzejdzie słońce. I lepiej dla niego, żeby tam był, powiedz mu to!

Lovis stała obok i przysłuchiwała się w milczeniu. Zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się. W końcu podeszła do Birka. Kiedy spostrzegła ranę na jego czole, przyniosła gliniane naczynie z wywarem z ziół, żeby ją przemyć, ale w tym momencie Mattis ryknął:

— Nie waż się tknąć tego gada!

— Gad czy nie — odparła Lovis — tę ranę trzeba obmyć.

I rana została obmyta.

Wtedy Mattis podszedł, schwycił ją za ramiona i pchnął z taką siłą, że przeleciała przez całą salę. Gdyby Knotas jej nie złapał, byłaby upadła prosto na oparcie łóżka.

Ale w taki sposób nikt nie postępował z Lovis bezkarnie. A ponieważ Mattis był poza zasięgiem jej ręki, wymierzyła Knotasowi taki policzek, że aż gwizdnęło. To było podziękowanie za to, że nie pozwolił jej upaść.

— Precz stąd! Wszystkie chłopy! — wrzasnęła Lovis. — Wynoście się do diabła! Nic innego nie robicie jak tylko same łajdactwa. I ty, Mattis, słyszysz? Wynoś się!

Mattis rzucił jej ponure spojrzenie. Mogło ono przestraszyć każdego, ale nie Lovis. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzyła, jak wymaszerowywał z sali razem ze swoimi zbójcami. Ale przerzucony przez jego ramię Birk zwisał bezwładnie. Miedziane włosy przesłaniały mu oczy.

— Wstrętny jesteś, Mattis! — krzyknęła Ronja, zanim ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Tej nocy Mattis nie położył się do swego łóżka u boku Lovis, a ona nie wiedziała, gdzie poszedł spać.

— Wcale mnie to nie obchodzi — powiedziała. — Mogę sobie teraz leżeć wzdłuż i w poprzek.

Zasnąć jednak nie była w stanie. Słyszała bowiem rozpaczliwy płacz swojego dziecka, a kiedy próbowała je jakoś pocieszyć, to dziecko nie pozwoliło jej zbliżyć się do siebie.

Tę noc Ronja musiała przeżyć w samotności. Długo leżała bezsenne, ogarnięta taką nienawiścią do ojca, że aż czuła skurcze serca. Ale to bardzo trudno nienawidzić kogoś, kogo się przez wszystkie dni swego życia tak bardzo kochało. Dlatego ta noc była dla Ronji najcięższa ze wszystkich.

W końcu usnęła, ale równo z pierwszym brzaskiem zbudziła się. Wkrótce wszędzie słońce, a wtedy musi być przy Diabelskiej Czeluści, żeby zobaczyć, co się tam będzie działo. Lovis próbowała ją zatrzymać, ale Ronja nie chciała o tym słyszeć.

Poszła, a Lovis cicho ruszyła za nią.

I znów Mattis i Borka stali razem ze swymi zbójcami, każdy po swojej stronie Diabelskiej Czeluści, tak jak to już raz się zdarzyło. Undis także tam była i Ronja już z daleka słyszała jej krzyk i złorzeczenia. Miotła na Mattisa takimi przekleństwami, że aż powietrze wokół iskrzyło. Ale Mattis nie pozwolił długo obrzucać się obelgami.

— Możesz kazać swojej kobiecie zamilknąć, Borka? — odezwał się. — Byłoby lepiej, żebyś słyszał, co mam ci do powiedzenia.

Ronja ustawiła się tuż za Mattisem, tak żeby jej nie widział. Wystarczyło, że sama słyszała i widziała więcej, niż była w stanie znieść. Obok Mattisa stał Birk. Nie miał związanych ani rąk, ani nóg, ale jego szyję opasywał rzemień, a koniec tego rzemienia trzymał w swym ręku Mattis, zupełnie jakby prowadził psa.

— Twardym jesteś człowiekiem, Mattis — odezwał się Borka. — I podłym. Że ty chcesz się mnie stąd pozbyć, to rozumiem. Ale żeś ty, aby postawić na swoim, rzucił się na moje dziecko, to jest nikczemne!

— Nie wzywałem cię, żeby wysłuchiwać, co o mnie myślisz — odparł Mattis. — Chcę tylko wiedzieć, kiedy zamierzasz się wynieść.

Borka umilkł, był tak rozgoryczony, że słowa uwięzły mu w gardle. Dłuższą chwilę stał w milczeniu, w końcu odezwał się:

— Najpierw muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy bezpiecznie osiąść. A to może być trudne. Ale jeśli oddasz mi syna, to masz moje słowo, że jeszcze przed końcem lata nas tu nie będzie.

— Dobrze — odpowiedział Mattis. — Więc ty masz moje słowo, że jeszcze przed końcem lata dostaniesz swego syna.

— Mnie chodzi o to, żebyś mi go teraz oddał — odparł Borka.

— A mnie chodzi o to, żeby ci go teraz nie oddać — odpowiedział Mattis. — Ale w Zamku Mattisa mamy wiele lochów. Nie będzie mu brakowało dachu nad głową, niech to będzie dla ciebie pociechą, jeśli lato było deszczowe.

Ronja jęknęła cicho. Jej ojciec obmyślił to tak okrutnie. Borka musi się wynosić natychmiast, prędzej, nim zdąży wypuścić swoje pierwsze poranne pryknięcie — tak przecież Mattis powiedział. W przeciwnym razie aż do końca lata Birk będzie uwięziony w mrocznym lochu. Ale tak długo to on tam nie wyżyje, tego Ronja była pewna. Birk umrze, a ona już nie będzie miała brata.

Nie będzie też miała ojca, którego byłaby w stanie kochać. Ta myśl także sprawiała ból. Zapragnęła ukarać Mattisa za to, że już dłużej nie będzie mogła być jego córką. Och, jakże chciała, żeby on cierpiał, tak jak ona sama cierpiała, i jak gorąco pragnęła popsuć mu szyki i zniweczyć to, co sobie obmyślił.

I nagle wpadła na pomysł. Wiedziała już, co ma robić. Już raz, dawno temu, zrobiła to przecież, też w złości — ale wtedy nie miotła nią tak szalona rozpacz jak w tej chwili. Niemal półprzytomna wzięła rozpęd i przeleciała nad Diabelską Czeluścią. Mattis spostrzegł ją już w trakcie skoku i z jego piersi wyrwał się krzyk. Był to krzyk, jaki wydaje z siebie dzikie zwierzę w śmiertelnym strachu i jego zbójcom zmroziło krew w żyłach, bo czegoś straszniejszego nigdy nie słyszeli. I zobaczyli Ronję, ich Ronję, po drugiej stronie przepaści, u wrogów. Nic gorszego i bardziej niepojętego nie mogło się zdarzyć.

Niepojęte było to również dla zbójców Borki. Gapili się na Ronję, jak na Wietrzydło, które nieoczekiwanie spadło pomiędzy nich.

Borka również osłupiał, ale szybko przyszedł do siebie. Wydarzyło się coś, co odmieniło wszystko, tyle rozumiał. Nagle przybyło tu Wietrzydło Mattisa, będące jego córką, i jemu, Borce, pomagało wydobyć się z tarapatów. Dlaczego Ronja uczyniła coś tak bezsensownego, nie pojmował, ale błyskawicznie zaczął wiązać rzemień wokół jej szyi, śmiejąc się przy tym cicho.

Potem zawołał do Mattisa:

— Po tej stronie także są podziemne lochy. Twojej córce również nie będzie brakowało dachu nad głową, jeśliby lato było deszczowe. Niech ci to będzie pociechą, Mattis.

Ale dla Mattisa nie było teraz żadnej pociechy. Niczym raniony niedźwiedź stał kołysząc ciężkim ciałem, jak gdyby w ten sposób chciał zagłuszyć jakąś nieznośną boleść. Patrząc na niego Ronja zaczęła płakać. Mattis wypuścił rzemień, który więził Birka, ale Birk stał nadal obok niego. Poblądli, z wyrazem przygnębienia na twarzy, patrzył poprzez Diabelską Czeluść na płaczącą Ronję.

Wtedy podeszła do niej Undis i szturchnęła ją.

— Płacz! Jakby mój ojciec był taką bestią, też bym płakała.

Ale Borka posłał Undis do diaska. Do tego, co się dzieje, ma się nie wtrącać, powiedział.

Ronja sama nazwała Mattisa bestią, jednakże teraz, po tym wszystkim, co uczyniła przeciwko niemu i przez co tak straszliwie cierpiał, pragnęła go pocieszyć.

Lovis także chciała mu pomóc, jak zresztą zawsze, gdy tego potrzebował. Teraz stanęła u jego boku, ale on wcale tego nie zauważył. W ogóle niczego nie dostrzegął. W tym momencie był zupełnie sam na świecie.

Wtedy Borka zawołał:

— Słuchaj no, Mattis, oddasz mi mojego syna czy nie?

Ale Mattis nadal stał, kolebiąc się na boki, i nie odpowiadał.

Wtedy Borka ryknął:

— Oddasz mi mojego syna czy nie?

W końcu Mattis ocknął się.

— Oczywiście, że oddam — powiedział obojętnie. — Kiedy chcesz.

— Ja chcę teraz — odparł Borka. — Nie kiedy lato się skończy, tylko teraz!

Mattis kiwnął głową.

— Kiedy chcesz, powiedziałem.

Wydawało się, że wszystko to jakby już go nie dotyczyło. Ale Borka odezwał się szczerząc zęby:

— W tej samej chwili dostaniesz z powrotem swoje dziecko. Handel wymienny to handel wymienny, tyle rozumiesz, ty łotrze!

— Ja nie mam żadnego dziecka — powiedział Mattis.

Z twarzy Borki zniknął pełen zadowolenia szyderczy uśmiech.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy to twoje nowe diabelstwo, na które wpadłeś?

— Chodź i zabierz swojego syna — odparł Mattis. — Ale ty nie możesz oddać mi żadnego dziecka, ponieważ ja go nie mam.

— Ale mam je ja! — krzyknęła Lovis głosem, od którego poderwały się wszystkie wrony siedzące na szczycie muru. — I to dziecko chcę mieć z powrotem, rozumiesz, Borka? Natychmiast!

Potem ostro spojrzała na Mattisa.

— Nawet jeśli ojciec tego dziecka zupełnie już o-szalał.

Mattis odwrócił się i odszedł ciężkim krokiem.

I przez kilka następnych dni mattis nie pokazał się w kamiennej sali. Nie było go także przy Wilczej Pułapce, gdzie miała się odbyć wymiana dzieci. To Lovis poszła odebrać swoją córkę. Towarzyszyli jej Fjosok i Joen, którzy prowadzili Birka.

Borka i Undis razem ze swymi zbójcami czekali już przed Wilczą Pułapką. Undis tryskając wściekłością, ale i pełna triumfu, jak tylko ujrzała Lovis, wybuchnęła:

— Taki rabuś dzieci jak Mattis to wstyd i hańba! Jasne, że woli nie pokazywać się na oczy!

Lovis uznała, że nie będzie odpowiadać, bo byłoby to poniżej jej godności. Pociągnęła ku sobie Ron-ję i pragnęła oddalić się bez jednego słowa. Dużo rozmyślała nad tym, dlaczego jej córka dobrowolnie oddała się w ręce Borki, ale dopiero podczas tego spotkania zaczęło jej coś niecoś świtać. Ronja i Birk patrzyli na siebie, jak gdyby byli zupełnie sami przy Wilczej Pułapce, w ogóle sami na świecie. Tak, że tych dwoje coś łączyło, mógł zauważyć każdy.

Undis spostrzegła to natychmiast. Bardzo niezadowolona gwałtownie szarpnęła Birka za ramię.

— Co ty masz z nią wspólnego?

— Ona jest moją siostrą — odparł Birk. — I uratowała mi życie.

Ronja z płaczem przytuliła się do Lovis.

— Tak samo jak Birk uratował mnie — wykrztusiła.

Ale Borka poczerwieniał z wściekłości.

— Mój syn po kryjomu zadaje się z potomstwem mojego śmiertelnego wroga?

— Ona jest moją siostrą — powtórzył Birk i spojrzał na Ronję.

— Siostrą! — wrzasnęła Undis. — No, no, wiadomo, jak to będzie za parę lat!

Schwyciła Birka za ramię i chciała pociągnąć go za sobą.

— Nie ruszaj mnie — odezwał się Birk. — Sam pójdę, ale nie chcę, żebyś mnie dotykała.

Odwrócił się i odszedł. Z piersi Ronji wyrwał się przeraźliwy krzyk:

— Birk!

Ale on szedł dalej, aż zniknął jej z oczu. Kiedy Lovis została z Ronją sama, chciała zapytać o to i owo, ale nic z tego nie wyszło.

— Nie odzywaj się do mnie — powiedziała Ronja. Lovis dała więc spokój i milcząc poszły do domu. W kamiennej sali Łysy Per przyjął Ronję, jak gdyby została wyratowana ze śmiertelnego niebezpieczeństwa.

— Dobrze, że żyjesz — przywitał ją. — Biedne dziecko, och, jak ja się o ciebie bałem.

Ale Ronja przeszła obok niego nie zatrzymując się. Cicho położyła się do łóżka i zaciągnęła za sobą zasłonę.

— Same nieszczęścia — Łysy Per z przygnębieniem pokiwał głową. Potem szepnął do Lovis: — Mattis jest w mojej izbie. Leży tępo wpatrzony przed siebie i w ogóle się nie odzywa. Nie chce wstać i nie chce jeść, co mamy z nim robić?

— Chyba przyjdzie, jak będzie już porządnie głodny — osądziła Lovis, ale była zatroskana.

Czwartego dnia weszła do izby Łysego Pera i powiedziała wprost:

— Chodź jeść, Mattis! Uspokój się! Wszyscy siedzą przy stole i czekają na ciebie.

W końcu Mattis przyszedł, ponury i wychudzony, że ledwie można go było poznać. Bez słowa usiadł przy stole i zaczął jeść. Wszyscy jego zbójcy także milczeli. Tak cicho jeszcze nigdy nie było w kamiennej sali. Ronja siedziała na swoim zwykłym miejscu, ale Mattis jej nie dostrzegał. Ona sama także starała się na niego nie patrzeć. Raz tylko ukradkiem rzuciła okiem w jego kierunku i zobaczyła Mattisa całkowicie różnego od tego, którego dotychczas znała. Tak, wszystko było odmienione i straszne. Miała ochotę zerwać się i zniknąć, nie przebywać tu, gdzie jest Mattis, uciec stąd i zaszyć się gdzieś w samotności. Pełna rozterki siedziała jednak nadal, nie mając pojęcia, co począć ze swoim zmartwieniem.

— Najedliście się, figlarze? — zapytała Lovis ostro, kiedy posiłek dobiegł końca. Takiej ciszy nawet ona nie była w stanie wytrzymać.

Zbójcy podnieśli się z szurgotem i pospieszenie czmychnęli do swoich koni, które już czwarty dzień stały beczynnie w stajni. Nie mogli przecież wyruszyć na rozbój, kiedy ich herszt przez cały ten czas leżał w izbie Łysego Pera wpatrując się tępo w ścianę. A było ich zdaniem czego żałować, bo w tym właśnie czasie przejeżdżało przez lasy więcej podróżnych niż zwykle.

Mattis zniknął z kamiennej sali bez jednego nawet słowa i tego dnia już go więcej nie widziano.

Ronja pobiegła znów do lasu. Już od trzech dni tam chodziła szukając Birka, ale chłopiec nie przychodził. Nie rozumiała dlaczego. Co oni z nim zrobili? Może go uwięzili, żeby nie mógł pobiec do lasu, aby spotkać się z nią? Czekać, nie wiedząc, co się stało, było nad wyraz ciężko.

Długo siedziała nad jeziorkiem, a dookoła niej wiosna nadal roztaczała swe uroki. Ale bez Birka nie sprawiało jej to radości. Przypomniała sobie, jak to było przedtem, kiedy spędzała czas samotnie, a sam las jej wystarczał. Jakże to wydawało się odległe! Teraz potrzebowała Birka, żeby

wszystko przeżywać wspólnie z nim. Nie zanosiło się jednak na to, żeby miał dziś przyjść. W końcu czekanie tak ją zmęczyło, że podniosła się, chcąc wracać.

I wtedy właśnie nadszedł. Słyszała, jak pogwizdywał wśród kępy świerków, i nieprzytomna z radości skoczyła w tamtą stronę. To był on! Dźwigał duży tłumok.

— Wyprowadzam się do lasu — powiedział. — Nie mogę już dłużej mieszkać w Twierdzy Borki. Ronja wlepiła w niego zdziwione oczy.

— Jak to?

— Taki już jestem, że nie znoszę ostrych słów i gderania bez końca — odparł. — Trzy dni w zupełności mi wystarczyły.

Milczenie Mattisa jest gorsze od ostrych słów, pomyślała Ronja. I w jednej chwili zrozumiała, co ma robić — istniał przecież sposób, żeby odmienić to, co stało się nie do wytrzymania! Birk to uczynił, dlaczego więc nie mogłaby także ona?

— Ja też chcę się wynieść z Zamku Mattisa — odezwała się porywczo. — Chcę tego! Tak, chcę tego!

— Ja urodziłem się w grocie — powiedział Birk. — I w grocie mogę mieszkać. Ale czy ty dasz radę?

— Z tobą mogę mieszkać gdziekolwiek — odparła Ronja. — Zwłaszcza w Niedźwiedziej Grocie! W górach dookoła wiele było grot, ale żadnej nie można było porównać z Grotą Niedźwiedzią. Ronja wiedziała o niej już od dawna. Tę grotę pokazał jej Mattis, jak tylko zaczęła wałęsać się po lasach. On sam w chłopięcych latach spędzał tam letnie miesiące. Zimą zwykli w niej sypiać niedźwiedzie, opowiadał mu o tym Łysy Per. Dlatego nazwał ją Niedźwiedzią Grotą i od tamtej pory tak się nazywała.

Niedźwiedzia Grota leżała wysoko nad rzeką, w skalnej ścianie. Żeby dostać się do niej, trzeba było iść wzdłuż zbocza po wąskiej półce, która robiła się coraz węższa, tak że chodzenie nią było trochę niebezpieczne. Ale tuż przed grotą półka rozszerzała się w szeroką płytę. Tam, wysoko ponad huczącą rzeką, można było siedzieć i oglądać nadchodzący nad góry i lasy świt w całym jego przepychu. Ronja robiła to już wiele razy. Tak, w tej grocie można było mieszkać, wiedziała o tym.

— Przyjdę dziś późnym wieczorem do Niedźwiedziej Groty — odezwała się. — A czy ty tam już będziesz?

— A gdzie bym miał być? — powiedział Birk. — Będę już tam czekać na ciebie.

Tego wieczora Lovis śpiewała dla Ronji Pieśń Wilków, jak zawsze na zakończenie dnia, bez względu na to, czy dzień był radosny czy smutny.

Ale dziś słyszę tę pieśń ostatni raz, myślała Ronja z ciężkim sercem. Bardzo trudno było pozostawić własną matkę, jeszcze trudniej — nie być już dzieckiem Mattisa. To dlatego musiała iść do lasu, nawet gdyby miała już nigdy więcej nie usłyszeć Pieśni Wilków.

I teraz musiało się to stać. Kiedy tylko matka zaśnie. Ronja leżąc w łóżku, czekała zapatrzona w ogień. Obok Lovis przewracała się niespokojnie na swoim posłaniu. Ale w końcu przestała i Ronja poznała po oddechu, że śpi.

Wysunęła się więc cichutko z łóżka i długą chwilę stała w blasku ognia, patrząc na uspioną matkę. Moja kochana Lovis, pomyślała, może zobaczymy się jeszcze, a może nie.

Rozpuszczone włosy Lovis rozsypały się po poduszce. Ronja pogładziła palcem rudawobrazowe loki. Czy rzeczywiście ta, co leżała tu i wyglądała tak dziecinnie, była jej matką? Jednocześnie robiła wrażenie zmęczonej i samotnej bez Mattisa. A teraz także jej dziecko ją opuści.

— Wybacz — szepnęła. — Nie mogę inaczej! Cicho wymknęła się z kamiennej sali i wzięła swój tłumok, schowany przedtem w izbie z odzieżą. Był tak ciężki, że ledwie mogła go udźwignąć. A kiedy doszła do Wilczej Pułapki, zrzuciła go z pleców wprost pod stopy Tjegge i Tjorma. Tej nocy oni mieli wartę. Bynajmniej nie dlatego, że Mattis ich tam postawił — to Łysy Per z wielką gorliwością zaczął zamiast niego zajmować się stawianiem wart. Tjegge wytrzeszczył oczy na Ronję.

— Dokąd ty, do wszystkich Wietrzydeł, idziesz w środku nocy?

— Wyprowadzam się do lasu — odparła Ronja. — Powiedz o tym Lovis.

— Dlaczego sama jej tego nie powiesz? — zdziwił się Tjegge.

— Bo wtedy nie pozwoliłaby mi iść. A ja nie chcę, żeby mnie zatrzymała.

— A co powie na to twój ojciec? — zapytał Tjorm.

— Mój ojciec — powiedziała Ronja w zamyśleniu. — Czy ja w ogóle mam ojca?

Podąa im na pożegnanie rękę.

— Pozdrówcie wszystkich! Nie zapomnijcie o Łysym Perze! I pamiętajcie czasem o mnie, kiedy będziecie tańczyć i śpiewać swoje pieśni.

Tego było już więcej, niż Tjegge i Tjorm mogli znieść. Łzy stanęły im w oczach, a Ronja też się trochę popłakała.

— Myślę, że teraz to już koniec z tańcami w Zamku Mattisa — odezwał się ponuro Tjegge.

Ronja wzięła swój tłumok i zarzuciła go na ramię.

— Powiedzcie Lovis, żeby się nie martwiła i nie bała za bardzo. Będę przecież w lesie, gdyby chciała mnie odszukać.

— A co mamy powiedzieć Mattisowi? — zapytał Tjorm.

_ Nic — odparła Ronja z westchnieniem.

Potem poszła. Tjegge i Tjorm stojąc w milczeniu, patrzyli za nią, póki nie zniknęła im z oczu za zakrętem ścieżki.

Była już późna noc i księżyc stał wysoko na niebie. Ronja zatrzymała się przy jeziorku, żeby odpocząć. Usiadła na kamieniu i poczuła, jak wielki spokój ogarnął jej las. Chwilę nadśluchiwała, ale nie słyszała nic prócz ciszy. W wiosenną noc las wydawał się pełen tajemnic, czarów i odwiecznych dziwów. A także pełen niebezpieczeństw, ale Ronja nie bała się.

Żeby tylko Wietrzydła trzymały się z dala, to jestem tu równie bezpieczna jak w Zamku Mattisa, pomyślała. Las jest moim domem, tak jak był zawsze, a szczególnie teraz, kiedy nie mam żadnego innego domu. Jeziorko było całkowicie czarne, ale na ciemnej tafli wody kładł się wąski promień księżyca. Wyglądało to pięknie i Ronja ucieszyła się tym widokiem. Tak, jakie to dziwne, że można jednocześnie cieszyć się i być smutnym. Była smutna z powodu Mattisa i Lovisa, ale uszczęśliwiona czarownym pięknem i ciszą wiosennej nocy, która ją otaczała.

I tutaj w lesie będzie mogła spokojnie dalej żyć. Z Birkiem. W tym momencie uświadomiła sobie, że Birk przecież czeka na nią w Niedźwiedziej Grocie, dlaczego więc ona siedzi tu i rozmyśla?

Podniosła się i wzięła swój tłumok. Miała jeszcze przed sobą szmat drogi, a żadnej ścieżki, która by prowadziła do groty, nie było. Ale mimo to wiedziała, jak ma iść. Tak jak wiedzą to zwierzęta. I tak jak wiedziały to wszystkie Pupiszonki, Mroczniaki i Sza-ruchy całego lasu.

Wędrowała więc spokojnie poprzez rozjaśniony blaskiem księżyca las, między sosnami i świerkami, przez mech i kępy czarnych jagód, obok mokradeł, gdzie zalatywał zapach woskownic, i obok czarnych bajor z głębią bez dna, przełaziła przez obrosłe mchem zwalone drzewa i przechodziła w bród małe szemrzące potoczki, wędrowała przez las prosto w kierunku Niedźwiedziej Groty, nie zbacząc z drogi.

W blasku księżyca zobaczyła nagle Mroczniaki tańczące na wielkim głazie. Łysy Per mówił, że czyniły to tylko w księżycowe noce. Zatrzymała się na chwilę, aby się im przyjrzeć, lecz one jej nie zauważyły. Ich taniec był dziwaczny. Chodziły dookoła, bardzo miarowo i ociężale, kołyszającym się krokiem i dziwnie przy tym bormotały. Łysy Per mówił, że to jest ich wiosenna pieśń. Próbował też zabormotać jej w ten sam sposób, ale nie było to zbyt podobne do tego, co słyszała teraz, a co brzmiało jak jakaś odwieczna skarga. Kiedy pomyślała o Łysym Perze, przypomniała też sobie o Mattisie i Lovis i ta myśl sprawiła jej ból.

Ale zapomniała o nich, kiedy znalazła się u celu i zobaczyła ogień. Tak, na skalnej płycie przed grotą Birk rozpałił ogień, żeby nie zmarzli w tę chłodną wiosenną noc. Z daleka już widziała strzelające płomienie i przypomniała sobie, co Mattis zwykł mówić: „Tam gdzie jest dom, tam jest ogień!”

Więc tu, gdzie jest ogień, może być również dom, pomyślała Ronja. W Niedźwiedziej Grocie będzie dom!

W świetle ognia siedział Birk i z całym spokojem jadł pieczone mięso. Nadział kawałek mięsa na patyk i podał jej.

— Długo czekałem — odezwał się. — A teraz jedz! Zanim zaśpiewasz Pieśń Wilków.

Ułożyli się na swoich postaniach ze świerkowych gałązek i Ronja próbowała zaśpiewać Birkowi Pieśń Wilków. Ale gdy przypomniła sobie, jak ją Lovis śpiewała dla niej i dla Mattisa, kiedy wszystko było jeszcze jak dawniej, z piersi wyrwało się jej tęskne westchnienie, a głos u wiązał w gardle.

Birk zapadał już w sen. Czekając na nią, cały dzień harował. Wyczyścił grootę po niedźwiedziach, które ostatniej zimy urządziły tu sobie leże. Z lasu przytaszczył drwa na ognisko i gałęzie świerku na postania. Spędził ten dzień naprawdę gorliwie pracując, wkrótce więc zasnął.

Ronja leżała na swoim postaniu, ale nie czuła się senna. W grocie panowała ciemność i chłód, nie marzyła jednak. Birk dał jej kozłą skórę, żeby sobie rozścieliła na świerkowych gałęziach, a z domu zabrała swoją miękką i ciepłą kołdrę z wiewiórczych skórek, którą można się było przyjemnie otulić. Nie musiała więc obawiać się, że nie zaśnie z zimna. A mimo to sen nie nadchodził.

Długo tak leżała nie odczuwając nic z tej radości, na jaką liczyła. Ale przez otwór groty widziała jasne, chłodne, wiosenne niebo i słyszała rzekę szumiącą głęboko w dole. To jej pomogło.

To samo niebo jest nad Zamkiem Mattisa, pomyślała. Rzeka też tak samo szumi tutaj, jak w domu.

I wtedy zasnęła.

Obudzili się oboje, kiedy słońce, wzniosłszy się ponad grzbiety górskie, zalało blaskiem przeciwległy brzeg rzeki. Rozżarzona czerwień wynurzyła się z porannej mgły i niczym ognista łuna rozgorzała nad lasami aż po horyzont.

— Zsinałem z zimna — odezwał się Birk. — Ale o świcie jest najchłodniej, potem stopniowo będzie coraz cieplej. To pomaga, jeśli się o tym wie, prawda?

— Ogień pomógłby o wiele bardziej — odparła Ronja, także dygocąc z zimna.

Birk odgarnął popiół przykrywający żar, z którego strzeliły teraz płomyki. Siedzieli więc przy swoim ogniu, jedli chleb i pili resztki koziego mleka z butelki Ronji. Kiedy wysączyli ostatni łyk, Ronja odezwała się:

— Od tej chwili przyjdzie nam pić jedynie źródlaną wodę.

— Nie utyjemy od niej — odparł Birk. — Ale i nie umrzemy.

Spojrzeli na siebie i roześmieli się.

Życie w Niedźwiedziej Grocie będzie ciężkie, wiedzieli o tym, ale to ich nie przerażało. Ronja zdołała zupełnie już zapomnieć o smutku, który ogarnął ją w nocy. Najedli się i rozgrzali, poranek wstał świetlisty, a oni byli wolni jak ptaki. Wydawało się, jakby dopiero w tym momencie naprawdę to pojęli. Wszystko, co było takie ciężkie i trudne w ostatnim czasie, mieli teraz poza sobą. Oboje postanowili o tym zapomnieć i nigdy więcej nie wracać do tego nawet myślą.

— Ronja — odezwał się Birk — czy ty rozumiesz, że jesteśmy wolni, tak wolni, że z radości można śmiać się na całe gardło.

— Wiem, i to jest nasze bogactwo — odparła Ronja. — Nikt nie może nam tego odebrać ani nas stąd wypędzić.

Siedzieli więc nadal przy ognisku. Słońce tymczasem wytoczyło się na niebo, pod nimi szumiała rzeka, a dookoła budził się las. Korony drzew poruszały się lekko w porannym wietrze, kukułki kukały gdzieś w pobliżu, dzięcioł stukał w pień sosny, a po przeciwnej stronie rzeki wynurzyła się z lasu rodzina łosi. A oni siedzieli razem, przepełnieni takim uczuciem, jak gdyby wszystko to do nich należało, łosie i las, i co tylko żyło dookoła.

— Zatkaj uszy, bo zaraz rozlegnie się mój wiosenny krzyk — powiedziała Ronja. I wydała z siebie o-krzyk, którego echo rozległo się w górach.

— Jednej rzeczy pragnę bardziej niż czegokolwiek innego — odezwał się Birk. — Żebym zdążył przynieść kuszę, zanim swoim krzykiem zwabisz tu Wietrzydła.

— Przynieść... co takiego? — spytała Ronja. — Z Twierdzy Borki?

— Nie, z lasu tam w dole — odpowiedział Birk. — Nie mogłem zabrać ze sobą wszystkiego naraz. Dlatego zrobiłem sobie schowek w spróchniałym drzewie i zostawiłem tam różne rzeczy, które będą mi tutaj potrzebne.

— Mattis nie chciał mi jeszcze dać kuszy — powiedziała Ronja. — Ale mogę wyciąć sobie łuk, jeśli pożyczysz mi swego noża.

— Dobrze, ale musisz na niego uważać. To jest najbardziej drogocenna rzecz, jaką posiadamy, pamiętaj o tym. Bez noża nie damy sobie rady w lesie.

— Jest więcej rzeczy, bez których nie damy sobie rady — odparła Ronja. — Wiadro do noszenia wody, pomyślałeś o tym?

Birk zaśmiał się.

— Pewnie, że pomyślałem. Ale samym myśleniem nie przyniesie się wody.

— I dlatego dobrze, że wiem, gdzie mam je zdobyć.

— Jak to?

— Przy źródle leczniczym Lovis. W lesie, poniżej Wilczej Pułapki. Posłała tam wczoraj Sturkasa po leczniczą wodę, Łysy Per musi ją pić na żołądek. Ale za Sturkasem leciało kilka Wietrzydeł i

wrócił do domu bez wiadra. Będzie musiał przynieść je dzisiaj, już Lovis tego dopilnuje, możecie mi wierzyć. Jeśli się jednak spieszę, to może zdążę przed nim.

Zaczęli się więc spieszyć obydwój. Dobry kawałek drogi gnali przez las pędem, żeby zdążyć przynieść to, czego potrzebowali.

Po jakimś czasie z powrotem znaleźli się przy grocie. Ronja z wiadrem, Birk ze swoją kuszą i różnymi innymi rzeczami z kryjówki w drzewie. Ułożył wszystko rzędem na płycie przed grota, żeby pokazać Ronji. Siekiera, osełka, mały kociołek, przybory rybackie, sidła na leśne ptactwo, strzały do kuszy, krótki oszczep, rzeczy nieodzowne dla każdego, kto zamierza żyć w lesie.

— No, widzę, że wiesz, co my, leśni ludzie, musimy umieć — odezwała się Ronja. — Zdobywać jedzenie i bronić się przed Wietrzydłami i drapieżnymi zwierzętami.

— Pewnie, że wiem — odpowiedział Birk. — Chyba będziemy...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo Ronja schwyciła go gwałtownie za ramię i szepnęła przestraszona:

— Cicho! Ktoś jest w grocie!

Zaczęli nadśluchiwać wstrzymując oddech. Tak, ktoś był w ich grocie, ktoś, komu udało się tam wkraść, kiedy ich nie było. Birk schwycił oszczep i oboje zamarli w oczekiwaniu. Słyszeli, jak ktoś rusza się w środku, i bardzo niemiłe było uczucie, że nie wiedzieli, kto to jest. Dochodziły ich zresztą takie szmery, jakby tam była nie jedna, ale więcej istot. Może grota była pełna Wietrzydeł, które zaczęły się i w każdej chwili mogły wylecieć i zatopić w nich szpony.

W końcu nie mogli już znieść tego nadśluchiwania i czekania w beczynności.

— Wychodźcie, Wietrzydła! — krzyknął Birk. — Jeśli chcecie trafić na najostrzejszy oszczep w tym lesie.

Ale nikt się nie pokazał. Zamiast tego doszła do ich uszu wściekła wrzawa w grocie :

— Człowiek w Borze Szaruchów! Hej, Szaruchy, gryźcie i bijcie!

W tym momencie Ronja zapieniła się ze złości.

— Wynocha, Szaruchy! — wrzasnęła. — Wynoście się stąd do diaska, i to już! Inaczej pójde i powyrywam wam kłaki!

Z groty wyroiły się Szaruchy. Sarkały i prychały wściekle w stronę Ronji, ale ona odpowiadała im tym samym, a Birk wymachiwał oszczepem. Wtedy zaczęły się spieszyć, żeby jak najprędzej opuścić górę. Pełzając i czepiając się, zlążyły po stromym stoku skalnym w stronę rzeki. Część z nich, nie mając czego się chwycić, zsuwała się i, piszcząc z wściekłości, spadała prosto w kipieli, tak że wkrótce, pozbijane razem niczym kiście winogron, Szaruchy żeglowały z prądem rzeki. W końcu jednak udało im się z mozołem wygramolić na ląd.

— Te bestie świetnie pływają — odezwała się Ronja.

— I równie dobrze jedzą chleb — dodał Birk, kiedy weszli do groty i zobaczyli, że Szaruchy zżarły cały bochen chleba z ich zapasów. Więcej szkód nie zdążyły narobić, ale to, co zrobiły, wystarczyło.

— Źle się stało — powiedziała Ronja — bo przy ich paplaninie cały las napełni się teraz sarkaniem i parsaniem i wkrótce wszystkie Wietrzydła, co do jednego, dowiedzą się, gdzie jesteście.

Ale w Lesie Mattisa nie trzeba się bać, o tym Ronja słyszała już od małości. A niepokoić się z góry byłoby głupio, co do tego byli zgodni i ona, i Birk. Spokojnie więc uporządkowali w grocie zapasy żywności, broń i narzędzia. Później przynieśli wody ze źródła w lesie i nastavili sieć w rzece, żeby nałapać ryb. Przydźwigali też kilka płaskich kamieni wygładzonych przez wodę i urządzili na skalnej płycie prawdziwe palenisko. Później przemierzili spory kawał drogi, żeby znaleźć jałowiec na łuk dla Ronji. Po drodze ujrzeli dzikie konie pasące się na tej samej polanie, co zawsze. Przemawiając serdecznie, próbowali zbliżyć się do Łobuza i Dzikusa, ale nic z tego nie wyszło. Ani Łobuz, ani Dzikus nie poznały się na serdeczności. Lekkim kłusem oddaliły się i zniknęły, żeby paść się w jakimś innym miejscu, gdzie będą miały spokój.

Resztę dnia spędziła Ronja siedząc przed grotą i strugając dla siebie łuk i dwie strzały. Na cięciwę poświęciła kawałek swego rzemienia. Potem przez dłuższy czas uczyła się strzelać z takim zapalem, że w końcu udało jej się postradać obie strzały. Szukała ich dopóty, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Wtedy musiała dać za wygraną. Ale nie zmartwiło jej to zbytnio.

— Jutro wystrugam nowe.

— Tylko uważaj na nóż — odezwał się Birk.

— Tak, wiem, że to jest najcenniejsze, co posiadamy. Nóż i siekiera.

Nagle spostrzegli, że zrobił się już wieczór. I że są głodni. Dzień cały upłynął, a oni bez przerwy coś robili. Nachodzili się, nabiegali, nadźwigali i natasz-czyli, urządzając swoje gospodarstwo. Byli tak zajęci, że nawet nie czuli głodu. Ale teraz zrobili sobie prawdziwą ucztę z chleba, koziego sera i wędzonej baraniny. Wszystko to popijali czystą źródlaną wodą, dokładnie tak jak przepowiedziała Ronja.

O tej porze roku zapadający mrok nigdy nie był zbyt głęboki, czuli jednak zmęczenie i oboje byli senni, co świadczyło, że dzień się już skończył. W ciemności groty Ronja śpiewała Birkowi Pieśń Wilków i choć tym razem poszło jej lepiej, znów ogarnął ją smutek.

— Sądzisz, że oni myślą tam o nas, w Zamku Mattisa? To znaczy, nasi rodzice? — spytała Birka.

— Chyba byłoby dziwne, gdyby było inaczej — odparł Birk.

Ronja przełknęła ślinę, zanim się znów odezwała.

— Może się martwią? Birk namyślał się chwilę.

— Z tym to jest różnie. Undis martwi się, ale są-dzę, że bardziej jest zła. Borka jest także zły, ale bardziej smutny.

— Lovis się martwi, tego jestem pewna — powiedziała Ronja.

— A Mattis? — zapytał Birk.

Ronja milczała długą chwilę. Wreszcie powiedziała:

— Myślę, że on to jest chyba zadowolony, że mnie nie ma. Będzie mógł o mnie zapomnieć.

I próbowała w to uwierzyć, lecz w głębi serca wiedziała, że wcale tak nie jest.

W nocy śnił jej się Mattis siedzący samotnie w samym środku mrocznego, czarnego lasu i płaczący tak bardzo, że u jego stóp powstało jezioro. A na dnio tego jeziora siedziała ona sama i była znów malutka, i bawiła się szyszkami i kamykami, które od niego dostała.

Wczesnym rankiem pognali w dół nad rzekę, żeby sprawdzić, czy w sieci nie ma ryb.

— Ryby powinny być wyjęte, zanim kukułka zakuka — powiedziała Ronja.

Podskakiwała wesoło, biegnąc ścieżką tuż przed Birkiem. Była to mała, wąska ścieżyna, która wiła się w dół pochyłego stoku porośniętego młodą brzezina. Ronja czuła zapach delikatnych brzożowych listków, pachniało wiosną i to sprawiało jej taką radość, że musiała podskakiwać. Zaraz za nią szedł Birk, jeszcze nie całkiem rozbudzony.

— Jeżeli w ogóle jest jakaś ryba do wyjęcia! Ty pewnie sądzisz, że mamy pełną sieć?

— W tej rzece są łososie. Byłoby dziwne, gdyby ani jeden nie wskoczył w naszą sieć!

— I byłoby dziwne, gdybyś ty, moja siostrzyczko, tak podskakując nie znalazła się wkrótce nosem w rzece.

— To są moje wiosenne podskoki — odparła Ronja. Birk roześmiał się.

— Wiosenne podskoki, to prawda, że ta ścieżka jest jakby do tego stworzona. Kto ją wydeptał na początku, jak myślisz?

— Może Mattis — odpowiedziała Ronja. — Kiedy przebywał w Niedźwiedziej Grocie. On lubi łososie. Zawsze lubił.

Nagle zamilkła. Nie chciała myśleć o tym, co Mattis lubił, a czego nie. Przypomniała sobie nocny sen. Pragnęła go także zapomnieć. Ale myśli powracały jak natrętne gzy i nie chciały od niej odejść. Dopóki nie ujrzała łososia, który rzucając błyski, trzepotał się w sieci. Był to duży łosoś, który powinien wystarczyć na wiele dni, i Birk, kiedy wydobyl go z sieci, powiedział z zadowoleniem:

— Z głodu nie umrzesz, siostrzyczko, to ci przyrzekam.

— Póki nie nastanie zima — odparła Ronja.

Ale do zimy było daleko, kto by się nią teraz przejmował. Miała już dość tych natrętnych myśli.

Wracali do grotty dźwigając łosiosa nawleczonego na drąg i ciągnąc za sobą wyrzucony przez wodę pień brzozy. Obwiązali go rzemieniami, których końce przymocowali sobie do pasków i teraz niczym dwa robocze konie z mozołem wlekli kloc w górę ścieżki. Drewno było im potrzebne. Z tego kawałka można będzie zrobić drewniane miski i wiele innych rzeczy.

Birk ociosał brzozę z gałęzi, ale podczas tej czynności siekiera ześlizgnęła mu się raniąc stopę i teraz krwawił. Na ścieżce pozostawały za nim krwawe ślady, ale chłopiec potraktował to lekko.

— Nie ma się czym przejmować. Rana może sobie krwawić, wreszcie sama przestanie.

— Nie bądź no taki dzielny — odezwała się Ronja. — Może przyjdzie jakiś krwiożerczy niedźwiedź, wywęszy twoje ślady i będzie chciał się dowiedzieć, gdzie to jest reszta tej smacznej krwi.

Birk roześmiał się.

— To mu pokażę oszczep.

— Lovis — powiedziała Ronja w zamyśleniu — ma zwyczaj przykładać na krwawiące miejsce suszony torfowiec. Myślę, że muszę postarać się o niego, i to w większej ilości, bo kto wie, kiedy znów przyjdzie ci ochota rąbnąć się w nogę.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Przyniosła z lasu całe naręczce torfowca i rozłożyła go na słońcu, żeby wysechł. Kiedy przysła do domu, Birk poczęstował ją upieczonym łosiosiem. Starczyło tego na wiele razy. Przez kilka dni nie zajmowali się niczym innym — jedli łosiosa i pracowali nad swoimi drewnianymi miskami. Odrąbywanie kawałków drewna nie było trudne. Robili to na zmianę i ani razu żadne z nich nie zadrasnęło się siekierą. Wkrótce mieli pięć wspaniałych klocków, które tylko czekały na to, żeby wydrążono z nich miski. Uznali, że tyle akurat im wystarczy. Ale już trzeciego dnia Ronja spytała:

— Birk, co jest dla ciebie gorsze? Pieczony łosoś czy pęcherze na rękach?

Birk odparł jednak, że nie potrafi na to odpowiedzieć, ponieważ to pierwsze jest równie obrzydliwe, jak to drugie.

— Ale wiem jedno. Powinniśmy mieć jakieś dłuto. Samym tylko nożem to jest męczarnia.

Nie mieli jednak żadnego innego narzędzia, więc nadal na zmianę skrobali i wyrzynali, póki w końcu nie otrzymali czegoś, co przypominało miskę.

— Nigdy w życiu nie będę robił więcej czegoś takiego — odezwał się Birk. — Teraz tylko jeszcze o-ostatni raz naostrzę nóż. Daj go!

— Nóż? — zdziwiła się Ronja. — Przecież ty go masz.

Birk potrząsnął przecząco głową.

— Nie, ty miałaś ostatnio. Daj go!

— Nie mam żadnego noża — odparła Ronja. — Nie słyszałaś, co powiedziałam?

— Więc coś z nim zrobiła? Ronję ogarnęła złość.

— Coś ty sam z nim zrobił? To ty go miałeś ostatnio.

— Kłamiesz! — powiedział Birk. Rozgoryczeni szukali noża w milczeniu. Wszędzie.

W grocie i przed nią, na płycie. I od nowa, wewnątrz groty i znów na zewnątrz. Ale noża nigdzie nie było. Birk spojrzał zimno na Ronję.

— Zdaje się, że ci mówiłem, że w lesie bez noża nie można sobie dać rady.

— To powinienesz być bardziej na niego uważać — odparła Ronja. — Poza tym jesteś łajdak, co zwala na innych, kiedy sam zrobi świństwo.

Birk pobałdł z wściekłości.

— Ach tak! Tu cię mamy, zbójnicka córko! Widzę, że nic się nie zmieniłaś. I to z tobą ma człowiek żyć!

— Wcale nie musisz, zbójku Borki! — krzyknęła Ronja. — Żyj sobie ze swoim nożem, jeśli go znajdziesz! I w ogóle idź do diaska!

Zostawiła go i odeszła, a łzy wściekłości tryskały jej z oczu. Teraz pójdzie do lasu, żeby nie być razem z nim. Nigdy więcej nie chce go widzieć, nigdy więcej nie odezwie się do niego!

Birk widział, jak odchodzi. Rozwścieczyło go to jeszcze bardziej, więc krzyknął w jej kierunku:

— Powinny cię porwać Wietrzydła! U nich będziesz jak w domu.

Zobaczył rozłożony torfowiec, który tylko zawadzał. Głupi pomysł Ronji! Z wściekłością kopnął suche roślinki. Pod torfowcem leżał nóż. Birk gapił się na niego dłuższą chwilę, nim go wreszcie podniósł. Torfowiec przeszukiwali przecież tak dokładnie. Jak to się mogło stać, że go nie zauważyli, i czyja to była wina? Torfowiec był w każdym razie wymysłem Ronji, to pewne. Zresztą była zwariowana, głupia i nie do wytrzymania. Inaczej pobiegłby za nią i powiedział, że nóż się znalazł. Jeśli o niego chodzi, Ronja może sobie równie dobrze zostać w lesie, aż sama będzie miała tego dość i znów zacznie zachowywać się jak człowiek.

Ostrzył nóż tak długo, aż stał się prawdziwie ostry. Potem usiadł i sprawdził, jak świetnie leży w dłoni. To był wspaniały nóż i dobrze, że nie przepadł. Tyle że w czasie, gdy go ostrzył, wyparowała z niego cała wściekłość. Teraz mógł być zadowolony. Miał przecież swój nóż. Ale nie było Ronji. Czyżby dlatego czuł taki dziwny ucisk w piersiach?

„Żyj sobie ze swoim nożem!” Tak powiedziała! Znów ogarnęła go złość. A ona sama gdzie się podzieje? Nie, nie obchodzi go to, może sobie pędzić i lecieć, dokąd chce. Ale jeśli nie wróci, i to szybko, będzie sama sobie winna. Niedźwiedzia Grota będzie wtedy dla niej bez litości zamknięta. Chętnie by jej o tym powiedział, ale ani myśli po to gnać do lasu i szukać jej tam. Pewnie sama wreszcie przyjdzie i będzie prosić i błagać, by jej pozwolił wrócić, ale wtedy on powie:

— Powinnaś była przyjść wcześniej! Teraz już za późno!

Wymówił to głośno, żeby usłyszeć, jak to zabrzmiało, i wzdrygnął się. Co za słowa, i to do tej, która miała być jego siostrą! Ale to ona sama wybrała. On jej nie wypędzał!

Czekając, zjadł trochę łososia. Pierwsze trzy, cztery kęsy smakowały wybornie. Dziesiąty i następny rosły mu już w ustach, z trudem udało mu się je przełknąć.

Jednakże było to jakieś jedzenie. A co je ten, co błąka się po lesie? Co jadła Ronja? Pewnie jakieś korzonki i młode listki, jeżeli je znalazła. Ale to nie jego sprawa. Może sobie tam łązić, póki nie zginie. Widać sama tego chce, skoro ciągle jej nie ma.

Godziny płynęły i wydawały się dziwnie puste bez Ronji. Kiedy jej nie było obok, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Tylko ucisk w piersiach stawał się coraz dokuczliwszy.

Patrzył na mgłę, która zaczynała unosić się nad rzeką. Nagle przypomniał sobie, jak to było wtedy, dawno temu, kiedy walczył z Mgłowcami o Ronję. Nigdy później nie mówił z nią o tym, pewnie nawet nie wiedziała, że należy do tych, co dają się zwabić Mgłowcom. Jaka zła była wtedy na niego! Ugryzła go nawet w policzek, mała blizna pozostała mu do dziś. Ale on kochał ją mimo wszystko, tak, kochał ją od chwili, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Ale ona o tym nie wiedziała. Nigdy jej o tym nie powiedział. A teraz było za późno. Odtąd będzie żył w grocie samotnie. Ze swoim nożem... jak ona mogła powiedzieć coś tak okrutnego? Chętnie cisnąłby nóż do rzeki, byle by mógł mieć Ronję z powrotem, teraz to rozumiał.

O zmierzchu nad rzeką często unosiła się mgła, nie było więc żadnego powodu do obaw. Ale czy można być pewnym, pomyślał, że właśnie tego wieczora nie wzniesie się i nie obejmie całego lasu? A wtedy może znów wyjdą Mgłowce ze swoich mrocznych głębi. Kto wtedy uchroni Ronję przed ich wabiącym śpiewem? To jednak już nie jego sprawa. Nie, niech się dzieje co chce, dłużej tego nie wytrzyma! Musi pędzić do lasu, musi znaleźć Ronję.

Biegał aż do utraty tchu. Szukał jej wszędzie, po ścieżkach i we wszystkich miejscach, gdzie sądził, że mogłaby być. Wołał jej imię, aż przestraszył się własnego głosu i tego, że swoim krzykiem zwabi wścibskie, okrutne Wietrzydła.

„Powinny cię porwać Wietrzydła”, tak za nią zawołał. Ze wstydem to sobie teraz przypominał. Może tak właśnie zrobiły, ponieważ nigdzie jej nie było. Albo może wybrała się do Zamku Mattisa? Może klęczy teraz przed Mattisem i prosi, i błaga, żeby jej pozwolił wrócić do domu i być znów jego dzieckiem.

Ona nigdy nie będzie żebrać i wpraszać się do Niedźwiedziej Groty, nie, Mattis był tym, za którym tęskniła, to było widoczne. Chociaż starała się, żeby Birk tego nie zauważył. W takim razie teraz jest zadowolona, bo znalazła powód, żeby porzucić Niedźwiedzią Grotę, a także tego, co miał być jej bratem!

Nie było sensu dłużej szukać. Ruszył w górę. Musi wrócić do swojej grotty i samotności, choćby najbardziej gorzkiej. Wiosenny wieczór był tak czarowny, jakby to sam Bóg sprawił ów cud, ale Birk tego nie zauważył. Nie docierały do niego wieczorne zapachy, nie słyszał śpiewu ptaków, nie widział kobierca traw i kwiatów, czuł jedynie wypełniający go bolesny smutek.

Nagle usłyszał z oddali rzenie śmiertelnie przerażonego konia. Pobiegł w tamtym kierunku, a w miarę jak się zbliżał, rzenie stawało się coraz bardziej przejmujące. W małym prześwicie między świerkami zobaczył klacz. Z jej rozplątanej klatki piersiowej obficie płynęła krew. Wyraźnie przstraszyła się Birka, ale nie uciekała, zarżała tylko jeszcze bardziej żałośnie, jak gdyby w swoim nieszczęściu prosiła o pomoc i opiekę.

— Biedaczko — powiedział Birk — kto cię tak urządził?

W tej samej chwili ujrzał Ronję, jak rzuciwszy się między świerki, biegła ku niemu z twarzą zalaną łzami.

— Widziałeś niedźwiedzia? — krzyknęła. — O, Birk, on porwał jej źrebaczka, zabił go!

Plakała rozpaczliwie, ale Birk odczuwał tylko szaleńczą radość. Ronja żyła, jej nie zabił niedźwiedź, i żaden Mattis ani żadne Wietrzydła także mu jej nie zabrały, co za szczęście!

A Ronja stała obok klaczy i patrzyła, jak uchodzi z niej krew. Wtedy jak gdyby usłyszała w sobie głos Lovisa i od razu wiedziała, co należy robić.

Krzyknęła do Birka:

— Prędko! Przynies torfowca, bo ona utraci całą krew!

— A ty? Nie możesz tu zostać, gdy niedźwiedź jest w pobliżu!

— Leć! — krzyknęła Ronja. — Ja muszę zostać przy klaczy, ona potrzebuje pociechy! I torfowca! Szybko!

I Birk pobiegł. Cały ten czas, kiedy go nie było, Ronja stała przy klaczy obejmując jej łeb i czule szepcząc słowa pociechy, a klacz stała cicho, jakby słuchając. Przestała rzeć, może nie miała już siły. Od czasu do czasu przez jej ciało przebiegał gwałtowny dreszcz. Niedźwiedź zadał jej straszliwą ranę. Biedna klacz, próbowała bronić swojego źrebaczka, który leżał już martwy. Może czuła, że także z niej uchodzi życie, powoli i nieubłaganie. Zmierzchało, wkrótce zapadnie noc, i jeśli Birk nie zdąży wrócić na czas, klacz nie ujrzy już poranka.

Przybiegł wreszcie, z całym naręczem torfowca. I nigdy jeszcze Ronja nie widziała, żeby patrzył na nią z takim uczuciem. Kiedyś mu o tym powie, ale nie teraz. Teraz trzeba się było spieszyć. Wzajemnie sobie pomagając, przykładali do rany torfowiec i widzieli, jak szybko nasiąka krwią. Przyłożyli go więc więcej i przymocowali rzemieniami, opasując wzdłuż i w poprzek klatkę piersiową klaczy. Stała spokojnie i pozwalała im na wszystko, jakby rozumiejąc, co robią. Ale zza najbliższego świerku nieoczekiwanie wysunął głowę Pupiszonek, który tego nie rozumiał.

— Cemu lubicie wy tak? — zapytał ponuro. Ronję i Birka ucieszył jego widok — wiedzieli już, że niedźwiedź się wyniósł. Niedźwiedzie i wilki unikały bowiem całego mrocznego ludku. Ani Pupiszonki, ani Mroczniaki, ani Wietrzydła czy Szaruchy nie bały się żadnego z drapieżników, gdyż sam zapach mrocznego ludku wystarczał, żeby niedźwiedź czy wilk cicho zniknął w głębi lasu.

— A źlebacka nie ma! — odezwał się Pupiszonek. — Juz nie poskace!

— Wiemy o tym — odparła Ronja ze smutkiem. Pozostali przy klaczy całą noc. Była to bezsenna i zimna noc, ale nie zwracali na to uwagi. Siedzieli obok siebie pod grubym świerkiem i rozmawiali o wszystkim, tylko nie o tym, jak się poróżnili. Tak jak gdyby tego zupełnie nie pamiętali. Ronja próbowała opowiedzieć, jak widziała niedźwiedzia zabijającego źrebaczka, ale urwała. Było to zbyt trudne.

— Coś takiego zdarza się i w Lesie Mattisa, i we wszystkich innych lasach — powiedział Birk. W środku nocy zmienili torfowiec na ranie, potem trochę przysnęli i zbudzili się, kiedy zaczęło świtać.

— Patrz! Krew przestała lecieć! — powiedziała Ronja. — Mech jest suchy!

Ruszyli w kierunku groty prowadząc klacz ze sobą. Nie można było zostawić jej samej. Szła z trudem ociężałym krokiem, czyniła to jednak bez oporu.

— Ale wspiąć się na górę nie będzie mogła, póki nie wyzdrowieje — powiedział Birk. — Gdzie będziemy ją trzymać?

W pobliżu groty, schowane między świerkami i brzozi, znajdowało się źródło, z którego brali wodę. Tam zaprowadzili klacz.

— Pij, a przybędzie ci świeżej krwi — powiedziała Ronja.

Klacz piła dużo i długo. Potem Birk uwiązał ją do pnia brzozy.

— Może tu zostać, póki rana się nie zagoi. Żaden niedźwiedź tu nie przyjdzie, tego jestem pewien. Ronja pogłaskała klacz.

— Nie rozpaczaj już — powiedziała. — W przyszłym roku będziesz miała nowego źrebaczka.

Wtedy spostrzegła, że z wymienia klaczy kapią krople mleka.

— To mleko powinien dostać twój mały źrebaczek — odezwała się Ronja — ale teraz możesz dać je nam.

Przyniosła z groty drewnianą miskę, która bardzo się teraz przydała. Zaczęła doić klacz i wkrótce naczynie było pełne. Opróżnienie nabrzmiętego wymienia sprawiło klaczy ulgę. Birk ucieszył się z mleka.

— Zyskaliśmy zwierzę domowe — powiedział. — Musimy nadać jej imię. Jak chcesz ją nazwać? Ronja nie zastanawiała się długo.

— Niech się nazywa Lia. Kiedy Mattis był mały, miał klacz, która się tak nazywała.

Oboje zgadzali się, że to dobre imię dla klaczy. Klaczy, której dane było nie zginąć. A że Lia będzie żyła, to było widać. Narwali trawy i zanieśli jej, a ona żarła chciwie. Wtedy sami poczuli, że są głodni. Musieli iść do groty, żeby także coś zjeść. Kiedy jednak zaczęli się oddalać, Lia odwróciła łeb i patrzyła za nimi niespokojnie.

— Nie bój się — powiedziała Ronja. — Wkrótce będziemy z powrotem. Dziękujemy ci za mleko! To było niebiańskie szczęście mieć znów mleko, świeże i schłodzone w zimnej źródlanej wodzie. Siedzieli więc na płycie przed grota, jedli chleb, pili mleko i patrzyli, jak wschodzi słońce i nastaje nowy dzień.

— Szkoda, że nóż zginął — odezwała się nagle Ronja.

Birk wyciągnął nóż i podał go jej.

— I dobrze, że się znalazł. Leżał sobie pod torfowcem, podczas gdy myśmy sobie wzajemnie wymyślali i kłócili się.

Ronja długą chwilę milczała, potem odezwała się:

— Wiesz, o czym teraz myślę, kiedy tak tu siedzę? Myślę, jak łatwo można wszystko zniszczyć bez żadnej przyczyny.

— Mamy teraz nauczkę — odparł Birk.— A wiesz, o czym ja myślę, kiedy tak tu siedzę? Myślę, że ty jesteś więcej warta niż tysiąc noży!

Spojrawszy na niego Ronja uśmiechnęła się.

— Teraz toś chyba całkiem oszalał. Tak mawiała czasem Lovis do Mattisa.

Dni mijały, wiosna zmieniła się w lato i zrobiło się gorąco. Pewnego dnia nadszedł deszcz. Całe dnie i noce splukiwał las, który ugasiwszy pragnienie stał się świeży i zielony jak nigdy przedtem. A kiedy deszcz ustał i znów wyjrzało słońce, las ogarnięty ciepłem lata parował tak, iż Ronja musiała zapytać Birka, czy on sądzi, że tak wiele cudownych woni może być w jakimkolwiek innym lesie na świecie. Odpowiedział, że nie sądzi.

Rana Lii zagoiła się już dawno. Puścili ją wolno i teraz znów żyła wśród dzikich koni. Mimo to nadal dostawali od niej mleko. Wieczorami jej stado pasło się zwykle niedaleko groty i każdego wieczora Ronja i Birk wychodzili do lasu i wołali ją po imieniu. Rżała w odpowiedzi, żeby dać im znać, gdzie jest. Chciała być wydojona.

Również inne konie ze stada wkrótce przestały się ich bać. Czasami podchodziły zaciekawione i patrzyły, jak Lia jest dojona, czegoś tak dziwnego nigdy nie widziały. Łobuz i Dzikus także przychodziły często i były tak natarczywe, że Lia kładła po sobie uszy i kłapała na nie zębami. One jednak wcale się tym nie przejmowały. Nadal swobodnie poszturchiwały jeden drugiego i

wyczyniały dzikie susy i skoki. Były młode i chciały się bawić. Albo nagle rzucały się do galopu i znikały w lesie.

Ale już następnego wieczoru były znów. Teraz można się było do nich odezwać. W końcu pozwoliły się nawet pogłaskać. Ronja i Birk głaskali je gorliwie i wyglądało, że obu koniom sprawia to przyjemność. Cały czas jednak w ich oczach migały złośliwe iskierki, jak gdyby myślały: Nas nie oszukacie!

Ale pewnego wieczora Ronja powiedziała:

— Powiedziałam, że będę jeździć konno, to będę! Właśnie przyszła kolej na Birka, żeby doił Lię, a Łobuz i Dzikus stały całkiem blisko i przyglądały się.

— Słyszałeś, co powiedziałam?

Pytanie skierowała do Łobuza. I w tej samej chwili chwyciła go za grzywę i z rozpędem wskoczyła mu na grzbiet. Zrzucił ją, ale już nie tak prędko, jak poprzednim razem. Teraz była przygotowana i wiedziała, czego może się po nim spodziewać. Musiał długo walczyć, żeby się jej pozbyć. W końcu udało mu się to i Ronja wyjąc z wściekłości znalazła się na ziemi. Nie doznała jakichś większych obrażeń, podniosła się i rozcierała obolałe łokcie.

— Łobuz jesteś i pozostaniesz — powiedziała. — Ale ja jeszcze się nie poddałam.

I rzeczywiście. Każdego wieczora po dojeniu próbowali oboje nauczyć Łobuza i Dzikusa lepszych manier, ale po tych bestiach wszelka nauka spływała bez śladu, więc gdy Ronja została zrzuciona dostateczną liczbę razy, powiedziała:

— Teraz nie ma na moim ciele ani jednego miejsca, które by nie było obolałe i obite. — Dała Łobuzowi szturchańca. — I to twoja wina, nicponiu!

A Łobuz stał spokojnie i robił wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

Patrzyła, jak Birk walczy jeszcze z Dzikusem. Dzikus był tak samo trudny jak Łobuz, tylko że Birk był silny i utrzymywał się na jego grzbiecie. Tak, naprawdę, utrzymał się tak długo, aż Dzikus się zmęczył i przestał szaleć.

— Patrz, Ronja! — krzyknął Birk. — Stoi spokojnie!

Dzikus zarżał nerwowo, ale stał spokojnie. Więc Birk głaskał go i wychwalał pod niebiosa, aż w końcu Ronja miała tego dość.

— W głębi duszy i serca on jest także łajdakiem, a ty wiesz o tym!

Drażniło ją, że Birk odniósł zwycięstwo nad Dzikusem, kiedy ona nie poradziła sobie z Łobuzem. A jeszcze bardziej drażniło ją, że przez następnych kilka wieczorów Birk w ogóle przestał zajmować się dojeniem i podczas gdy ona klęcząc doiła Lię, jeździł dookoła niej na grzbiecie Dzikusa. Tylko żeby pokazać, jak potrafi ujeżdżać konie.

— Będą siniaki czy nie — powiedziała w końcu Ronja — czekaj, niech no tylko skończę doić, wtedy ci pokażę, co to jazda!

I pokazała. Łobuz spacerował sobie niczego nie przeczuwając, gdy nagle znów poczuł Ron jena grzbiecie. Na to jednak nie miał chęci, z całą siłą skoczył, żeby ją z siebie zrzucić, ale kiedy zauważył, że mu się to nie udaje, ogarnął go lęk pomieszany z goryczą. Lecz Ronja postanowiła, że tym razem mu się nie uda. Trzymała go mocno za grzywę, ścisnęła kolanami i ciągle jeszcze siedziała na jego grzbiecie. Wtedy poniósł. Popędził prosto w las, tak że gałązki świerków i pędzelki sosen tylko świstały jej koło uszu. Ronja krzyknęła przerażona:

— Ratunku! On pędzi prosto do diaska! Ratunku!

Łobuz zupełnie zwariował. Gnał przed siebie, jakby chciał się zajeździć na śmierć, i Ronja czekała już tylko chwili, kiedy spadnie i skręci kark.

Wtedy dopędził ich Birk na Dzikusie. Ten koń był rzeczywiście szybki ponad wszelkie wyobrażenie. Wkrótce wyprzedził Łobuza i wtedy Birk gwałtownie go zatrzymał. Łobuz, który nadbiegł w pełnym galopie, musiał stanąć, a Ronja o mały włos nie prze-frunęła ponad jego głową. Ale wczepiła się tak mocno w grzywę, że nie spadła, co znów podniosło ją na duchu. Za to Łobuz kompletnie osłupiał. Miał już dość galopowania. Boki pokrywała mu piana, nogi drżały, ale Ronja głaskała go i wychwalała, że biegł tak dobrze, więc powoli uspokoił się.

— Chociaż właściwie to powinienes dostać po pysku — powiedziała. — To cud, że żyję.

— Większy cud, że jeździmy konno — powiedział Birk. — Patrz, te bestie wiedzą już teraz, jak to dalej będzie i kto tu rządzi.

Najspokojniej w świecie pokłusowali z powrotem do Lii, wzięli jak co wieczór mleko i zostawiwszy Łobuza i Dzikusa ich własnym zabawom, ruszyli do groty.

— Birk — odezwała się Ronja. — Zauważyłeś, że Lia daje teraz mniej mleka?

— Tak, może spodziewa się nowego źrebaka — myślał głośno Birk. — A w takim razie niedługo w ogóle nie będzie miała mleka.

— No to pozostanie nam znów źródłana woda — powiedziała Ronja. — Wkrótce także zabraknie nam chleba.

Mąka, którą Ronja wzięła z domu, skończyła się. Upiekli ostatnie twarde placki na rozgrzanym w ognisku kamieniu. Jeszcze mieli w grotcie trochę chleba, ale wkrótce i to się skończy. Z głodu wprawdzie nie zginą, w lesie jest wiele małych jezior pełnych ryb, a leśnego ptactwa też mnóstwo. Jeśli naprawdę zagrozi im głód, potrafią przecież złapać cieciorkę albo głuszca.

Ronja zbierała zioła i młode listki, takie, co nadawały się do jedzenia. Lovis ją tego nauczyła. Dojrzały też maliny. Czerwieniły się dookoła na wiatrołomie. Wkrótce będą również czarne jagody.

— Nie, z głodu nie umrzemy — powiedziała Ronja — ale tego pierwszego dnia bez chleba i bez mleka nie będę lubiła.

A dzień ten nadszedł prędzej niż się spodziewali. Wprawdzie wierna Lia przybiegała, kiedy wołali ją wieczorami, i pozwalała się jeszcze doić, choć coraz bardziej niechętnie. W końcu Ronja nie była w stanie już wycisnąć więcej jak tylko kilka kropel i Lia dała wyraźnie do zrozumienia, że teraz ma być z tym koniec. Wtedy Ronja objęła łeb klaczy i spojrzała jej w oczy.

— Należy ci się podziękowanie, Lia, za ten cały czas. Na przyszłe lato będziesz miała nowego źrebaczka, wiesz o tym? I wtedy znów będziesz miała mleko, ale będzie ono dla twojego źrebaczka, nie dla nas.

Ronja pieszczotliwie pogłaskała klacz. Chciała wierzyć, że Lia rozumie jej słowa, więc powiedziała do Birka:

— Podziękuj jej także!

I Birk zrobił to. Długo stali przy klaczy, a gdy wreszcie w jasny letni wieczór ruszyli do swojej groty, kawałek drogi szła za nimi. Zupełnie jakby rozumiała, że teraz to już koniec tych wszystkich dziwności, które ją spotkały i które tak były niezwykle w prawdziwym życiu dzikiego konia. Mali ludzie, którzy robili te wszystkie dziwy, byli już daleko, a ona stała jeszcze chwilę i patrzyła za nimi, póki nie zniknęli między świerkami. Potem odwróciła się i pobiegła do swego stada.

Widzieli ją czasem wieczorami, kiedy schodzili, żeby pojeździć konno, i jeśli wołali jej imię, rżała w odpowiedzi, ale już nie oddalała się od stada, żeby podejść do nich. Była dzikim koniem i nigdy już nie stanie się zwierzęciem domowym.

Ale Łobuz i Dzikus przybiegały żwawo, jak tylko ujrzały Ronję i Birka. Teraz nic nie było im miłsze niż ścigać się, każdy ze swoim jeźdźcem na grzbiecie. Ronji i Birkowi te długie konne jazdy wzdłuż i w poprzek lasu dostarczały wiele radości. Pewnego jednak dnia goniło ich Wietrzydło. Oszałałe z przerażenia konie zupełnie nie dały sobą kierować. Dla Ronji i Birka jedynym wyjściem było zeskoczyć i pozwolić im pobiec dalej. Bez jeźdźców konie nie miały się czego obawiać. Wietrzydła nienawidziły ludzi, to ich chciały zniszczyć, nie leśne zwierzęta.

Nad Ronją i Birkiem zawisło niebezpieczeństwo. W panicznym strachu rzucili się w przeciwnych kierunkach. Chodziło o to, żeby Wietrzydło nie mogło dosięgnąć ich obojga, a wiedzieli, że w swojej głupocie będzie tego próbowało. I w tym był ich ratunek. Kiedy Wietrzydło goniło Birka, Ronja zdążyła się u-kryć. Gorzej było z Birkiem. Ale kiedy Wietrzydło szalejąc ze złości zaczęło

wypatrywać Ronji i na mgnienie oka zapomniało o Birku, wcisnął się on między wielkie głązy. Siedział tam długo, bojąc się, że lada moment Wietrzydło znów go wypatrzy.

Z Wietrzydłami jednak było tak, że jeśli czegoś nie widziały, to znaczyło, że tego w ogóle nie ma. Ponieważ więc wokół nie było widać żadnej istoty ludzkiej, której mogłoby wydrapać oczy, więc wściekle odfrunęło w stronę gór, aby powiadomić o tym wszystkie swoje siostry.

Birk zobaczył je, jak znikają, i kiedy już upewnił się, że nie wróci, zawołał na Ronję. Ronja wylazła ze swojej kryjówki pod świerkiem i oboje zatańczyli w kółko z radości, że byli uratowani. Co za szczęście! Żadne z nich nie zostało uśmiercone ani porwane do górskich grot i życia w niewoli.

— W Lesie Mattisa nie trzeba się bać — powiedziała Ronja — ale kiedy Wietrzydła trzepocą koło uszu, trudno być spokojnym.

Łobuza i Dzikusa nie było widać, musieli więc iść teraz pieszo całą drogę do Niedźwiedziej Groty.

— Ja mogę wędrować całą noc, bylebym tylko nie był napastowany przez Wietrzydła — powiedział Birk.

Wędrowali więc przez las, trzymali się za ręce i dużo mówili, zadowoleni i weseli, jak to bywa po strachu. Zaczynało zmierzchać, nastał piękny letni wieczór. Mówili o tym, jak może być wspaniale, nawet jeśli są na świecie Wietrzydła. Jak cudownie jest żyć w lesie na swobodzie, zarówno w dzień, jak i w nocy, mając nad sobą słońce, księżyc i gwiazdy i zmieniające się niepostrzeżenie pory roku, podczas wiosny, która właśnie dopiero co minęła, podczas lata, które było w pełni, i podczas jesieni, która wkrótce nastanie.

— Ale zimą... — zaczęła Ronja i umilkła. Widzieli Pupiszonki, Mroczniaki i Szaruchy, które przemykały się wokół to tu, to tam i ciekawie wyglądały ukradkiem zza świerków i głązów.

— Mroczny ludek — powiedziała Ronja. — Wszystkie te stworki żyją sobie spokojnie także i zimą.

— Ale teraz jest przecież lato — powiedział Birk. I Ronja czuła, że rzeczywiście tak było.

— To lato będę nosić w sobie i nie zapomnę póki życia — powiedziała.

Birk rozejrzał się dookoła po ogarniętym zmrokiem lesie i zrobiło mu się jakoś dziwnie na duszy, nie wiadomo dlaczego. Nie rozumiał, że to, co odczuwał jako lekki smutek w sercu, to był tylko czar letniego wieczoru i spokój, nic innego.

— To lato — zaczął i spojrzał na Ronję. — Tak, to lato będę nosił w sobie do końca życia, to wiem.

Tymczasem doszli do domu, do Niedźwiedziej Groty. A na płycie u wejścia siedział Mały Klippen i czekał. Mały Klippen, płaskonosy, ze skudlonymi włosami i brodą, wyglądał tak samo jak zawsze, ale Ronji wydał się teraz najpiękniejszy w świecie i z krzykiem rzuciła mu się na szyję.

— Mały Klippen... Och, to ty... że ty... że ty przyszedłeś!

Z radości aż się jąkała.

— Piękny stąd widok — odezwał się Mały Klippen. — Widać rzekę i las!

Ronja roześmiała się.

— Tak, widać rzekę i las! Czy dlatego tu przyszedłeś?

— Nie, Lovis przysłała mnie z chlebem — odparł Mały Klippen.

Otworzył swój skórzany worek i wyjął pięć dużych okrągłych bochenków chleba. Wtedy Ronja znów krzyknęła:

— Birk, widziałeś? Mamy chleb!

Chwyciła jeden z bochnów i podniósłszy go na wysokość twarzy, wdychała jego zapach, a w jej oczach ukazały się łzy.

— Chleb Lovis! Już zapomniałam, że istnieje coś tak cudownego.

Odłamy wała duże kawałki i jadła. Chciała dać także Birkowi, ale on stał z boku z chmurną twarzą, po czym nie odezwawszy się słowem ani nie biorąc chleba, zniknął w grocie.

— Tak, Lovis wyliczyła, że musiałeś już zostać bez chleba — powiedział Mały Klippen.

Ronja żuła, błogi smak chleba na podniebieniu sprawił, że ogarnęła ją tęsknota za Lovis.

Przed wszystkim jednak musiała zapytać Małego Klippena:

— Skąd Lovis wiedziała, że jestem w Niedźwiedziej Grocie?

Mały Klippen prychnął.

— Chyba nie uważasz swojej matki za głupią? Gdzie indziej mogłabyś być?

Popatrzył na nią z namysłem. Siedziała tu, ich Ronja, ich śliczna, mała Ronja, i tylko wrzucała w siebie kawałki chleba, jak gdyby to już było wszystko, co ją w tym życiu obchodziło. Nadeszła pora, żeby wyłożyć swoją sprawę. Miało to być zrobione chytrze, tak nakazała Lovis, więc się niepokoił, bo do specjalnie chytrych Mały Klippen nie należał.

— Słuchaj, Ronja — zaczął ostrożnie. — Nie wróciłabyś już do domu?

W środku groty coś zatrzeszczało. Był tam ktoś, kto słuchał i chciał, żeby Ronja o tym wiedziała. Ale Ronję obchodził teraz tylko Mały Klippen. Tak wiele było tego, o co chciała go zapytać, tak wiele tego, do czego tęskniła i o czym chciała coś wiedzieć. Siedział obok niej, ale kiedy już otwierała usta, żeby go zasypać pytaniami, okazało się, że trudno jej tak zwyczajnie na niego patrzeć. Utkwiła więc oczy gdzieś na horyzoncie ponad rzeką i lasami i zapytała tak cicho, że Mały Klippen ledwie dosłyszał:

— Jak jest teraz w Zamku Mattisa?

A Mały Klippen odpowiedział zgodnie z prawdą:

— Smutno jest teraz w Zamku Mattisa. Wróć do domu, Ronja!

Dziewczynka nadal patrzyła gdzieś ponad rzeką i lasami.

— Czy to Lovis przysłała cię, żebyś to powiedział?

Mały Klippen skinął głową.

— Tak! Za ciężko jest bez ciebie, Ronja. Wszyscy czekają na twój powrót do domu.

Ronja patrząc ciągle ponad rzekę i lasy, zapytała cicho:

— A Mattis? On także czeka na mój powrót? Mały Klippen zaklął.

— To diabelska bestia! Kto może wiedzieć, co on myśli i na co czeka!

Na chwilę zapanowała cisza, potem Ronja spytała:

— Czy on czasem mówi o mnie?

Mały Klippen kręcił się niespokojnie. Teraz właśnie był moment, kiedy miał postąpić chytrze, dlatego więc milczał.

— Powiedz tak, jak jest — odezwała się Ronja. — Czy nigdy nie wymawia mojego imienia?

— Nie — odparł Mały Klippen niechętnie. — I nikomu innemu nie wolno tego robić przy nim.

Do diabła! Wygadał się z tym, o czym Lovis chciała, żeby nie mówił. Ech! Jakie to było chytre! Spojrzał na Ronję błagalnie.

— Ale wszystko będzie dobrze, moja mała, tylko wróć do domu!

Ronja potrząsnęła przecząco głową.

— Nigdy nie wrócę do domu. Tak długo, jak długo nie jestem dzieckiem Mattisa. To możesz mu przekazać ode mnie zamiast pozdrowienia, powiedz to tak, żeby się rozległo na całym zamku.

— Dziękuję bardzo — odparł Mały Klippen. — Czegoś takiego nie odważyłby się powiedzieć nawet Łysy Per.

Poza tym Łysy Per był teraz słabowity, opowiadał Mały Klippen. A zresztą dlaczego nie miałby słabować, skoro wszystko było takie nędzne. Mattis stale i wciąż tylko wymyśla i wszystkich beszta, nic mu już teraz nie dogadza, a i rozbój idzie marnie. Cały las roi się od żołnierzy, złapali Peljega i posadzili o chlebie i wodzie w jednym z lochów namiestnika. Siedziało tam też dwóch ludzi Borki i mówiono, jakoby namiestnik zarzekał się, że w ciągu roku i ani dnia dłużej wszyscy zbóje z Lasu Mattisa zostaną złapani, a sąd wymierzy im karę. Co by to mogło znaczyć, zastanawiał się Mały Klippen, może śmierć?

— Czy on się nigdy nie śmieje teraz? — zapytała Ronja.

Mały Klippen spojrzał zdziwiony.

— Kto taki? Namiestnik?

— Mówię o Mattisie — wyjaśniła Ronja.

I Mały Klippen zapewnił ją, że od tamtego ranka, kiedy to Ronja na oczach Mattisa przeskoczyła przez Diabelską Czeluść, nikt nie słyszał jego śmiechu.

Teraz jednak Mały Klippen musiał już ruszać w drogę, zanim zrobi się zbyt ciemno. Na myśl o powrocie do domu zaczął niepokoić się tym, co powie Lovis, dlatego znów spróbował:

— Ronja, wróć do domu! Proszę cię, wróć! Ronja potrząsnęła przecząco głową, potem odezwała się:

— Pozdrów Lovis i podziękuj jej tysiącrotnie za chleb!

Mały Klippen gwałtownym ruchem wsadził rękę do skórzanego worka.

— Na Boga! Przecież ja mam dla ciebie także woreczek soli! Co by to było, gdybym wrócił z nią do domu!

Ronja wzięła woreczek.

— Mam matkę, która myśli o wszystkim! I wie, co potrzeba człowiekowi do życia. Ale skąd ona wiedziała, że my mamy tylko kilka grudek soli?

— Może jest coś takiego, że matka czuje — rozmyślał głośno Mały Klippen — jeśli jej dziecku zaczyna brakować czegoś niezbędnego.

— Tylko taka matka jak Lovis — odparła Ronja. Stała długo i patrzyła za Małym Klippenem, kiedy odchodził. Widziała, jak sprężył się szedł wydłużonym krokiem po wąskiej półce wzdłuż górskiego stoku, i dopiero gdy zniknął jej z oczu, weszła do grotu.

— No, no. Więc nie poszłaś z nim do domu, do swego ojca? — zapytał Birk.

Leżał już na swym posłaniu ze świerkowych gałęzi. Ronja nie mogła go widzieć w ciemności, ale słyszała słowa i to wystarczyło, żeby ją zirytować.

— Ja nie mam ojca — odparła. — Ale jeśli ty nie będziesz uważał na to, co mówisz, zostanę także bez brata!

— Wybacz, siostrze, może jestem niesprawiedliwy — powiedział Birk. — Ale ja przecież wiem, o czym ty czasami myślisz.

— Tak — dobiegła z ciemności odpowiedź Ronji.

— Czasami myślę o tym, że żyłam jedenaście zim, ale dwunasta będzie dla mnie ostatnią. A ja tak bardzo chciałabym żyć. Żebyś ty mógł to zrozumieć!

— Zapomnij o swoich zimach — powiedział Birk.

— Teraz jest lato!

I było lato. Każdego dnia coraz więcej lata. Tak jasnego i ciepłego jeszcze żadne z nich nie pamiętało. Codziennie w upalne południe kąpali się w chłodnej rzece. Pływali i nurkowali niczym dwie wydry i pozwalali się nieść prądowi tak długo, póki grzmot dochodzący od strony Huczającej Gardzieli nie stawał się tak silny, że czuło się, iż to już zbyt blisko i zbyt niebezpiecznie. Huczająca Gardziel! Rzeka rzucała tam masy wody w dół pionowego urwiska i kto chciał ująć z życiem, nie

mógł dać się ponieść w tamtą stronę. Ronja i Birk wiedzieli, kiedy zaczyna im zagrażać niebezpieczeństwo.

— Jak tylko widzę zarys Bryły Gardzieli — powiedziała Ronja — to wiem, że nasze życie w niebezpieczeństwie.

Bryła Gardzieli to był wielki kamienny blok w środku rzeki, niedaleko przed wodospadem. Dla Ronji i Birka był on znakiem ostrzegawczym, że teraz należy kierować się ku brzegowi, co było niełatwe i męczące. Zasapani i sini z zimna leżeli potem na przybrzeżnej skale i pozwalali słońcu, żeby ich grzało, a sami ciekawie zerkali na wydry, które pływały i nurkowały, i nigdy nie były zmęczone. Pod wieczór, kiedy dzień stawał się chłodniejszy, szli do lasu pojeździć konno. Łobuz i Dzikus jakiś czas trzymały się z daleka. Wietrzydło przstraszyło je tak, że bały się również tych, co siedzieli im na grzbiecie, podczas tamtego pościgu. Bały się dość długo, ale w końcu widocznie zapomniały o wszystkim, bo znów przybiegały żwawo i były skore do wyścigów. Ronja i Birk pozwalali im wyszaleć się w biegu, a potem już spokojnym kłusem objeżdżali swój las.

— W takie łagodne letnie wieczory miło jest jeździć konno — powiedziała Ronja.

Dlaczego w lesie nie może być stale lato? I dlaczego ja nie umiem się już cieszyć? — myślała. Kochała przecież swój las ze wszystkim, co się w nim znajdowało: wszystkie drzewa, wszystkie jeziora i stawy, obok których przejeżdżali, wszystkie porośnięte mchem pagórki, wszystkie zwierzęta i ptaki. Dlaczego więc patrząc na to wszystko czuła taki smutek i dlaczego pewnego dnia musi nadejść zima?

— O czym myślisz, moja siostrze? — spytał Birk.

— Myślę o tym, że... pod tym wielkim kamieniem mieszkają Mroczniaki — odparła Ronja. — Widziałam je tu wiosną, jak tańczyły. Lubię Mroczniaki i Pupiszonki, ale jak wiesz, nie lubię Szaruchów i Wietrzydeł.

— A któż je lubi? — powiedział Birk.

Ściemniało się teraz wcześniej. Minął już czas jasnych nocy. Wieczorami siadywali przy swoim ogniu i patrzyli w niebo na blade, mrugające gwiazdy. Ciągle jeszcze było to letnie niebo, ale Ronja wiedziała, co zwiastowały takie gwiazdy: wkrótce nastanie jesień!

— Tak, nienawidzę Wietrzydeł — powiedziała. — Dziwne nawet, że tak długo dały nam spokój. Pewnie nie wiedzą, że mieszkamy w Niedźwiedziej Grocie.

— To tylko dlatego, że mają swoje własne grotty w górach, po drugiej stronie lasu i daleko od rzeki — powiedział Birk. — A Szaruchy może z jakiegoś powodu zamknęły gęby, inaczej już dawno mielibyśmy Wietrzydła nad sobą. Ronja wzdygnęła się.

— Lepiej, żebyśmy o nich nie mówili — odezwała się. — Jeszcze moglibyśmy je tu zwabić.

Zapadła noc. I znów nastał poranek, który przeszedł w nowy ciepły dzień, i znów kąpali się w rzece. Wtedy nadleciały Wietrzydła. Nie jedno lub dwa, ale wielkie, straszne stado. W mgnieniu oka zaroilo się od nich w powietrzu. Wisiały na skrzydłach nisko nad rzeką wrzeszcząc i wyjąc:

— Hu, Hu! Jakie ładne ludziki! Tu, w wodzie! Zaraz tryśnie krew! Hu, hu!

— Nurkuj, Ronja! — krzyknął Birk.

Dali nurka i płynęli pod wodą tak długo, póki nie musieli znów nabrać powietrza, żeby się nie utopić. Ale kiedy ujrzeli niebo pociemniałe od Wietrzydeł, których nadlatywało coraz to więcej i więcej, zrozumieli, że tym razem nie ma dla nich ratunku. Tym razem nie wyjdą z tego.

Wietrzydła sprawiają, że już nie będę potrzebowała martwić się o zimę — pomyślała Ronja gorzko, słysząc wrzask, który ani na chwilę nie ustawał.

— Jakie ładne ludziki! Tu, w wodzie! Zaraz je roz-szarpiemy! Zaraz tryśnie krew! Hu, hu!

Wietrzydła lubiły siać strach i przerażenie, zanim rzucały się do ataku. W odpowiednim momencie zatopiały w swoich ofiarach szpony i uśmiercały je, ale równą przyjemność sprawiało im, kiedy, z wrzaskiem latały dookoła, by przerazić swoje ofiary i czekały na znak Wielkiego Wietrzydła, że oto nadszedł czas. A Wielkie Wietrzydło, najdziksze i najokrutniejsze z wszystkich, latało zataczając kręgi nad rzeką, hu! hu!, i nie spieszyło się. Tylko czekać, jak zatopi szpony w jednym z ludzików miotających się w wodzie. Może wziąć tego z czarnymi włosami? Tego z czerwonymi włosami nie widać, ale on także przecież znów się wynurzy. Hu! hu! Czeka na niego wiele ostrych szponów!

Ronja dała nurka i znów wychynęła na powierzchnię, żeby dysząc, złapać powietrze. Oczami szukała Birka. Nie było go widać, nigdzie dookoła nie było go widać. Jęknęła z rozpaczą. Gdzie on się podział? Utopił się? Zostawił ją samą z Wietrzydłami?

— Birk! — wrzasnęła w panicznym strachu. — Birk, gdzie jesteś?

Wtedy z góry nadleciało Wielkie Wietrzydło i znalazło się tuż nad nią. Ronja zamknęła oczy...

Birk, bracie mój, jak mogłeś zostawić mnie samą w obliczu tego, co najgorsze i najcięższe?

— Hu! hu! — zawyło Wietrzydło. — Zaraz tryśnie krew!

Jeszcze troszkę chciało jednak poczekać, tylko troszkę, a potem... hu! hu! Zatoczyło nowy łuk nad rzeką. I nagle Ronja usłyszała głos Birka:

— Ronja, tutaj! Prędko!

Powalona przez burzę brzoza z całą koroną pełną zielonych liści nadpłynęła z prądem i Birk uczeplił się jej z całej siły. Ledwie dostrzegła jego głowę wystającą nad wodą, ale to był on, nie zostawił jej samej, och, co za pociecha! Jeśli jednak teraz się nie pospieszy, to prąd szybko uniesie go w przeciwnym kierunku. Dała nurka i płynęła, walcząc o życie... aż wreszcie znalazła się koło

niego. Wyciągnął rękę i przyciągnął Ronję do siebie. Teraz wisieli trzymając się tej samej gałęzi, schowani najlepiej, jak tylko było można pod przykrywającym ich listowiem brzozy.

— Birk — wysapała Ronja — myślałam, żeś utonął.

— Jeszcze nie — odparł Birk. — Ale wkrótce... Słyszysz Huczącą Gardziel?

Ronja usłyszała huk wielkiej wody. To był głos Huczącej Gardzieli. Teraz prąd znosił ich na głębinę. Byli już o wiele za blisko, Ronja wiedziała o tym, widziała to. Szybkość, z jaką płynęli, zwiększyła się. Huk wody także. Teraz czuła już, że wodospad zaczyna ich nieubłaganie wciągać. Zaraz, już zaraz zostaną porwani w podróż, ostatnią podróż, z której się już nie wraca.

W tym momencie chciała być blisko Birka. Przytuliła się do niego mocno, wiedząc, że on odczuwa to samo. Lepsza Hucząca Gardziel niż Wietrzydła. Birk objął ją ramieniem. Cokolwiek się stanie, będą razem, siostra i brat, teraz nikt ich już nie rozłączy. Wietrzydła szukały ich wściekle. Gdzie się podziały ludziki? Już pora na nich, gdzie więc są? Wodą płynie tylko drzewo z koroną o gęstych liściach, gwałtownie porwane przez prąd rzeki. Czy coś schowało się pod zielonymi gałęziami, tego Wietrzydła nie widziały. Wyjąc z wściekłości, latały w kółko i szukały, i szukały. Ale Ronja i Birk byli już daleko i nie słyszeli ich wycia. Słyszeli tylko huk, który rósł i rósł, i wiedzieli, że teraz to już było blisko.

— Siostrzyczko moja — powiedział Birk.

Ronja nie słyszała tego, co mówił, ale wyczytała to z ruchu jego warg. I chociaż żadne z nich nie mogło słyszeć słów, rozmawiali ze sobą. O tym, co musiało zostać powiedziane, zanim będzie za późno. O tym, jak dobrze było kogoś kochać tak, że nie trzeba się bać nawet najgorszego. Mówili o tym, choć żadne z nich nie słyszało ani jednego słowa. Potem już nie rozmawiali. Objęli się tylko i zamknęli oczy. Nagle poczuli tak gwałtowny wstrząs, że ocknęli się. Brzoza popłynęła prosto na Bryłę Gardzieli. Uderzenie sprawiło, że drzewo zakręciło się wkoło, zmieniło kierunek i zanim prąd zdążył porwać je ponownie, popłynęło spory kawałek w kierunku brzegu.

— Ronja! Próbujemy! — krzyknął Birk.

Oderwał ją od gałęzi, do której przywarła, i po chwili znaleźli się w spienionej topieli. Teraz każde z nich musiało walczyć osobno, na śmierć i życie zmagać się z bezlitosnym nurtem, który z całą mocą chciał ich zepchnąć w Huczącą Gardziel. Widzieli już spokojną przy brzegu wodę, która była tak blisko. Blisko, ale mimo to ciągle zbyt daleko.

Hucząca Gardziel w końcu wygra, pomyślała Ronja. Już nie miała siły. Teraz pragnęła tylko poddać się, pójść pod wodę, pozwolić prądowi, by ją pociągnął i zniknął w Huczącej Gardzieli. Ale przed nią płynął Birk, odwracał głowę i patrzył na nią. Raz za razem odwracał się przywołując ją wzrokiem i wtedy podejmowała walkę od nowa. Wreszcie tak osłabła, że dłużej nie była w stanie

płynąć. Ale nagle okazało się, że jest już na spokojnej wodzie, a Birk ciągnie ją ku brzegowi. Potem on także opadł z sił.

— Musimy... ty musisz — wydyszał.

W najwyższej rozpaczy zdolali podciągnąć się na brzeg. Tu w ciepłe słońca natychmiast zasnęli, nie mając pojęcia, że są uratowani.

Dopiero, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, ruszyli do Niedźwiedziej Groty. A tam, na płycie u wejścia, siedziała Lovis i czekała.

Moje dziecko— powiedziała Lovis—jaką masz mokrą głowę. Pływałaś?

Ronja stała w milczeniu, patrząc na swoją matkę, która siedziała oparta o ścianę groty, mocna i pewna jak sama skała. Dziewczynka patrzyła na nią z miłością, pragnąc jednocześnie, żeby przyszła kiedy indziej. Kiedykolwiek, ale nie w tej chwili! Teraz chciała być sama z Birkiem. Miała uczucie, jakby dusza ciągle jeszcze trzepotała się w niej po dopiero co przeżytym niebezpieczeństwie. O, gdyby teraz mogła spokojnie porozmawiać z Birkiem, i gdyby mogli sami tylko we dwoje cieszyć się, że żyją.

Ale to była Lovis, jej kochana Lovis, której nie widziała tak długo, i przecież nie może jej matka poczuć się nieproszonym gościem. Ronja uśmiechnęła się do niej.

— Tak, pływaliśmy trochę. Birk i ja!

Birk! Teraz spostrzegła, że był już u wejścia do groty. Podbiegła, żeby go zatrzymać. Tak nie może być.

— Nie podejdziesz przywitać się z moją matką? — zapytała cicho.

Birk spojrzał na nią zimno.

— Nieproszonych gości się nie wita. Tego uczyła mnie moja matka, kiedy jeszcze byłem osekkiem. Ronję zamurowało. Gwałtowna wściekłość przemieszana z rozpaczą targnęła jej sercem sprawiając ból. Obok niej stał Birk i patrzył na nią lodowatymi oczyma, ten sam Birk, z którym dopiero co była tak blisko i chciała być aż do końca w Huczającej Gardzieli. Teraz zawiódł ją i stał się obcy, och, jakże go za to nienawidziła, nigdy jeszcze nie czuła tak dławiącej wściekłości. Zresztą, jeśli się zastanowić, to nie tylko Birka nienawidziła. Nienawidziła wszystkiego, dosłownie wszystkiego; wszystkiego, co nią szarpało i rozdzierało jej serce, tak że niewiele brakowało, żeby rozleciała się na kawałki. Birka i Lovis, i Mat-tisa, i Wietrzy deł, i Niedźwiedziej Groty, i lasu, i lata, i zimy, i tej Undis, co uczyła Birka głupot od niemowlęctwa, i tych łajdackich Wietrzydeł... nie, zaraz, o Wietrzydłach już było! Jest jeszcze wiele innych rzeczy, których nienawidziła tak, że była w stanie krzyknąć, nawet jeśli w tym właśnie momencie zapomniwała, co to było, ale chciała krzyknąć i będzie krzyknąć tak, że góra się rozleci. Nie, nie krzyczała! Tylko wysyczała do Birka, zanim zniknął w grocie:

— Szkoda, że twoja matka, jeżeli już w ogóle zaczęła cię uczyć, nie nauczyła cię przynajmniej trochę, co to dobre wychowanie.

Wróciła do Lovis i zaczęła jej tłumaczyć:

— Birk jest zmęczony — powiedziała i zaraz zamilkła.

Osunęła się na płytę obok matki i z twarzą ukrytą na kolanach Lovis zaczęła płakać. Nie tak, żeby góra się rozleciała, tylko cichym, zduszonym płaczem, którego nie było słychać.

— Ty pewnie wiesz, dlaczego przyszłam? — zapytała Lovis, a Ronja wyjąkała wśród płaczu:

— Nie po to, żeby mi dać chleb?

— Nie — odparła Lovis i pogładziła ją po włosach. — Chleb dostaniesz, kiedy wrócisz do domu.

Ronja załkała:

— Nigdy nie wrócę do domu.

— Tak, no to skończy się tym, że Mattis rzuci się do rzeki — powiedziała Lovis spokojnie.

Ronja uniosła głowę.

— Rzuci się do rzeki z mojego powodu? Przecież on nawet nie wymawia mojego imienia.

— Wtedy, kiedy nie śpi — powiedziała Lovis. — Ale co noc płacze przez sen i woła cię.

— Skąd wiesz o tym? — zapytała Ronja. — Przyjąłś go z powrotem do siebie? Już nie śpi u Łysego Pera?

— Nie — odparła Lovis. — Łysy Per już nie mógł z nim wytrzymać. I ja także ledwie wytrzymuję. Ale ktoś musi przy nim być, kiedy spotkało go najgorsze.

Umilkła na długą chwilę. Potem odezwała się.

— Wiesz, Ronja, to przykro patrzeć na kogoś, kto tak nieludzko cierpi.

Ronja czuła, że zaraz wybuchnie tym płaczem, co to mógłby górę rozwalić, ale zacisnęła zęby i zapytała cicho:

— Słuchaj, Lovis, gdybyś ty była dzieckiem i miała ojca, który się ciebie wyparł tak twardo, że nawet nie chciał wymówić twego imienia, czy ty wróciłabyś do niego? Jeśli on nie przyszedł i nie poprosił cię o to?

Lovis zastanawiała się chwilę.

— Nie, nie zrobiłabym tego. On musiałby o to poprosić, musiałby!

— A tego Mattis nie robi nigdy — powiedziała Ronja.

Znów ukryła twarz na kolanach Lovis. Szorstka wełniana spódnica Lovis nasiąkała gorzkimi łzami Ronji.

Nastał wieczór i zrobiło się ciemno. Także te najcięższe dni mają swój koniec.

— Idź i połóż się, Ronja — powiedziała Lovis. — Ja posiedzę tu i także zdrzemnę się trochę, a jak tylko się rozwidni, pójdę do domu.

— Chcę spać z głową na twoich kolanach — powiedziała Ronja. — A ty zaśpiewaj Pieśń Wilków. Przypomniała sobie, jak sama próbowała śpiewać Pieśń Wilków Birkowi, jak szybko się zniechęciła i postanowiła, że póki żyje, nigdy nie będzie już mu śpiewać, to było pewne.

Ale Lovis śpiewała i świat znów stał się takim, jakim powinien być. Ronja zanurzyła się w głęboki spokój dzieciństwa i z głową na kolanach Lovis zasnęła pod niebem pełnym gwiazd. Obudziła się dopiero, gdy nastał najjaśniejszy ranek. Lovis zniknęła. Ale nie wzięła ze sobą swego szarego szala, którym otuliła Ronję. Ronja poczuła jego ciepło, jak tylko się zbudziła, i wciągnęła w siebie jego zapach. Tak, to jest cała Lovis, pomyślała, jej szal pachnie trochę jak ten mały zajaczek, którego kiedyś miałam. Przy ogniu, oplótnięty kolana rękoma, z opuszczoną głową, siedział Birk. Miedziany hełm włosów opadał zakrywając mu twarz. Wyglądał na tak beznadziejnie opuszczonego, że serce Ronji ścisnęło się z bólu. Zapomniała o wszystkim i ciągnąc szal po ziemi, podeszła ku niemu. Z pewnym wahaniem jednak, bo może wołał, żeby go zostawić w spokoju?

— Co jest, Birk? — zapytała w końcu. Podniósł na nią oczy i uśmiechnął się.

— Siedzę tak i jest mi smutno, siostrzyczko.

— Dlaczego? — spytała Ronja.

— Smutno mi, bo ty jesteś moją siostrą całkowicie i w pełni tylko wtedy, kiedy woła cię Huczająca Gardziel, ale nie kiedy indziej. Nie wtedy, kiedy woła cię twój ojciec poprzez różnych posłańców. A ja potem zachowuję się jak gałgan i z tego powodu także mi smutno, jeśli chcesz wiedzieć.

Komu nie jest smutno, pomyślała Ronja. Czyż mnie nie jest smutno, że wobec nikogo nie mogę postępować tak, jak bym chciała?

— Ale ja nie mam żadnego prawa robić ci z tego powodu wyrzutów — ciągnął Birk. — Jest, jak być musi, to wiem.

Ronja spojrzała na niego nieśmiało.

— Chcesz być moim bratem mimo wszystko?

— Tak, tak to właśnie jest — powiedział Birk. — Ja jestem twoim bratem całkowicie i w pełni, i zawsze, i ty o tym wiesz! A teraz dowiesz się także, dlaczego chcę mieć to lato spokojne, bez jakichkolwiek posłańców z Zamku Mattisa, i dlaczego nie jestem w stanie mówić o zimie.

W istocie, niczego bardziej Ronja nie pragnęła się dowiedzieć. Wiele razy myślała o tym, że Birk wcale nie boi się nadchodzącej zimy. „Teraz jest lato” — mówił tak spokojnie, jak gdyby zima miała nigdy nie nadejść.

— My mamy tylko to lato, ty i ja — powiedział Birk. — A ze mną jest teraz tak, że nie zależy mi na życiu, jeśli mam zostać bez ciebie. A gdy przyjdzie zima, ciebie tu nie będzie. Wrócisz do Zamku Mattisa.

— A ty? — spytała Ronja. — Gdzie ty będziesz?

— Tutaj — odparł Birk. — Oczywiście, że mógłbym pójść i zebrać, żeby mi pozwolono wrócić do Twierdzy Borki, nie wyrzucono by mnie, wiem o tym. Ale co by to pomogło? Ciebie i tak bym stracił. Nie mógłbym cię w ogóle widywać. Dlatego zostanę w Niedźwiedziej Grocie.

— I zamarzniesz na śmierć — powiedziała Ronja. Birk zaśmiał się.

— Może, a może nie! Umyśliłem, że mogłabyś przyjeżdżać od czasu do czasu na nartach i przywieźć mi trochę chleba i soli, i moje futro z wilczej skóry, gdybyś je wydostała z Twierdzy Borki.

Ronja potrząsnęła przecząco głową.

— Jeśli zima będzie taka jak ostatnio, niewiele będę jeździć na nartach. Wtedy w ogóle nie przedostanę się przez Wilczą Pułapkę. Jeśli więc będzie tak jak ostatniej zimy, a ty będziesz mieszkał w Niedźwiedziej Grocie, to koniec z tobą, Birku, synu Borki!

— Wtedy może sobie być koniec — powiedział Birk. — Ale teraz jest lato, siostrzyczko!

Ronja spojrzała na niego z powagą.

— Lato czy zima... kto powiedział, że ja wrócę do Zamku Mattisa?

— Ja to mówię — odparł Birk. — Nawet gdybym miał cię tam sam zanieść. Zamarznąć na śmierć zamierzam sam, jeśli tak musi być. Ale teraz jest lato, powiedziałem!

Lato nie było wieczne, wiedział o tym Birk i wiedziała o tym Ronja. Ale teraz zaczęli żyć tak, jakby właśnie miało trwać w nieskończoność, i ze wszystkich sił starali się nie dopuszczać do siebie dręczących myśli o zimie. Każdą chwilę, od świtu aż do zmroku i nocy, chcieli uchwycić i wysssać z niej całą słodycz. Dni nadchodziły i mijały, a oni żyli w jakimś odurzeniu latem, nie pozwalając sobie na niepokój. Jeszcze mieli trochę czasu.

— I tego nikt nam nie odbierze — powiedział Birk. Ronja zgadzała się z nim.

— Ja wsysam w siebie lato tak jak dzika pszczoła wsysa miód — odezwała się. — Zbieram wszystko w jedną dużą bryłę lata, żeby żyć nią, kiedy... kiedy nie będzie już lata, wiesz, co jest w tej bryle?

I odpowiedziała Birkowi:

— To jest taki wielki przekładaniec, są w nim wschody słońca i czarne jagody na gałązkach, i piegi na twoich ramionach, i blask księżyca nad rzeką wieczorami, i niebo pełne gwiazd, i las, i upał południa, kiedy słońce złoci sosny, i przelotne deszcze wieczorne, i wszystko inne, i wiewiórki, i lisy, i zajęce, i łosie, i wszystkie dzikie konie, które poznaliśmy, i to jak pływamy, i jak jeździmy konno po lesie, tak, to jest cały ogromny przekładaniec z tego wszystkiego, co jest latem!

— Wspaniały ten twój przekładaniec lata — powiedział Birk. — Rób go dalej.

Od rana do wieczora przebywali w swoim lesie. Łowili ryby i polowali, ale tylko tyle, ile to było konieczne, poza tym żyli w pokoju ze wszystkimi istotami dookoła. Chodzili na długie wyprawy, żeby podpatrywać zwierzęta i ptaki, wspinali się na skały i drzewa, jeździli konno i pływali w małych leśnych jeziorach, gdzie nie przeszkadzały im Wietrzydła — a dni lata mijały. Powietrze stało się czystsze i chłodniejsze. Nastąpiła kilka zimnych nocy i nagle na szczycie jednej z brzoź w dole nad rzeką zażółciły się liście. Zobaczyli je, kiedy wczesnym rankiem siedzieli przy swoim ogniu, ale żadne z nich nie wspomniało o tym.

Nadchodziły nowe dni. Powietrze stawało się coraz bardziej ostre i przejrzyste. Patrząc ponad lasami, można było sięgnąć wzrokiem na odległość mili, ale przy tym widziało się też, jak dużo żółtego i czerwonego jest teraz wśród zieleni i że wkrótce cały brzeg rzeki zapłonie złotem i purpurą. Siedząc przy ogniu patrząc na drzewa, dostrzegali całe piękno tych barw, ale nic nie mówili.

Mgła nad rzeką stawała się teraz gęściejsza. Pewnego wieczoru, kiedy mieli iść do źródła po wodę, uniosła się nad las. Nagle znaleźli się w samym środku białej, gęstej mgły. Birk odstawił wiadro i mocno chwycił Ronję za ramię.

— Co się stało? — spytała Ronja. — Boisz się mgły? Sądysz, że nie trafimy do domu?

Birk nie powiedział, czego się bał, trwał tylko w oczekiwaniu. I wtedy z daleka, z głębi lasu nadpłynęła pełna żalu pieśń, którą już znał.

Ronja także stała cicho i słuchała.

— To Mgłowce śpiewają! Wreszcie je usłyszałam!

— Nie słyszałaś ich nigdy przedtem? — spytał Birk.

— Nie, nigdy — odparła Ronja. — One chcą zwabić nas pod ziemię, wiesz o tym?

— Wiem — odpowiedział Birk. — Poszłabyś tam? Ronja roześmiała się.

— Jeszcze nie zwariowałam całkiem. Ale Łysy Per mówi...

Umilkła.

— Co mówi Łysy Per? — spytał Birk.

— Ech, to nieważne — powiedziała Ronja.

Ale kiedy stali, czekając, aż mgła trochę zrzednie i będą mogli pójść do domu, myślała o tym, co mówił Łysy Per.

„Kiedy Mgłowce wychodzą w lesie na powierzchnię i śpiewają, to wiadomo, że już jesień. A potem wkrótce zima. Ho! ho! Tak, tak!”

Łysy per miał rację. kiedy mgłowce pojawiały się w lesie ze swymi pełnymi skargi pieśniami, to znaczyło, że była już jesień. Nawet jeśli Birk i Ronja nie chcieli przyjąć tego do wiadomości. Powoli lato umarło, zaczęły się jesienne deszcze, tak dokuczliwe, że nawet Ronja była od tego

niemal chora, chociaż zwykle lubiła deszcz. Całe dni przesiadywali w grocie i słuchali nieustannego plaskania wody o płytę na zewnątrz. W taką pogodę nie można było w ogóle utrzymać ognia, marzli więc tak, że w końcu zdecydowali się iść do lasu, żeby pobiegać dla rozgrzewki. Było im potem nieco cieplej, ale za to straszliwie przemokli. A więc w domu w grocie ściągnęli z siebie mokre ubrania i otuleni swymi futrzanymi kołdrami siedzieli wypatrując najmniejszego przejaśnienia w chmurach. Ale przez otwór groty widzieli jedynie ścianę deszczu i nic więcej.

— Deszczowe mamy lato — powiedział Birk. — Chociaż jeszcze będzie pewnie lepiej.

W końcu przestało padać. Zamiast tego nadciągnął wichur, aż huczało nad lasem. Wyrwał z korzeniami sosny i świerki i zdierał liście z brzoź. Cała złocistość zniknęła, w dole na brzegu rzeki widać było nagie drzewa żałośnie chwiejące się w ostrych podmuchach wiatru, który próbował wyrwać je z ziemi.

— Wietrzne mamy lato — powiedział Birk. — Chociaż jeszcze będzie pewnie lepiej.

Ale nie było lepiej. Było gorzej. Nadeszły przymrozki. Każdego dnia stawało się zimniej. I teraz już nie można było nie dopuszczać do siebie myśli o zimie, przynajmniej Ronja tego nie umiała. Nocami męczyły ją senne koszmary. Pewnej nocy widziała we śnie Birka leżącego w śniegu, miał białą twarz i szron na włosach. Obudziła się z krzykiem. Był już ranek. Birk rozpałał ogień przed grotą. Rzuciła się w jego stronę i poczuła ulgę, kiedy ujrzała, że ma nadal rude włosy, bez szronu. Ale lasy po drugiej stronie rzeki po raz pierwszy były białe od szadzi.

— Mroźne mamy lato — powiedział Birk z kpina. Ronja popatrzyła na niego niechętnie. Jak mógł być tak spokojny? Jak mógł być tak lekkomyślny? Czy niczego nie rozumiał? Czyżby zupełnie nie dbał o swoje biedne życie? Nie trzeba się bać w Lesie Mat-tisa, o tym wiedziała, ale teraz zaczęła się bać, tak strasznie się bać o to, co się z nimi stanie, kiedy przyjdzie zima.

— Moja siostra jest niezadowolona — odezwał się Birk. — Nadeszła pora, w której odejdziesz stąd, żeby ogrzać się przy innym ogniu, nie moim.

Ronja zawróciła do groty i znów położyła się na swoim posłaniu. Inny ogień — przecież nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby pójść. On miał na myśli ogień w domu, w kamiennej sali. I bez wątpienia można było tęsknić do niego przy tym przeklętym mrozie. O, jak tęskniła do tego, żeby wreszcie móc się ogrzać! Ale do Zamku Mattisa nie mogła pójść nie będąc dzieckiem Mattisa. Tamten ogień w domu nigdy jej już nie ogrzeje, o tym wiedziała. Więc jest, jak jest. I stanie się, co się ma stać. Cóż pomogą rozmyślenia, kiedy nie istnieje żadna droga wyjścia!

Zobaczyła, że wiadro jest puste. Musi pójść do źródła po wodę.

— Zaraz przyjdę, tylko rozpalę ogień! — krzyknął za nią Birk. Ciężko było taszczyć do domu wodę, musieli robić to we dwójkę.

Ronja szła wąską ścieżką wzdłuż górskiego stoku, gdzie należało być ostrożnym i uważać, żeby nie spaść. Potem pobiegła mały kawałek przez las między brzoźami i świerkami, aż na łąkę, gdzie było źródło. Nagle stanęła jak wryta. Na kamieniu przy źródle ktoś siedział. Był to Mattis, on i nikt inny! Poznała tę czarną kędzierzawą głowę i serce w niej zadygotało. Zaczęła płakać. Stała wśród brzoź i cicho płakała. Wtedy zobaczyła, że Mattis także płacze. Tak jak wtedy, w jej śnie, siedział samotnie w lesie pogrążony w smutku i płakał. Ciągle jeszcze jej nie zauważył, ale w tym momencie spojrzał i zobaczył ją. Zasłonił oczy uniesionym ramieniem, żeby ukryć łzy, a w tym ruchu była taka bezradność i rozpacz, że Ronja nie była w stanie na to patrzeć. Z krzykiem podbiegła do niego i rzuciła się w jego objęcia.

— Moje dziecko — wyszeptał Mattis. — Moje dziecko!

Potem zawołał na całe gardło:

— Mam znowu swoje dziecko!

Ronja płakała wtulona w jego brodę i spytała szlochając:

— Czy teraz jestem znów twoim dzieckiem, Mattis? Naprawdę jestem twoim dzieckiem?

A Mattis płacząc odpowiedział:

— Tak, zawsze byłeś, Ronju! Moim dzieckiem, za którym płakałem dzień i noc. Boże mój! Co ja wycierpiałem!

Odsunął ją troszkę od siebie, żeby móc widzieć jej twarz, i spytał pokornie:

— Czy to prawda, co mówi Lovis, że przyjdiesz do domu, jeśli cię o to poproszę?

Ronja milczała. I w tym samym ułamku sekundy zobaczyła Birka. Stał między brzoźami, z pobladałą twarzą i oczami pełnymi bólu. Nie mogła dopuścić, żeby był tak nieszczęśliwy, birku, bracie mój, o czym

Ty myślisz, kiedy tak patrzysz na mnie?

— Czy to prawda, Ronju? Pójdiesz teraz ze mną do domu? — spytał znów Mattis.

Ronja milczała i patrzyła na Birka. birku, bracie Mój, czy pamiętasz huczącą gardziel?

— Chodź, Ronju, idziemy — powiedział Mattis.

I Birk, który stał nie opodal, zrozumiał, że oto nadeszła pora, żeby się pożegnać i zwrócić Ronję Mat-tisowi. Tak musiało się stać, przecież sam tego sobie życzył. I spodziewał się tego od dawna. Dlaczego więc sprawiało to taki ból? ronja, ty nie rozumiesz, jak

To boli, ale idź! idź szybko! idź już!

— Jeszcze cię nie prosiłem, żebyś wróciła — powiedział Mattis. — Robię to teraz. Proszę cię z całego serca, wróć do mnie, do domu, Ronju!

Nigdy w życiu nie było mi ciężej, pomyślała Ronja. Musi powiedzieć teraz coś, co zmiażdży Mattisa, wiedziała o tym, ale musi to powiedzieć. Że ona chce zostać z Birkiem. Że nie może go

zostawić samego, żeby zamarznął na śmierć w zimowym lesie, Birku, bracie mój, my jesteśmy złączeni na śmierć i życie, czyżbyś tego nie wiedział?

Dopiero teraz Mattis ujrzał Birka i westchnął ciężko. Potem zawołał:

— Birku, synu Borki, chodź tu! Chcę zamienić z tobą kilka słów!

Birk niechętnie zbliżył się, ale tylko na tyle, na ile to było konieczne. Spojrzał hardo na Mattisa i zapytał:

— Czego chcesz?

— Tak najchętniej to złoć ci skórę — powiedział Mattis. — Ale nie zrobię tego. Proszę cię natomiast z całego serca: chodź z nami do Zamku Mattisa! Nie znaczy to, że cię lubię, w żadnym razie tak nie myśl. Ale zrozumiałem, że córka moja cię lubi, i może ja zdołam się także tego nauczyć. Ostatnio miałem dużo czasu, żeby przemyśleć to i owo.

Kiedy do świadomości Ronji dotarło to, co powiedział, jej serce zaświergotało. Czuła, jak gdyby coś w niej tajało, ta obrzydliwa bryła lodu, którą nosiła w sobie ostatnimi czasy. Jak jej ojciec zdołał zaledwie kilkoma słowami dokonać tego, że rozpuściła się ona niczym w wiosennym strumieniu? Jak mogło nagle stać się coś tak cudownego, że już nie musi wybierać między Birkiem a Mattisem? Tymi dwoma, których kochała. Teraz nie musi tracić żadnego z nich! Stał się cud, właśnie tutaj i właśnie teraz! Przepełniona szczęściem, miłością i wdzięcznością spojrzała na Mattisa. I na Birka! Wtedy zauważyła, że wcale nie był zadowolony. Na jego twarzy widać było zmieszanie i nieufność, więc zaczęła się bać. Birk bywał tak strasznie uparty i krnąbrny. Co będzie, jeśli on nie zechce zrozumieć, że to dla jego własnego dobra, i jeśli nie zechce iść?

— Mattis — powiedziała — ja muszę porozmawiać z Birkiem na osobności.

— A to dlaczego? — zapytał Mattis. — No dobrze, ja tymczasem pójdę i rzucę okiem na moją starą Niedźwiedzią Grotę. Ale uwiń się szybko, bo zaraz idziemy do domu!

— Zaraz idziemy do domu — powiedział Birk szyderczo, kiedy Mattis zniknął. — Do jakiego domu? On sądzi, że ja będę chłopakiem do bicia dla zbójców Mattisa? Nigdy w życiu!

— Chłopakiem do bicia! Jaki ty jesteś głupi! — odparła Ronja. Była wściekła. — A więc wolisz zamarznąć na śmierć w Niedźwiedziej Grocie?

Birk milczał chwilę, potem odezwał się:

— Tak, tak myślę.

Wtedy Ronja wpadła w rozpacz.

— Życie to taka rzecz, na którą trzeba uważać i chronić ją, rozumiesz to? A jeśli zostaniesz w Niedźwiedziej Grocie przez zimę, to zginiesz! I ja też!

— Co ty mówisz? — zapytał Birk. — Dlaczego ty masz zginąć?

Wtedy Ronja krzyknęła z rozpaczą i wściekłością:

— Dlatego, że ja zostanę z tobą, ty głupcze! Czy tego chcesz czy nie!

Birk stał w milczeniu i długo patrzył na Ronję.

— Czy ty wiesz, coś ty powiedziała, Ronju?

— Wiem! — krzyknęła Ronja. — Że nic nas nie może rozłączyć. I ty także o tym wiesz, durniu jeden!

Wtedy Birk uśmiechnął się swoim najbardziej promiennym uśmiechem, który sprawił, że jego twarz stała się piękna.

— Nie chcę, żebyś zginęła, siostrzyczko. To jest ostatnie, czego bym pragnął. Pójdę tam, gdzie ty pójdziesz. Nawet między zbójców Mattisa, choćbym miał się tym w końcu udławić.

Zgasili ogień i wszystko spakowali. Pozostawiali Niedźwiedzią Groteę, a to nie przychodziło im łatwo. Ale Ronja szepnęła do Birka, tak żeby Mattis tego nie usłyszał i nie zaczął się niepokoić:

— Przeniesiemy się tu na wiosnę.

— Tak, bo przecież będziemy żyć — powiedział Birk i wyglądało na to, że jest zadowolony.

Mattis był także zadowolony. Szedł przez las pierwszy i śpiewał tak, że wszystkie dzikie konie, które znalazły się na ich drodze, uciekały przestraszone między drzewa. Wszystkie, tylko nie Łobuz i Dzikus. Obydwa stały spokojnie i jakby czekały, że zaraz zaczną się wyścigi.

— Nie dziś — powiedziała Ronja i pogładziła pieszczotliwie swego konia. — Ale może już jutro? Może nawet codziennie, jeśli nie spadnie zbyt wiele śniegu.

Birk także poklepał Dzikusa.

— Tak, przyjdziemy znów! Trzymajcie się zdrowo!

Konie miały teraz gęściejszą sierść. Wkrótce stanie się ona kędzierzawa, żeby lepiej chronić przed mrozem. Przecież Łobuz i Dzikus także doczekają wiosny.

Rozśpiewany Mattis był już daleko w przodzie, więc przyspieszyli kroku, żeby go dogonić. Po długim marszu zbliżyli się do Wilczej Pułapki. Birk zatrzymał się.

— Mattis — powiedział — ja chcę najpierw pójść do domu, do Twierdzy Borki, żeby zobaczyć, co się dzieje z Undis i z Borką. Ale jestem ci bardzo wdzięczny za to, że mogę przyjść do twego domu, żeby zobaczyć się z Ronją, kiedy tylko zapragnę.

— Tak, tak — powiedział Mattis. — To nie będzie łatwe dla mnie, ale przyjdź!

Potem roześmiał się.

— Wiecie, co mówi Łysy Per? Ten głupiec myśli, że namiestnik i jego żołnierze w końcu zwyciężą, jeśli nie będziemy ostrożni. I dlatego uważa, że naj-mądrzej byłoby, gdyby zbójcy Mattisa i zbójcy Borki połączyli się. Tak, on ma głupie pomysły, ten stary wariat!

Spojrzał na Birka z politowaniem.

— Szkoda, że twój ojciec to taki łajdak, w przeciwnym razie można by o tym pomyśleć.

— Łajdakiem to ty sam jesteś — powiedział Birk przyjaźnie, a Mattis uśmiechnął się z uznaniem. Birk podał Ronji rękę. Stali poniżej Wilczej Pułapki, gdzie przywykli się żegnać.

— Zobaczmy się znów, zbójnicka córko! Każdego dnia, zresztą ty o tym wiesz, siostrzyczko! Ronja skinęła głową.

— Każdego dnia, Birku, synu Borki!

Kiedy Mattis z Ronją weszli do kamiennej sali, zapadła cisza jak makiem siał. Nikt nie śmiał krzyknąć z radości, to było dawno temu, kiedy ich herszt pozwalał na głośne wyrażanie radości. Jedynie Łysy Per wykonał jakiś nienaturalny w jego wieku radosny podskok i przy tej okazji wydał z siebie lekkie przyknięcie, co jednak skwitował spokojnie:

— Powinien być jakiś salut, kiedy ludzie powracają do domu — powiedział.

Na to Mattis wybuchnął śmiechem tak głośnym i długo nie milkącym, że zbójcom z radości łzy stanęły w oczach. Po raz pierwszy od tamtego nieszczęsnego ranka przy Diabelskiej Czeluści usłyszeli śmiech Mattisa i spieszenie mu zawtórowali. Śmiali się tak, że ich skręcało, wszyscy. Ronja też. Wtedy weszła Lovis prosto z owczarni i zrobiło się cicho. Nie można się śmiać, kiedy się widzi matkę witającą utracone dziecko, które właśnie powróciło do domu. Prosto-dusznym zbójcom znów zwilgotniały oczy.

— Lovis, czy możesz przygotować dla mnie wielką balię? — zapytała Ronja.

Lovis skinęła głową.

— Już to zrobiłam i grzeję wodę.

— Tak przypuszczałam — odparła Ronja. — Ty jesteś matką, co to myśli o wszystkim. A brudniejszego dziecka nigdy nie widziałaś.

— Nie, nigdy — przyznała Lovis.

Ronja leżała w łóżku, syta, czysta i rozgrzana. Zjadła chleba wypieku Lovis, wypila dzbanek mleka, a potem Lovis szorowała ją w balii tak, że aż skóra płonęła. Teraz leżała w swoim starym łóżku i patrzyła przez uchyloną zasłonę, jak ogień powoli gaśnie na palenisku. Wszystko było jak dawniej. Lovis zaśpiewała dla niej i dla Mattisa Pieśń Wilków. Nadeszła pora snu. Ronja była senna, ale jej myśli ciągle gdzieś wędrowały.

W Niedźwiedziej Grocie jest teraz na pewno zimno, pomyślała. Tymczasem ja leżę sobie tutaj i jest mi ciepło aż po czubki palców u nóg. Czyż to nie dziwne, że tak niewiele potrzeba do szczęścia? Potem pomyślała o Birku i zastanawiała się, jak mu tam jest w Twierdzy Borki. Powinno mu także być ciepło po czubki palców, pomyślała i zamknęła oczy. Zapytam go o to jutro.

W kamiennej sali panowała cisza. Nagle rozległ się przestraszony krzyk Mattisa.

— Ronja!

— Co? — wymamrotała prawie już zasypiając.

— Ja tylko chciałem usłyszeć, że ty naprawdę tu jesteś — odparł Mattis.

— Jasne, że jestem — wymruczała Ronja. A potem zasnęła.

Las, który ronja kochała, zarówno jesienny, jak i zimowy, znów stał się jej przyjacielem, takim jak zawsze. Przez ostatni okres pobytu w Niedźwiedziej Grocie wydał jej się groźny i nieprzyjazny. Teraz razem z Birkiem objeżdżała konno mroźny las, a jej serce przepęniała niczym nie zmacona radość, którą musiała mu wyjaśnić:

— Jeśli się tylko wie, że jak człowiek przyjdzie do domu, to się ogrzeje aż po czubki palców, to można przebywać w lesie bez względu na pogodę. Ale nie wtedy, jeśli się ma potem leżeć i dygotać w zimnej grocie.

A Birk, który zamierzał przedtem przezimować w Niedźwiedziej Grocie, był teraz bardzo zadowolony, że może grzać się przy ogniu w Twierdzy Borki.

Tam też musiał mieszkać, rozumiał to i rozumiała to również Ronja. W przeciwnym razie w zamku Ha Górze Mattisa mogła zapanować jeszcze większa Wrogość.

— A wiesz, Undis i Borka byli niesłychanie zadowoleni, kiedy przyszedłem — powiedział Birk. — Nigdy bym nie uwierzył, że ja ich tak bardzo obchodzę.

— Tak, możesz u nich mieszkać — orzekła Ronja wspaniałomyślnie — Aż do wiosny!

Mattisowi także dogadzało, że Birk pozostał u swoich.

— Jasne, jasne — powiedział do Lovis. — Ten mały gałgan może tu przychodzić i odchodzić, kiedy chce. Zaproponowałem mu gościnę u nas, ale to ulga nie musieć od rana do wieczora patrzeć na ten jego czerwony łeb.

Życie w Zamku Mattisa płynęło dalej. Teraz było tu znów wesoło. Zbójcy śpiewali i tańczyli, a Mattis zaśmiewał się swym hałaśliwym śmiechem, zupełnie tak jak przedtem. Ale mimo to w życiu zbójców coś się zmieniło. Walka z żołnierzami namiestnika zaostrzyła się. Mattis wiedział, że teraz rzeczywiście deptają mu po piętach.

I objaśnił Ronję, dlaczego tak się działo.

— Tylko dlatego, że pewnej ciemnej nocy zabraliśmy Peljega z nędznego lochu, gdzie siedział. A za jednym zamachem dwóch szubrawców Borki.

— Mały Klippen sądził, że Pelje zostanie powieszony.

— Z moich zbójców żaden nie zostanie powieszony — odpowiedział Mattis. — A teraz nauczyłem tego szubrawego namiestnika, że ze zbójcami nie można robić tego, co się komu podoba.

Ale Łysy Per w zamyśleniu potrząsnął swoją łysą głową:

— Dlatego teraz mamy na karku żołnierzy, którzy roją się niczym gzy po całym lesie. A namiestnik i tak w końcu wygra, Mattis. Ile razy mam ci to powtarzać?

I Łysy Per zaczął znów gderać, że Mattis i Borka powinni się pogodzić, zanim będzie za późno. Jedna silna banda zbójcka być może potrafiłaby dać sobie radę z żołnierzami, ale nie dwie, które głównie tracą czas na to, żeby czatować na siebie wzajemnie i bić się o łupy niczym wilki o ochłapy mięsa. Tak mówił Łysy Per.

Czegoś takiego Mattis nie lubił słuchać. Wystarczyło mu, że sam się niepokoił od czasu do czasu.

— Ty, stary, gadasz, jakby wszystko było dla ciebie jasne — odparł. — Powiedzmy nawet, że w jakimś sensie masz rację. Ale kto według ciebie powinien wtedy być hersztem tej zbójckiej bandy? — Zaśmiał się szyderczo. — Borka, co? Ale to ja, Mattis, jestem najpotężniejszym i najsilniejszym hersztem zbójców wszystkich gór i lasów i zamierzam nim pozostać! Nie jest jednak takie pewne, czy mały Borka to pojmuje.

— A więc mu to pokaż — odpowiedział Łysy Per. — Wielki byk z ciebie, na pewno wygrasz z nim pojedynek.

To właśnie przebiegły Łysy Per wymyślił w czasie samotnych godzin. Pojedynek, który miał pokazać Borce, gdzie jest jego miejsce, i nauczyć go moreosu. Potem byłaby w Lesie Mattisa jedna zbójcka banda, wszyscy pomagaliby sobie wyprowadzać w pole żołnierzy i tak zatruwać im życie, żeby mieli wyżej uszu tego polowania na zbójców. Czyż to nie byłoby chytre?

— Moim zdaniem najbardziej chytre byłoby przestać rabować — powiedziała Ronja. — Zawsze tak myślałam.

Łysy Per uśmiechnął się do niej serdecznie swoim bezzębnym uśmiechem.

— W tym to masz całkowitą rację, Ronju! Ty jesteś mądra. Ale ja jestem za stary i nie potrafię czegoś takiego wbić Mattisowi do głowy.

Mattis spojrzał na niego zdumiony.

— I to mówisz ty! Ty, który byłeś tak zuchwałym zbójcą i za czasów mojego ojca, i przy mnie. Przestać rabować! A z czego byśmy potem żyli? Pomyślałeś o tym?

— Nigdy nie zauważyłeś — spytał Łysy Per — że istnieją ludzie, którzy nie rabują, a mimo to żyją?

— No tak, ale jak — powiedział Mattis ponuro.

— Ech, istnieje wiele sposobów — wyjaśnił Łysy Per. — Jednego z nich mógłbym cię nauczyć, gdybym nie wiedział, że jesteś i pozostaniesz zbójcą, póki cię nie powieszą. Ale Ronji w swoim czasie powierzę pewną ładną tajemnicę.

— Co za tajemnicę? — zapytał Mattis.

— Przecież przed chwilą powiedziałem — ciągnął Łysy Per. — Powierzę ją Ronji, żeby nie została bezradna, kiedy ciebie powieszą.

— Powieszą, powieszą i powieszą — warknął Mattis z wściekłością. — Przestań krakać, stary kruku!

Dni upływały, a Mattis nie słuchał rad Łysego Pera. Pewnego jednak ranka, jeszcze zanim zbójcy Mattisa zdążyli osiodłać konie, przez Wilczą Pułapkę przy-galopował Borka i zażądał rozmowy z Mattisem. Przynosił złe wieści. A ponieważ jego odwieczny wróg niedawno był tak wspaniałomyślny, że uratował dwóch ludzi Borki z lochów namiestnika, teraz on chciał odpłacić dobrem i ostrzec Mattisa. Żaden zbójca, któremu życie miłe, niech tego dnia nie wyściubia nosa do lasu, mówił Borka. Bo znów się zaczęło. Właśnie przybywał ze Zbójeckiego Szlaku, gdzie żołnierze urządzili zasadzkę. Dwóch z jego ludzi zdążyli złapać, a trzeciego, który próbował uciekać, ciężko zranili strzałą.

— Te dranie zazdroszczą biednemu zbójcy jego kawałka chleba.

Mattis zmarszczył brwi.

— Nie, teraz my musimy im dać nauczkę. Tak dalej być nie może!

Dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, że powiedział „my”, i westchnął ciężko. Przez chwilę stał milczący i od stóp do głów mierzył Borkę wzrokiem.

— Może powinniśmy... połączyć się — powiedział w końcu, chociaż wzdrygnął się na dźwięk własnych słów. Jego ojciec i dziad, i pradziad chyba obróciliby się w grobie, gdyby to usłyszeli!

Ale Borka wyglądał na uradowanego.

— Po raz pierwszy powiedziałeś coś mądrego, Mat-tis! Jedna silna banda zbójecka; tak, to byłoby dobre! Pod wodzą jednego silnego herszta! Znam takiego, co by się nadawał — powiedział i wyprostował się wydymając pierś. — Silny i stanowczy jak ja.

Na to Mattis zatrzęsł się od śmiechu.

— Chodź, to ja ci pokażę, kto się nadaje na herszta!

A więc Łysy Per miał wreszcie to, czego chciał. Będzie pojedynek. Mattis i Borka w końcu także uznali, że to dobre wyjście. Wobec tak ważnej nowiny w obu bandach zapanowało wielkie podniecenie, a w dzień walki zbójcy Mattis a robili taki harmider w kamiennej sali, że Lovis musiała ich wyrzucić.

— Wynoście się stąd — krzyknęła. — Już nie mogę słuchać tego hałasu!

Wystarczyło posłuchać samego Mattisa. Tam i z powrotem chodził po kamiennej sali zgrzytając zębami i chełpiąc się, jak to on rozgniecie Borkę na placek, tak że potem Undis go nie pozna.

Łysy Per prychnął.

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz, tak mówiła zawsze moja matka.

Ronja spojrzała z niechęcią na swego żądnego walki ojca.

— Ja nie chcę patrzeć, jak ty go rozgniatasz!

— Nawet ci nie wolno — odparł Mattis, Zgodnie z porządkiem i obyczajem kobiety i dzieci musiały trzymać się z daleka od miejsca walki. Uważano bowiem, że przyglądanie się „walkom drapieżców” nie jest dla nich odpowiednie. Brutalne chwyt w zapasach tego rodzaju w pełni usprawiedliwiały tę nazwę.

— Ale ty w każdym razie musisz tam być — zwrócił się Mattis do Łysego Pera. — Słabujesz wprawdzie, ale widok walki na pewno cię rozrusza. Chodź, staruszk, wezmę cię na swego konia. Już czas!

Był chłodny, słoneczny poranek. Ziemię ścinał mróz, a na leśnej polanie poniżej Wilczej Pułapki uzbrojeni w oszczepy stali zbójcy Mattisa i zbójcy Borki tworząc pierścień ochronny okalający obu hersztów. Zaraz zostanie pokazane i udowodnione, kto najlepiej nadaje się na herszta.

W pobliżu na skalnym wzniesieniu siedział Łysy Per otulony futrzaną kołdrą. Wyglądał jak stara nastroszona wrona, ale oczy lśniły mu oczekiwaniem i z zapalem śledził to, co się działo poniżej.

Walczący rozebrali się do koszul i zaczęli bosy maszerować dookoła po zamarzniętej ziemi. Obmacywali i napinali muskuły, dla rozgrzewki wyrzucali przed siebie nogi.

— Jakbyś miał trochę siny nos, Borka — odezwał się Mattis. — Ale zaraz będzie ci gorąco, przyrzekam ci.

— I ja przyrzekam ci wyświadczyć tę samą przysługę — zapewnił Borka.

W czasie „walki drapieżców” wszystkie podstępny i chwyt były dozwolone. Można było łamać przeciwnikowi kości i wykręcać kończyny, i szarpać go, i drapać, i gryźć, wolno było także kopać bosymi stopami, byle nie w krocze. To bowiem uważano za czyn haniebny i ten, kto to uczynił, przegrywał walkę.

Ale oto Fjosok dał znak, na który czekali. Nadszedł czas rozpoczęcia walki. Z wojennym okrzykiem Mattis i Borka natarli na siebie.

— Bardzo mi przykro — powiedział Mattis i swoimi niedźwiedzimi łapami ścisnął ciało Borki — że ty jesteś taki łajdak — wzmocnił uchwyt, ale tylko na tyle, żeby Borka zaczął się trochę pocić — w przeciwnym razie uczyniłbym cię moim zastępcą już dawno — ścisnął mocniej ze straszliwą siłą — i nie musiał wyciskać ci teraz łoj z nerek — teraz zacisnął kleszczowy uścisk tak, że Borka zaczął charczeć.

Ale kiedy zdołał złapać oddech, jego twardy kułak z całą siłą uderzył Mattisa w nos tak, że chlusnęła krew.

— Bardzo mi przykro — powiedział Borka — że muszę uszkodzić ci głowę — walnął znowu — bo byłeś przedtem i tak całkiem szpetny — złapał Mattisa za ucho i szarpnął. — Masz dwoje uszu,

potrzebne ci więcej niż jedno? — zapytał i szarpnął jeszcze raz, tak że ucho jak gdyby oblużowało się nieco.

Borka stracił jednak dech w tym samym momencie, w którym Mattis rzucił go na ziemię i swoją twardą jak żelazo pięść wcisnął w jego twarz, tak że wydawało się, iż robi się odrobinę bardziej płaska.

— Jest to dla mnie niesłychanie bolesne — powiedział Mattis — że muszę cię tak wymiętosić. Undis będzie płakać za każdym razem, gdy cię ujrzy w pełnym świetle dnia.

Przycisnął Borkę, ale tamtemu udało się chwycić zębami kawałek dłoni Mattisa i ugryźć. Mattis zawył, próbował uwolnić rękę, ale Borka trzymał mocno, póki mu starczyło oddechu. Wreszcie wypluł Mattisowi w twarz dwa małe kawałki skóry.

— Masz, weź do domu dla kota — powiedział, ale dyszał ciężko, ponieważ Mattis znów przygniatał go całym swym ciężarem. I okazało się wkrótce, że jeśli nawet Borka ma mocne zęby, to poza tym nie może mierzyć się z Mattisem pod względem siły.

Po zakończonej walce Mattis stanął na środku polany — już jako herszt — z zakrwawioną twarzą i w tym czymś,* co pozostało z koszuli, a teraz w postaci wąskich pasków powiewało wokół ciała. Mimo to herszt w każdym calu, to musieli przyznać wszyscy, nawet jeśli niektórym, a zwłaszcza Borce, przychodziło to z trudem.

Borka był bardzo poturbowany, niewiele brakowało, żeby się rozplakał, i Mattis zapragnął powiedzieć mu kilka słów pociechy.

— Słuchaj, bracie, tak, po tym wszystkim jesteśmy braćmi — odezwał się. — Tytuł i godność herszta zatrzymasz do końca życia i swoimi ludźmi możesz rozporządzać sam. Ale nie zapominaj, że Mattis jest najpotężniejszym hersztem wszystkich gór i lasów i od teraz moje słowo znaczy więcej niż twoje, to wiesz!

Borka milcząco skinął głową. W tym akurat momencie nie był szczególnie rozmowny.

Tego samego wieczora w kamiennej sali Mattis wydał ucztę dla wszystkich zbójców z Zamku Mattisa, zarówno swoich własnych, jak i Borki, wspaniałe przyjęcie z obfitym jedzeniem i dużą ilością piwa. I w miarę, jak upływał wieczór, Mattis i Borka stawali się coraz bardziej braćmi. Siedzieli obok siebie przy długim stole i raz śmiejąc się, raz płacząc, wspominali swoje dzieciństwo, kiedy to wspólnie polowali na szczury w starym chlewie. Pamiętali również wiele innych zabawnych pomysłów, które im wtedy przychodziły do głowy, i o nich także teraz opowiadali. Wszyscy zbójcy słuchali z upodobaniem, wybuchając co chwila gromkim śmiechem, także Birk i Ronja, siedzący w końcu stołu, bawili się świetnie, słuchając tych opowieści. Ich śmiech wysoki i czysty wzbijał się nad ochryplymi głosami zbójców, a serce Mattisa i Borki napełniał radością.

W Zamku Mattisa przez tak długi, ciężki okres nie było słycać ani śmiechu Ronji, ani Birka, że Mattis i Borka jeszcze nie całkiem przyzwyczaili się do swego szczęścia, do tego, że mają ich w domu. Dlatego śmiech obojga dzieci był dla ich uszu niczym najmiłsza muzyka i pobudzał ich do jeszcze większego bla-gowania o swoich wyczynach w dzieciństwie.

Nagle Mattis odezwał się:

— Nie smuć się, Borka, że źle ci dziś poszło. Mogą nadejść lepsze czasy dla rodu Borki. Kiedy ciebie i mnie już nie będzie, pewnie twój syn zostanie hersztem. Bo moja córka nie chce, a kiedy ona mówi „nie”, to jest „nie”, ma to po swojej matce.

Na te słowa twarz Borki rozjaśniła się szczerym zadowoleniem, ale Ronja zawołała poprzez stół:

— I ty sądzisz, że Birk chce być zbójcekim hersztem?

— Chce — odpowiedział Borka z całkowitą pewnością.

Wtedy Birk podniósł się ze swojego miejsca i stanąwszy tak, żeby wszyscy mogli go widzieć, uniósł prawą rękę i złożył przysięgę, że nigdy nie zostanie hersztem zbójców, cokolwiek by się nie działo.

W kamiennej sali zapanowała ponura cisza.

W oczach Borki ukazały się łzy żalu. Że też jego własny syn tak się wyrodził! Mattis próbował go pocieszyć.

— Ja już przyzwyczailem się do tej myśli — powiedział. — I ty musisz zrobić to samo! Nie można teraz niczego od dzieci żądać. One robią, co chcą, nam pozostaje tylko przyzwyczać się do tego. Choć to niełatwe!

Obaj hersztowie siedzieli długo i ponuro patrzyli w przyszłość, w której zarówno w rodzie Mattisa, jak i w rodzie Borki dumne zbójnickie życie stanie się już jedynie legendą i wkrótce zapadnie w niepamięć. Powoli jednak powrócili do polowań na szczury w chlewie i postanowili się zabawić pomimo wszystko, pomimo posiadania tak upartych dzieci. Także ich zbójcy pragnąc zagłuszyć całą tę gorycz prześcigali się w śpiewaniu skocznych pieśni i w dzikim tańcu. Wirowali dookoła tak, że aż trzeszczała podłoga z dyli. Birk i Ronja także skoczyli do tańca i Ronja uczyła Birka wielu wesołych zbójnickich skoków. Podczas tego wszystkiego Lovis i Undis siedziały w oddzielnej sali. Jadły, piły i rozmawiały. O większości spraw miały odmienne zdanie, ale co do jednego były zgodne. Jakież to wspaniałe od czasu do czasu dać odpocząć uszom i nie musieć słuchać wyłącznie mrukliwego gadania mężczyzn!

A w kamiennej sali trwała zabawa, dopóki nagle Łysy Per nie upadł na podłogę. Mimo podeszłego wieku spędził przyjemny i ruchliwy dzień, ale teraz siły opuściły go. Ronja pomogła mu dojść do jego sypialnej izby. Zadowolony i najedzony położył się na łóżku, a Ronja okryła go futrzaną kołdrą.

— Moje stare serce jest teraz spokojne — odezwał się Łysy Per — że ani ty, ani Birk nie chcecie być hersztami zbójców. Dawniej mogło to dawać wiele przyjemności, nie mówię, że nie. Ale teraz jest gorzej, bo zanim się człowiek spostrzeże, może zostać powieszony.

— Tak. I ludzie krzyczą i płaczą, kiedy im się wszystko zabiera — dodała Ronja. — Tego bym nigdy nie zniosła.

— Tak, moje dziecko, tego byś nigdy nie zniosła — powiedział Łysy Per. — A teraz zdradzę ci pewną małą i ładną tajemnicę, jeśli przyrzekniesz, że nie powiesz o niej żadnemu żyjącemu człowiekowi.

I Ronja przyrzekła.

Wtedy Łysy Per ujął jej ciepłe dłonie, żeby ogrzać swoje własne, okropnie zimne, i zaczął opowiadać:

— Ty jesteś moja radość i szczęście — powiedział.

— Kiedy byłem młody i włóczyłem się po lesie, dokładnie tak jak ty, trafiło mi się raz uratować życie jednemu małemu Szaruchowi, którego Wietrzydła chciały koniecznie zabić. Chociaż Szaruchy to hołota, ale ten w jakiś sposób różnił się od innych i był potem tak wdzięczny, że ledwie mogłem się od niego odczepić. Upierał się, żeby mi dać... no, patrzcie, idzie Mattis — powiedział Łysy Per, bo właśnie w otwartych drzwiach stanął Mattis i chciał wiedzieć, dlaczego Ronja tak długo nie wraca. Zabawa skończyła się i był czas na Pieśń Wilków.

— Najpierw muszę usłyszeć do końca tę bajkę — powiedziała Ronja.

I podczas gdy Mattis stojąc, uparcie czekał na nią, Łysy Per wyszeptał jej do ucha zakończenie.

— Jak dobrze — powiedziała Ronja, kiedy usłyszała już wszystko.

Lovis posmarowała oczywiście wszystkie jego rany i sińce, ale nic nie pomagało. Nastąpił moment, kiedy Mattisowi wróciło całe czucie i jeśli poruszył choćby małym palcem u nogi, wszystkie uszkodzenia ciała zaczynały straszliwie boleć. Nie mógł zmrużyć oka i irytowało go, że Lovis leży sobie i spokojnie śpi. W końcu obudził ją.

— Boli mnie — powiedział. — I jedyna moja nadzieja, że ten przeklęty Borka leży u siebie i jeszcze bardziej puchnie!

Lovis odwróciła się do ściany.

— Ech, wy, mężczyźni — mruknęła i natychmiast zasnęła.

Nadeszła noc. Wkrótce cały Zamek Mattisa ze wszystkimi swymi gburowatymi zbójcami zapadł w sen. Tylko Mattis jęczał ciężko na swoim posłaniu.

Starzy ludzie nie powinni wysiadywać na „WALkach drapiezców” i marznąć — powiedziała Lovis ostro, kiedy następnego dnia okazało się, że Łysy Per ma dreszcze, wszystko go boli i nie chce wstawać. A i później, kiedy gorączka już minęła, także odmawiał wstania z łóżka.

— Równie dobrze mogę gapić się przed siebie leżąc, jak siedząc — upierał się.

Mattis przychodził do niego codziennie, żeby mu opowiedzieć, jak wygląda nowe zbójckie życie. Bor-ka radził sobie nieźle i zachowywał się spokojnie. Zresztą był to całkiem przytomny chłop i wspólnie z Mattisem organizowali teraz pułapki, jedną za drugą. Żołnierzy namiestnika wodzili za nos, że aż miło, i wkrótce las będzie wolny od tej natrętnej żołnierskiej hołoty, twierdził Mattis stanowczo.

— No, no nie mów hop, póki nie przeskoczysz — mruczał Łysy Per, ale Mattis go nie słuchał. Nie miał zbyt wiele czasu, żeby u niego przesiadywać.

— Ty suchy gruchocie — powiedział czule i przed wyjściem pogłaskał Łysego Pera. — Spróbuj mieć trochę ciała na nogach, żebyś mógł na nich ustać!

Lovis także czyniła w tym kierunku wszystko, co umiała. Przychodziła z gorącą i posilną zupą i z wszystkim, co Łysy Per lubił.

— Łyknij zupy, to się rozgrzejesz — powiedziała.

Ale nawet najbardziej wrząca zupa nie była w stanie wypędzić zimna z ciała Łysego Pera i to martwiło Lovis.

— Weźmy go do kamiennej sali, żeby się ogrzał — powiedziała do Mattisa pewnego wieczora.

Łysy Per opuścił więc swoją izbę wyniesiony mocnymi rękami Mattisa. Dzielił teraz łóżko z Mattisem, Lovis zaś przeniosła się do Ronji.

— Nareszcie takie stare biedaczysko jak ja będzie mogło trochę odtajać — mruczał Łysy Per z zadowoleniem.

Mattis był gorący jak piec i Łysy Per przytulał się do niego zupełnie jak dziecko szukające ciepła i pociechy u swojej matki.

— Nie pchaj się tak — protestował Mattis.

Ale to nie pomagało, Łysy Per przytulał się i tak. A gdy nastał ranek, wzbraniał się przed powrotem do swojej izby. Tu mu dobrze i tu zostanie. Tutaj mógł sobie leżeć i patrzeć, jak Lovis wykonuje swoje codzienne zajęcia, tutaj zbójcy, wróciwszy wieczorem do domu, zbierali się wokół niego i opowiadali o swoich wyczynach. Ronja także przychodziła i opowiadała, co widziała z Birkiem w lesie. Łysy Per był zadowolony.

— To jest właśnie to, co chcę mieć, podczas mego oczekiwania — powiedział.

— A na co ty czekasz? — zapytał Mattis.

— No, jak sądzisz? — odparł Łysy Per.

Mattis nie był w stanie odgadnąć, ale z niepokojem zauważył, że Łysy Per powoli chudł coraz bardziej, zapytał więc Lovis:

— Co mu jest, jak myślisz?

— Starość — powiedziała Lovis. Mattis spojrział na nią przestraszony.

— Ale chyba on od tego nie umrze.

— Owszem, zrobi to — powiedziała Lovis. Wtedy Mattis wybuchnął płaczem.

— Nie, do diaska z tym! — wykrzyknął. — Na to się nie zgadzam!

Lovis potrząsnęła głową.

— O wielu sprawach decydujesz, Mattis, ale o tym nie!

Ronja także niepokoiła się o Łysego Pera, a ponieważ chudł coraz bardziej, przesiadywała u niego jeszcze częściej.

Teraz przeważnie leżał z zamkniętymi oczyma, tylko czasami unosił powieki i spoglądał na nią. Wtedy uśmiechał się i mówił:

— Moja radość i pociecha! Nie zapomnisz tamtego, co to wiesz?

— Nie, jeśli tylko znajdę — mówiła Ronja.

— Znajdziesz — zapewniał Łysy Per. — Kiedy przyjdzie pora, to znajdziesz!

— Tak, pewnie tak — odpowiadała Ronja.

Upłynął jakiś czas i Łysy Per zrobił się jeszcze słabszy: W końcu nadeszła noc, kiedy wszyscy czuwali przy nim, Mattis i Lovis, i Ronja, i zbójcy. Łysy Per leżał bez ruchu z zamkniętymi oczyma. Mattis ze strachem szukał w nim jakichś oznak życia, ale wokół łóżka panował mrok mimo światła padającego od ognia i łojowej świecy, którą zapaliła Lovis. Nie, Mattis nie znalazł żadnych oznak życia i krzyknął:

— On nie żyje!

Łysy Per otworzył jedno oko i spojrział na niego wzrokiem pełnym wyrzutu.

— Oczywiście, że żyję! Sądysz, że nie jestem na tyle dobrze wychowany, żeby się pożegnać, zanim odejdę?

Potem na długą chwilę znów zamknął oczy, a oni stojąc w ciszy usłyszeli tylko kilka krótkich świszczących oddechów.

— Ale teraz — powiedział Łysy Per otwierając oczy — teraz, przyjaciele mili, żegnam się z wami wszystkimi! Ponieważ teraz umieram.

I umarł.

Ronja nigdy jeszcze nie widziała kogoś umierającego. Przez chwilę płakała. Chociaż ostatnio był on tak zmęczony, pomyślała, że teraz chyba będzie mógł sobie odpocząć w jakimś innym miejscu, którego ja nie znam.

Ale Mattis głośno płacząc chodził po kamiennej sali tam i z powrotem i wykrzykiwał:

— Był zawsze! A teraz go nie ma! Wciąż od nowa krzyczał to samo:

— Był zawsze! A teraz go nie ma! Wtedy odezwała się Lovis:

— Mattis, wiesz, że nikt nie może istnieć zawsze. Rodzimy się i umieramy, przecież tak właśnie było zawsze, o co lamentujesz?

— Ale mnie jego brak! — krzyknął Mattis. — Mnie jego tak brak, że serce mi pęka!

— Obejmę cię na chwilę, chcesz? — zapytała Lo-vis.

— Tak, zrób to dla mnie! — wykrzyknął Mattis. — I ty, Ronja, też!

Potem siedział opierając się to o Lovis, to o Ronję i wypłakiwał swój żal za Łysym Perem, który dotąd był zawsze obecny w jego życiu, a teraz go nie ma.

Następnego dnia pochowali Łysego Pera w dole obok rzeki. Zima była już blisko i padał pierwszy śnieg. Miękkie, wilgotne płatki opadały na trumnę Łysego Pera, kiedy Mattis i zbójcy nieśli go na przygotowane miejsce. Trumnę Łysy Per wyciosał sobie sam, w czasie, kiedy był jeszcze silny, i przez wszystkie następne lata przechowywał ją w kącie izby z odzieżą.

— Zbójca może potrzebować trumny, kiedy najmniej się tego spodziewa — powiedział wtedy Łysy Per i w ostatnich latach dziwił się, że to trwa tak długo. — Ale wcześniej czy później przyjdzie na nią pora. Teraz przysłała pora. Żal za Łysym Perem zawisł ciężarem nad zamkiem. Mattis był ponury całą zimę. Zbójcy także byli przygnębieni, ponieważ od nastroju Mattisa zależał zarówno smutek, jak i radość w Zamku Mattisa. Ronja uciekała z Birkiem do lasu, w którym panowała zima. A gdy zjeżdżała na nartach po urwistym zboczach, zapominała o wszystkich smutkach. Ale przypominała sobie o nich, jak tylko wracała do domu i widziała zamyślonego Mattisa, siedzącego przed ogniem.

— Pociesz mnie, Ronju — prosił. — Pomóż mi w moim smutku.

— Niedługo nastanie znów wiosna, wtedy będzie lepiej — powiedziała Ronja, ale Mattis był innego zdania.

— Łysy Per nie zobaczy już żadnej wiosny — powiedział markotnie. I na to Ronja nie umiała już znaleźć pociechy. Zima minęła. Nadeszła wiosna, tak samo jak przychodziła zawsze, bez względu na to, czy ktoś żył, czy umarł. Mattis poweselał, tak jak każdej wiosny, i gwizdał, i śpiewał, kiedy na czele swoich zbójców wyjeżdżał przez Wilczą Pułapkę. Poniżej czekał już Borka ze swymi ludźmi. Juhu! Teraz, po długiej zimie, znów rozpocznie się prawdziwe zbójnicze życie. W swojej głupocie byli tym uszczęśliwieni obydwaj, i Mattis, i Borka, urodzeni zbójcy, jakimi przecież byli. Ich dzieci okazały się o wiele rozumniejsze. Były uszczęśliwione zupełnie czymś innym. Tym, że śnieg zniknął i mogli jeździć konno, i tym, że niedługo przeniosą się znów do Niedźwiedziej Groty.

— Jestem szczęśliwa, że ty, Birk, nie chcesz być żadnym hersztem — powiedziała Ronja.

Birk roześmiał się.

— Przecież przysiągłem. Ale zastanawiam się, z czego będziemy żyli przez całe nasze życie, ty i ja?

— Ja wiem — odparła Ronja. — Będziemy górnikami. Co o tym powiesz?

I opowiedziała Birkowi legendę o srebrnej górze Łysego Pera, którą pewnego razu wskazał mu mały Szaruch, dawno temu, z wdzięczności za uratowanie życia.

— Tam są bryły srebra tak wielkie jak kocie łby

— powiedziała Ronja. — Kto wie, może to nie jest legenda? Łysy Per zaklinał się, że to prawda. Możemy pojechać tam konno któregoś dnia i sprawdzić. Ja wiem, gdzie to jest.

— Ale nie ma z tym pośpiechu — odparł Birk.

— Tylko trzymaj to w tajemnicy! Inaczej wszyscy zbójcy pognają tam i zechcą wybrać srebro.

Ronja roześmiała się.

— Jesteś równie mądry jak Łysy Per. Zbójcy są drapieżni niczym myszołowy, mówił, i dlatego nie wolno mi było powiedzieć o tym nikomu innemu poza tobą.

— Tymczasem długo jeszcze damy sobie radę bez srebra, siostrzyczko — powiedział Birk. — W Niedźwiedziej Grocie potrzebne są inne rzeczy.

Robiło się coraz bardziej wiosennie i Ronja obawiała się chwili, w której będzie musiała powiedzieć Mattisowi, że pragnie znów przenieść się do Niedźwiedziej Groty. Ale Mattis był dziwnym człowiekiem, nigdy nie było wiadomo, czego się można po nim spodziewać.

— Tak, moja stara grotka jest dobra — powiedział. — O tej porze roku nigdzie nie można lepiej mieszkać niż tam. A ty co o tym sądzisz, Lovis?

Lovis była przyzwyczajona do tego, że nagle zmieniał zdanie, więc specjalnie jej to nie zdziwiło.

— Idź, dziecko, jeśli twój ojciec tak mówi — rzekła. — Chociaż będzie mi ciebie brakowało.

— Ale jesienią wrócisz na pewno do domu, tak jak zwykle — powiedział Mattis, zupełnie jak gdyby Ronja całymi latami wprowadzała się i wyprowadzała z Zamku Mattisa.

— Tak, jak zwykle — zapewniła Ronja, szczęśliwa i zdziwiona, że wszystko przeszło tak gładko. Oczekiwała łez i krzyków, a tutaj Mattis siedział i wyglądał na równie szczęśliwego jak wtedy, kiedy przypominał sobie własne figle wyczyniane w dzieciństwie w starym chlewie.

— No, kiedy ja mieszkalem w Niedźwiedziej Grocie, to igrałem bardziej niebezpiecznie — powiedział. — I właściwie to jest moja grotka, nie zapominaj o tym! Przyjdę może odwiedzić was od czasu do czasu!

Kiedy Ronja opowiadała o tym Birkowi, powiedział wspaniałomyślnie:

— Jeśli o mnie chodzi, to może przyjąć! Ale — dorzucił — będzie to jednak ulga, nie musieć od rana do wieczora patrzeć na jego kędzierzawy łeb.

Jest wczesny ranek. Tak piękny jak pierwszy ranek po stworzeniu świata. Osadnicy Niedźwiedziej Groty wędrują przez swój las, a wokół nich wiosna roztacza całą swą wspaniałość. Wszystkie

drzewa, wszystkie wody, wszystkie zielone krzewy żyją. Wszystko świergocze, szeleści, szemrze, śpiewa i brzęczy, wszędzie słychać świeżą niepohamowaną pieśń wiosny.

Przyszli do swojej groty, swojego domu w dziewiczej ziemi. I wszystko jest jak przedtem, bliskie i dobrze znane, rzeka, co szumi w dole, lasy w jasności poranka, wszystko jest takie same. Tylko wiosna jest nowa, ale taka sama.

— Nie przestrasz się, Birk — odezwała się Ronja. — Teraz wydam swój wiosenny okrzyk.

I krzyknęła przenikliwie jak ptak. A był to krzyk radości, który niósł się daleko po lesie.

ASTRID LINDGREN OPOWIADA O SOBIE

Drodzy moi, wy wszyscy, którzy piszecie do mnie. To takie miłe dostawać od Was listy. Czytam je z takim zapałem, że nigdy byście nie uwierzyli. Mimo to odczuwam niemal lęk, kiedy przychodzi poczta, no bo na listy powinno się przecież odpowiadać, a ja ostatnio już zupełnie sobie z tym nie radzę. Po prostu nie jestem w stanie odpowiadać osobiście każdemu, bo wtedy musiałabym całymi dniami siedzieć przy maszynie do pisania. Dlatego musicie zadowolić się tą niewielką broszurką,* która, mam nadzieję, zawiera odpowiedzi przynajmniej na te najczęściej stawiane pytania.

Zacznijmy zatem od mojego życiorysu, ponieważ zwykliście o to pytać. A więc od początku: listopad 1907 roku. Właśnie wtedy się urodziłam, w czerwonym starym domu otoczonym jabłonią. Jako dziecko numer dwa rolnika Samuela Augusta Ericssona i jego żony Hanny z domu Jonsson. Posiadłość, w której mieszkaliśmy, nazywała się — i ciągle jeszcze nazywa się — Nas, leży zaś w pobliżu Vimmerby, małego miasteczka w Smolandii. Nas było probostwem już od

- Niniejszy tekst zaczerpnięto z folderu poświęconego twórczości Astrid Lind-gren, który ukazał się nakładem firmy Raben i Sjögren — szwedzkiego wydawcy pisarki.

W 1411 roku i jest nim do tej pory, ale mój ojciec z całą pewnością nie był proboszczem, tylko dzierżawcą gospodarstwa proboszcza w Nas, tak samo jak jego ojciec przed nim i jego syn po nim. W czerwonym domu, który w XVIII wieku był domem plebana, a z czasem stał się mieszkaniem dzierżawcy, urodziło się jeszcze dwoje dzieci. Było nas zatem czworo rodzeństwa: Gunnar, Astrid, Stina i Ingegerd, i żyliśmy w Nas beztroskim życiem Bullerbyn, w zasadzie zupełnie jak w książce o dzieciach z Bullerbyn. Chodziliśmy do szkoły w Vimmerby, które leżało tak blisko, że mogliśmy tam dojść w kwadrans. Ale, podobnie jak dzieci z Bullerbyn, powoli staliśmy się dorośli i nastał czas, aby ruszyć w świat. Ja wyjechałam do Sztokholmu, gdzie wykształciłam się na sekretarkę, dostałam posadę w biurze, wyszłam za mąż i urodziłam dwoje dzieci, Larsa i Karin. Oboje stale domagali się, żeby im coś opowiadać. Opowiadałam więc. Ale nie pisałam żadnych książek, nie, ponieważ już wcześniej postanowiłam, że nie będę tego robić. Wprawdzie większość ludzi, którzy nigdy nie piszą książek, nie podejmuje żadnych konkretnych na ten temat zobowiązań, jednak w moim wypadku było to faktycznie postanowienie. Kiedy chodziłam do szkoły, stale słyszałam: „Ty! Kiedy dorośniesz, będziesz chyba pisarką, co?”, a przy jakiejś okazji zostałam nazwana, odrobinę ironicznie: „Selmą Lagerlóf z Vimmerby”. Myślę, że to mnie przestraszyło; nie miałam odwagi spróbować, chociaż gdzieś w głębi duszy czułam, że pisanie mogłoby być przyjemne. Ale to jest pytanie, które stale powraca: „Jak doszło do tego, że pani zaczęła pisać?” I dlatego chcę, chociaż robiłam to już niesamowitą ilość razy, opowiedzieć, jak do tego doszło.

W 1941 roku moja siedmioletnia córka Karin leżała chora na zapalenie płuc. Każdego wieczora, kiedy siadałam na brzegu łóżka, marudziła jak to zwykle dzieci: „Opowiedz mi coś”. Pewnego razu, kiedy porządnie zmęczona zapytałam: „O czym mam opowiadać?”, odparła: „Opowiedz o Pippi Langstrump”. Wymyśliła imię właśnie w tej sekundzie. Nie zapytałam, kim była Pippi Langstrump (Fizia Pończoszanka), tylko zaczęłam opowiadać, a ponieważ było to dziwne imię, więc musiała to być także dziwna dziewczynka. Karin, a potem także jej koledzy i koleżanki, od początku zapawali niezwykłym uczuciem do Pippi. Musiałam więc opowiadać ciągle od nowa. I tak trwało to kilka lat. Pewnego marcowego dnia 1944 roku w Sztokholmie padał śnieg i gdy wieczorem przechodziłam obok Parku Wazy, świeży puch przykrył warstwę lodu. Pośliznęłam się, upadłam i silnie zwichnęłam sobie nogę. Potem musiałam leżeć jakiś czas w łóżku. Żeby skrócić sobie ten okres, wzięłam się do stenografowania historii o Pippi (odkąd zaczęłam pracę w biurze, biegle stenografowałam i do dziś wszystkie moje książki najpierw stenografuję). W maju 1944 roku przypadały dziesiąte urodziny Karin i wtedy wpadłam na pomysł, żeby przepisać na czysto opowieści o Pippi i w prezencie urodzinowym dać jej maszynopis. A potem pomyślałam sobie, że kopię wyślę do jakiegoś wydawnictwa. Nie dlatego, żebym przez sekundę wierzyła, aby chcieli to wydać, ale ot tak, na wszelki wypadek. Sama byłam podniecona sprawą Pippi i pamiętam, że zakończyłam swój list do wydawnictwa słowami: „W nadziei, że nie zaalarmujecie Urzędu Opieki Społecznej nad Nieletnimi...” No bo miałam przecież dwoje dzieci, a co to może być za matka, która pisze takie książki!

Dokładnie jak przewidziałam, maszynopis odesłano mi. Ale w czasie, gdy czekałam na odpowiedź, zdążyłam napisać jeszcze jedną książkę. Bo teraz zobaczyłam, jaką przyjemnością jest pisanie. Napisałam powieść pt. *Zwierzzenia Britt-Mari* i wysłałam ją do wydawnictwa Raben i Sjögren, które ogłosiło konkurs na książkę dla dziewcząt. I tu wydarzyła się najdziwniejsza rzecz! W konkursie tym otrzymałam drugą nagrodę. Nigdy nie byłam bardziej rada niż tego jesiennego wieczoru 1944 roku, kiedy zawiadomiono mnie o tym. Następnego roku, 1945, to samo wydawnictwo ogłosiło konkurs na książkę dla dzieci. Wysłałam maszynopis o Pippi w troszkę zmienionym kształcie. I otrzymałam za nią pierwszą nagrodę.

Potem już potoczyło się. Pippi stała się sukcesem, nawet jeśli byli tacy, których książka szokowała i sądzili, że teraz wszystkie dzieci będą zachowywać się jak Pippi. „Żadne normalne dziecko nie zje całego tortu w czasie spotkania przy kawie” — napisał jeden z oburzonych. I to jest prawda! Ale też żadne normalne dziecko nie uniesie konia na wyciągniętych rękach. Gdyby można było tego dokonać, może udałoby się także pochłonąć cały tort.

W 1946 roku wydawnictwo Raben i Sjögren ogłosiło nowy konkurs — na książkę detektywistyczną dla młodzieży. Wtedy napisałam powieść *Detektyw Blomkvist*, za którą

przyznano mi pierwszą nagrodę. I to był ostatni konkurs, w jakim wzięłam udział. Ale pisałam nadal. I tak powstało ponad 30 książek, poza tym wiele książek obrazkowych i kilka sztuk, a także scenariusze do filmów, seriale radiowe i telewizyjne. W latach 1946—1970 prowadziłam redakcję literatury dla dzieci w wydawnictwie Raben i Sjögren. Od 1952 roku jestem wdową. Moja córka wyszła za mąż, syn się ożenił, a ja mam siedmioro wnucząt. Tak, o wszystkim tym chcecie zwykle wiedzieć.

Często pada pytanie o nagrody. Otóż w 1950 roku otrzymałam Plakietkę im. Nilsa Holgerssona przyznaną mi przez Związek Bibliotekarzy, w 1957 — Literacką Nagrodę Państwową „za wysoki poziom literacki”, w 1958 — Medal im. H.Ch. Andersena, w 1970 — nagrodę gazety „Ekspressen” i nagrodę Towarzystwa Krzewienia Literatury — Złotą Matrycę, w 1971 — Złoty Medal Akademii Szwedzkiej. Otrzymałam także w 1963 roku amerykańską Nagrodę „New York Herald Tribune”, w 1956 roku — niemiecką Nagrodę Specjalną za książki dla młodzieży, w roku 1978 — Nagrodę Pokojową Niemieckiego Związku Księgarzy, a w 1979 roku — Literacką Nagrodę im. Janusza Korczaka, przyznaną przez międzynarodowe jury, powoływane przez polską sekcję IBBY (International Board on Books for Young People, czyli Komitet Przyjaciół Książki dla Dzieci).

Wszystko to są sprawy, na które nietrudno udzielić odpowiedzi. Gorzej jest, kiedy padają pytania innego rodzaju. „Co pani sądzi o swoich książkach? Jaką myśl przewodnią chciała pani wyrazić w Pippi Ldngstrump? W jaki sposób poprzez książki dziecięce można oddziaływać na dzieci i wychowywać je? Jaka powinna być dobra książka dla dzieci?” Na wszystkie te kwestie mogę tylko odpowiedzieć, że nie sądzę o nich absolutnie nic. Ani o Pippi, ani o żadnej innej książce. Piszę, aby zabawić to dziecko, które w jakimś sensie zachowało się we mnie samej, i mogę tylko mieć nadzieję, że w ten sposób i inne dzieci także przeżyją coś przyjemnego. Nie wiem, jaka powinna być dobra książka dla dzieci. Dlaczego nikt nigdy nie pyta, jaka powinna być dobra książka dla dorosłych? Kiedy piszę, próbuję być „prawdziwa” w sensie artystycznym i to jest moja jedyna wytyczna. „Dlaczego nigdy nie napiszesz żadnej książki o tym, jak to jest być dzieckiem rozwiedzionych rodziców, np. w sztokholmskiej dzielnicy Farsta?” — zadano mi kiedyś i takie pytanie. I na to chcę odpowiedzieć: Mogę pisać tylko o tym, co znam. Ja nie wiem, jak to jest być dzieckiem rozwiedzionych rodziców w dzielnicy Farsta, być może właśnie teraz chodzi po Farscie jakiś maluch, który kiedyś o tym napisze. Sama wiem tylko bardzo dokładnie, jak to jest — albo raczej należałoby powiedzieć: jak to było — być chłopskim dzieckiem w Smolandii i dzieckiem w małym miasteczku. Dlatego większość moich książek „dzieje się” w takim środowisku. Dzieci z Bullerbyn, Emil ze Smolandii, Ras-mus, dzieci z Sunnanang żyją na najprawdziwszej wsi. Pippi